

WOJNA, NA KTÓRĄ NIE JESTEŚMY GOTOWI

BARBARZYŃSTWO! DLACZEGO SZTUCZNA INTELIGENCJA NISZCZY STARE KSIĄŻKI



POLITYKA, MAFIA, ZBRODNIA. TAJEMNICE ZNANYCH HOTELI



MILIONY DLA „SWOICH”, CZYLI JAK KO OSKUBAŁA POWODZIAN

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

34 (716) 2026
17–23 sierpnia 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CZY PREZYDENT ZJEDNOCZY PRAWICĘ?

BEZ INTERWENCJI KAROLA NAWROCKIEGO MOŻE SIĘ OKAZAĆ, ŻE DONALD TUSK UTRZYMA WŁADZĘ. CZY GŁOWA PAŃSTWA WEJDZIE DO GRY? I NA JAKICH ZASADACH?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 34
Numer w sprzedaży do 24 VIII 2026 r.

SUBSKRYPCJA SIECI + wPolityce.pl Premium+

MOCNA PUBLICYSTYKA



1 zł
ZA PIERWSZY MIESIĄC





TWOJA SUBSKRYPCJA TO:

Najświeższe e-wydanie „Sieci” już w niedzielę o 18:00

Wszystkie teksty wPolityce.pl Premium+ zawsze pod ręką

Dostęp do archiwum tygodnika i biblioteki e-booków „Sieci Extra”

Cegiełka do budowy niezależnych, patriotycznych mediów

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

eprasa.pl 7f496a23a7

W sprawie imigracji bez kompromisów

Nowy premier Wielkiej Brytanii Andy Burnham, wybrany po politycznej kompromitacji swojego poprzednika Keira Starmera, zapowiedział duże zmiany w polityce migracyjnej. Nie chodzi o powstrzymanie małych łodzi napływających z Francji (premier nie chciał składać wiążących obietnic w tej sprawie, bo przecież to takie trudne), ale o korektę w sferze dystrybucji tego „złota".

Otóż zdaniem lewicowego szefa rządu to społecznie niesprawiedliwe, że ogromna większość przybyszów trafia do biedniejszych, robotniczych dzielnic. W ramach nowej polityki rząd będzie kierował Afrykanów i Azjatów do dzielnic klasy średniej, do dzielnic ludzi zamożniejszych. Wkrótce wszyscy będą mieli zatem te same problemy z przestępczością, spadkiem jakości szkół, upadkiem obyczajów, degradacją wspólnej przestrzeni. W ten sposób nastanie era powszechnej sprawiedliwości. Nikt nie będzie mógł się wymigać od swojej porcji kulturowego ubogacenia. Nie możemy się dziwić: ideologia lewicowo-liberalna staje się coraz bardziej totalitarna i bardzo się stara, by nikt nie mógł się schować przed jej błogosławieństwem w swoim małym domku na przedmieściach.

Wszystko to w kraju, który w zastraszającym tempie zmierza w stronę pełnego zastąpienia historycznej, białej ludności imigrantami. Według poważnych obliczeń już w 2060 r. etniczni Brytyjczycy będą mniejszością. Prawicowi analitycy oceniają zaś, że wybory w 2027 r. będą ostatnimi, które mogą wygrać partie opowiadające się za obroną tożsamości narodowej. Potem będzie na to już za późno, zmiany zajdą za daleko. „Wielkie zastąpienie", przez lata zaliczane do kategorii „teorii spiskowych", stanie się faktem. Wspaniała angielska cywilizacja, która dała światu tak wiele, albo umrze, albo przepoczwarzy się w coś nie do poznania. Już dziś jest to kraj niepodobny do siebie. Ale nie można się dziwić: kto importuje Trzeci Świat, staje się Trzecim Światem. A kto się temu sprzeciwia, nazywa po imieniu to, co widzi, zostaje „islamofobem" lub „rasistą".

Wniosek dla Polski jest oczywisty: nie pozwalajmy na masową imigrację. Zarówno nielegalną, jak i legalną. Żadnych kompromisów, żadnych półśrodków w tej sferze. Nie miejmy żadnych wątpliwości: legalna imigracja także drastycznie zmieni oblicze kraju i nawet dramatyczna zapaść demograficzna Polski nie jest tu istotnym argumentem. Przeciwnie – to, że Polaków ubywa, nakazuje szczególną ostrożność podczas przyjmowania przybyszów. Bo słabszy organizm trudniej się broni przed niebezpieczeństwem.

Również argumenty ekonomiczne muszą zejść na dalszy plan, tym bardziej że rozwój sztucznej inteligencji znów może napędzić bezrobocie. Z kolei w wielu branżach, także w rolnictwie, można i należy szukać rozwiązania w automatyzacji i robotyzacji. Niektóre branże będą się zaś musiały czasowo zredukować (nie ma powodów, by nakręcać masową imigrację z powodu konieczności przewożenia obiadów z jednego końca miasta na drugi).

Tak, nie obędzie się bez kosztów, ale narodowa spójność jest ważniejsza. Bo państwo polskie ma sens tylko jako państwo narodowe Polaków, jako państwo bezdyskusyjnie oparte na kulturze polskiej. Nie może stać się technicznym organizatorem patchworkowej tkanki społecznej, bo taka konstrukcja wcześniej czy później albo rozpadnie się na kawałki, albo zostanie rozerwana przez siły zewnętrzne.

Nie tylko w sferze imigracji dochodzimy do momentu, w którym należy bardzo zdecydowanie przemyśleć stare klisze, w którym potrzebny jest nowy język, czasem bardzo zdecydowany. Musimy jasno mówić, że naszą siłą są spójność i jedność, a nie różnorodność. Ale musimy także zacząć komunikować młodemu pokoleniu, że jego obowiązkiem jest zapewnienie narodowi dzieci w liczbie pozwalającej na przetrwanie. Musimy również powiedzieć jasno, że każdy musi dać coś od siebie w sferze obronności, jeśli trzeba – również w formie służby wojskowej, choćby kilkumiesięcznej. Język skrajnego indywidualizmu, język skupienia się wyłącznie na własnych potrzebach wyczerpał swoje możliwości. Doprowadził świat zachodni na skraj upadku. W nim nie znajdziemy już ratunku. Im szybciej umrze, tym lepiej.

Jacek Karnowski



Autopromocja

SIECI

spis treści



33 Zamrożone inwestycje
Konrad Kołodziejski



46 Żadnych imigrantów!
Dariusz Matuszak



52 Konie z Janowa. Piękno zaklęte w arabskiej krwi
Stanisław Płużański

NA POCZĄTEK

5 **ZASZCZUĆ PAŃSTWOWCÓW, ZNISZCZYĆ PAŃSTWO**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ZAĆMIENIE, CZYLI KIEDY PR WYCHODZI NA PIERWSZY PLAN**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **UPAŁY, BLACKOUTY I BRUKSELSKIE MRZONKI**
Daniel Obajtek

13 **ZMIANA KALKULACJI STRATEGICZNYCH?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA RAFAŁA JARZĄBKA**
Michał Korsun

16 **DZIEJĄ SIĘ RZECZY NIEODWRACALNE…**
Jan Pietrzak

16 **GADAJĄ I ZAGRAŻAJĄ**
Samuel Pereira

17 **CUD NAD WISŁĄ – LEKCJA DLA TERAŹNIEJSZOŚCI**
Arkadiusz Mularczyk

18 **RATUJMY WARSZAWĘ!**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **KAROL ODNOWICIEL**
Stanisław Janecki

KRAJ

24 **JEŻELI PRAWICA SIĘ NIE POROZUMIE, TUSK ZNÓW WYGRA**
Z Markiem Grabowskim rozmawia Jerzy Szmit

27 **PODZIW I ZGRZYTANIE ZĘBAMI**
Piotr Gursztyn

30 **MILIONY DLA „SWOICH”**
Marzena Nykiel

33 **ZAMROŻONE INWESTYCJE**
Konrad Kołodziejski

36 **RAPER W PAŁACU, IRYTACJA „WARSZAWKI”**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

39 **PALENIE KSIĄŻEK 4.0**
Aleksandra Rybińska

42 **WOJNA, NA KTÓRĄ NIE JESTEŚMY GOTOWI**
Marek Budzisz

OPINIE

46 **ŻADNYCH IMIGRANTÓW!**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

48 **POLITYCY, AGENCI, MAFIOSI I ZAMACHOWCY**
Grzegorz Górny

52 **KONIE Z JANOWA. PIĘKNO ZAKLĘTE W ARABSKIEJ KRWI**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

55 **PIĘKNE TRAFIENIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

58 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

60 **CZY NOWE PRAWO WYLEJE POLSKIE WINO Z LEGISLACYJNĄ KĄPIELĄ?**
Maciej Wośko

SPORT

62 **JAK INFANTINO CHCIAŁ SPRZEDAĆ MUNDIAL**
Goran Andrijanić

NATURA DLA LUDZI

64 **ANATOMIA OGNISTEGO LATA**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: ARKADIUSZ TADYCH**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **EMBRION W WISIORKU**
Robert Tekieli

70 **POCZTÓWKA Z WAKACJI**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **MIĘKKA LOJALNOŚĆ**
Aleksander Nalaskowski

73 **O WŁOS. I O 16 MILIARDÓW DOLARÓW**
Ryszard Czarnecki

74 **TRANSHUMANISTYCZNE LALKI, CZYLI KAPITULACJA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 7f496a23a7

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zaszczuć państwowców, zniszczyć państwo

Donald Tusk usprawiedliwiał się, że rozliczenia PiS nie idą wystarczająco intensywnie. Nie tłumaczył się z niczego innego, co świadczy o tym, że za najważniejsze zadanie uznaje zniszczenie politycznych przeciwników. Jego zadaniem jest zatem likwidacja demokracji i państwa prawa. Do tego prowadzi kryminalizacja opozycji i usiłowanie usunięcia jej z życia publicznego. Obserwujemy próby aresztowania aktywistów PiS oraz oszczerstwa wobec całej partii o korupcję i łamanie prawa. Strategia ta schodzi w głąb i uderza we wszystkich, którzy działali dla państwa w okresie rządów prawicy.

Ten fundamentalnie destrukcyjny proceder odbywa się na wielką skalę i przebiega w dużej mierze niezauważony przez opinię, zajętą wydarzeniami na szczycie władzy. Niekiedy dostrzegamy aresztowanie urzędników, co zauważają media, ale szykany, którym poddawani są ludzie tworzący instytucje państwowe za czasów PiS, nie budzą zainteresowania.

Z ogromnej liczby przykładów przytoczę trzy.

Wiceminister kultury prof. Magdalena Gawin stworzyła Instytut Pileckiego, który miał badać „systemy totalitarne, w tym zbrodnie nazistowskie i komunistyczne w XX wieku [...] także kwestie ukarania i zadośćuczynienia za zbrodnie i prześladowania". Miał kształtować polską politykę historyczną na poziomie międzynarodowym.

Za stworzenie tej instytucji Gawin została „uhonorowana" permanentnymi oskarżeniami o niewłaściwe użytkowanie środków i niekończącym się śledztwem w tej sprawie (to stałe pomówienie, którym posługuje się obecna władza i jej propagandowy aparat).

Podstawowym zarzutem było stworzenie w Instytucie Pileckiego Centrum Lemkina, które badało zbrodnie na cywilach popełniane przez Rosję podczas agresji na Ukrainę jako kontynuację praktyki ZSRS. Wprawdzie działalność ta wpisana była w założenia Instytutu, ale nowe Ministerstwo Kultury uznało to za naruszenie, gdyż... Rosja Putina nie jest państwem totalitarnym. Dokumentacja Centrum została rozproszona lub zniszczona.

Wystawa o „Obławie Augustowskiej" w augustowskim oddziale Instytutu została rozmontowana z powodu podejrzeń o niewłaściwe rozstrzygnięcie przetargu o budynek siedziby, a stała ekspozycja została okrojona. Nieprawidłowości nie stwierdzono.

O Instytucie Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego przemianowanego na Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza wspominałem w innym felietonie. Wprawdzie Narutowicz to sympatyczna postać, ale ślady jego „myśli politycznej" trudno jest znaleźć. Ważne, że jego zabójcę sprowokowała endecka nagonka.

Tym razem to nowa władza zorganizowała nagonkę na twórcę IDMN, prof. Jana Żaryna. Permanentne kontrole skarbowe wprawdzie nie owocują konkretami, ale prowadzą do wysłania do prokuratury zawiadomienia o „możliwości popełnienia przestępstwa". W tym przypadku polega ono na wypełnianiu statutowej działalności. Przeciwko beneficjentom Funduszu Patriotycznego, który został utworzony przez IDMN, prowadzone są sprawy sądowo-skarbowe, a prokuratura domaga się (bez realnych uzasadnień) zwrotu przyznanych im na mocy konkursu grantów, co może prowadzić do bankructwa.

Tygodnik „Polityka", który miał przeprosić Żaryna za zarzut łapownictwa, przeprosił... autora paszkwilu za błąd korektorski zmieniający podobno znaczenie tekstu.

IDMN jest oskarżony o nabycie pamiątek po Paderewskim, w tym jego fortepianu, którego tytuł własności, jak twierdzi prokuratura (nie wiadomo, na jakiej podstawie) nie jest pewny.

O prof. Józefie Ruszarze, który w skrajnie niesprzyjających warunkach stworzył Instytut Literatury, pisałem również. Instytucja ta podejmowała ważne przedsięwzięcia kulturalne, wydała 23 numery ciekawego kwartalnika „Nowy Napis", publikowała literaturę i eseistykę, inicjowała przekłady dzieł polskich na inne języki, wspomagała twórców. Nie zajmowała się polityką, tylko literaturą i sztuką. Nic w jej miejsce nie powstało.

Jej twórca stał się obiektem ataków i postępowania prokuratorskiego za... swoją działalność. Ruszar otrzymał trzy pozwy od Instytutu Książki, który wchłonął Instytut Literatury. Dyrektor ma zwrócić spore kwoty złożone z licznych pozycji. Jedna z nich to żądanie odsetek za spóźnienie wypłaty dla drukarni spowodowane tym, że nowe władze ministerstwa, pomimo monitów Ruszara, nie przelały we właściwym czasie środków na konto IK. Prokuratura domaga się zwrotu nagród dla pracowników, które dyrektor miał prawo (i uzasadnienie) przyznawać, a wypłacił w nienajwyższej kwocie. Domaga się zwrotu nagrody, którą Ruszar, zgodnie z regulaminem, otrzymał od ministerstwa. To pierwsze z brzegu przykłady.

Szefowie dużych instytucji są nękani żądaniami przedstawienia drobiazgowej dokumentacji sprzed wielu lat, do której mają ograniczony dostęp.

Urzędnicy są prześladowani za działania, za które powinni otrzymać nagrody, a ich przedsięwzięcia są niszczone. Oto państwo Tuska.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f496a23a7



Sygnalista nadaje

Ciekawy głos w dyskusji o tym Nawrockim z Gdańska. Głos z zagranicy. Bliskiej zagranicy, bo z Moskwy. Pani Zacharowa powiedziała: „Karol Nawrocki regularnie posługuje się językiem nienawiści". My, czyli strona demokratyczna, to wiemy. I posługuje się językiem nienawiści, i wetuje ustawy, i używa saszetek z nikotyną. My to wszystko wiemy, ale dobrze, że zagranica wreszcie o tym powiedziała. Bardzo liczymy na poparcie również z tamtej strony ostatecznego rozwiązania kwestii Nawrockiego, gdy dr Kontek dokończy liczenie głosów. Widać, że trzeba spojrzeć inaczej na Rosję, taką jaką ona jest. Przywołajmy tu słowa Pana Premiera Tuska: „Nie chciałbym, żeby Polska prowadziła antyrosyjską krucjatę". Niech one będą naszą odpowiedzią na cenne uwagi pani Zacharowej. PS Popieramy inicjatywę pana Brauna, aby zapraszać pana Bratkiewicza. Niech on – człowiek doświadczony, prawa ręka pana ministra (prezydenta *in spe*) Radosława Sikorskiego – opowie, dlaczego Pan Premier miał rację, gdy mówił, iż nie chce, aby Polska stała na czele antyrosyjskiej krucjaty.

Kolejny kompromitujący szczegół z życia tego Nawrockiego. Zdemaskował go jego własny kucharz: Batyr pożera ryby! Woli je od czekolady. Nie jest wegeterianinem ani tym bardziej weganinem, frutarianinem czy choćby owowegetarianinem. On zjada osoby rybie, które czują, kochają, mają plany i marzenia! Trzeba je bronić. Planowana jest akcja „Save the ryby". Jej twarzami będą Maja Ostaszewska i inne osoby aktorskie znane z bohaterskiej obrony karpi wigilijnych.

Wścibskie media dotarły do oświadczeń majątkowych Pana Premiera ***Donalda Franciszka Tuska***. To przejaw braku odpowiedzialności za demokrację walczącą, bo wiadomo, że czytelnicy i widzowie chcą się dowiedzieć, ile nakradło PiS, a nie zaglądać do portfeli polityków demokratycznych i proeuropejskich.

Ale skoro już do tego doszło... Okazuje się, że Pan Premier zgromadził 1,5 mln peelenów oszczędności, dając tym samym przykład młodzieży, jak należy postępować w życiu. Pan Premier jest też emerytem, i to potrójnym, bowiem dostaje trzy emerytury. Razem to symboliczne 37 tys. zł brutto. Na szczęście pomaga mu też państwo polskie, wypłacając skromną pensję szefa rządu – 26 tys. zł brutto. Plus dieta poselska (to na waciki) i honoraria za książki. Miesięcznie razem wychodzi 65 tys. zł brutto. Niestety Donald Franciszek jest osobą w kryzysie bezdomności. W oświadczeniu majątkowym po raz kolejny podał, że nie ma żadnego własnego kącika ani nawet chatynki. Jest też osobą wykluczoną transportowo, bo nie ma również samochodu. Jedyną fajną rzeczą, którą posiada, jest wypasiony zegarek marki Seiko.

W ciemnych barwach rysuje się przyszłość ligi MMA. Tej amatorskiej, profesjonalnej i kompletnie nieprofesjonalnej. Wyrasta groźna konkurencja, czyli walka o władzę w Polsce 2050. ***Szymek Hołownia*** kontra Kaśka Pełczyńska-Nałęcz. Wybierzcie swojego wojownika! Media donoszą, że Szymek doszedł do siebie, odzyskał siły, a nawet równowagę psychiczną (dużo mniej płacze). Pojawiły się plotki, że chce wrócić do polityki. Wszyscy je dementują, więc to

eprasa.pl 7f496a23a7

musi być prawda. Plan jest następujący: Pan Premier Tusk spełni swoje największe pragnienie, czyli wyrzuci Pełczyńską-Nałęcz z rządu, a w jej miejsce wejdzie Szymek w randze wicepremiera. Jest mała różnica – Szymek zostaje ministrem kultury zamiast tej brzydko ostrzyżonej baby z Ciechanowa. Same pozytywy dla strony demokratycznej: Cienkowska zostaje ukarana za to, że ostatnio była niemiła dla Daniela Olbrychskiego, Kaśka idzie w odstawkę i przestaje pyskować, a Szymek ma zajęcie, więc już nie będzie łaził na darmowe żarcie do Adama Bielana.



Czytamy sondaże i widzimy, że w następnej kadencji nie złoży się nowy rząd Polski Uśmiechniętej. W każdym wariancie będzie za mało demokratów. Nic, tylko siąść i płakać.

Ależ nie! Jest nadzieja. I to Nowa Nadzieja. Z przyjemnością zagłębiliśmy się w lekturę tekstu w naszym ulubionym biuletynie partyjnym. „GazWyb" donosi: „Z sondaży wynika, że Koalicji Obywatelskiej zabraknie głosów do większości. Czy możliwy jest układ Konfederacji z KO? – Oczywiście. ***Mentzen*** by się nie wahał, gdyby dostał dobrą ofertę – słyszę w Konfederacji". Kochany Sławek! Niektórzy biorą go za jakiegoś prawaka, a wygląda na to, że jest szczerym demokratą. Identycznie jak Mecenas Roman, Misio Kamiński, Stefan Niesiołowski czy Kaz Marcinkiewicz. Ileż to kiedyś było pomyłek i nieporozumień w tym temacie, a i tak wszyscy spotkali się po praworządnej stronie. „GazWyb" informuje, że ze Sławkiem też tak będzie. Rysuje się następujący scenariusz: Pan Premier Tusk chowa się i rządzi z tylnego siedzenia, a oficjalnie szefem będzie Radek Sikorski albo Władysław Tygrysiak-Kamysz. „Mentzen, który wiesza co prawda psy na Tusku, w towarzystwie wspomnianych polityków czuje się dobrze, co było widać w Toruniu, gdy w swoim pubie pił piwo z Sikorskim". Przełkniemy to wieszanie psów na Panu Premierze, byle tylko Kaczor nie rządził.



Niech powyższe doniesienia o Nowej Nadziei strony demokratycznej i praworządnej (tak jak my rozumiemy praworządność) będą odpowiedzią dla ludzi małej wiary. Ze smutkiem wysłuchaliśmy rozmowy, którą przeprowadzili weterani mediów demokratycznych na kanale internetowym Lisa Tomasza w składzie: gospodarz – Lis, goście – ***Żakowski Jacek***, Władyka Wiesiek i Michalski Czarek. Wszyscy w stanie głębokiej depresji, kompulsywnych natręctw i braku wiary w świetlaną przyszłość Demokracji Walczącej: „To jest problem zmęczonej formacji. Dziś mam wrażenie jest tak, że jak się rozmawia z ludźmi, to oni w zasadzie uważają, że to się kończy, że do 2027 r. i koniec. I moim zdaniem to jest problem fundamentalny. I też mam wrażenie, jak obserwuję tweety Donalda Tuska, że on również już widzi siebie gdzie indziej. Ta drużyna nie wierzy, że wygra i nawet jeżeli stara się wygrać, to to już jest takie bez serca" – narzekał na obóz demokratyczny Żakowski Jacek. Inni mu wtórowali. „Przewodniczący ma prawo być zmęczony, zniechęcony sam do siebie. Obiecywał, że co miesiąc będzie się spotykał z obywatelami. Nie spotkał się ani razu. Od lat nie daje żadnych wywiadów prasowych, wręcz odmawia, co jest w ogóle niespotykane" – narzekał Władyka Wiesiek. No nie, to są już głupie pretensje. Po pierwsze, Pan Premier nie ma wrażenia, że coś obiecywał. Po drugie, cóż szkodzi obiecać. Po trzecie, dwa razy obiecać, to jak raz zrobić. Czyli łatwo policzyć – 100 obietnic ze 100 konkretów to jak 50 zrobionych rzeczy. Coś źle policzyliśmy?



Wbrew malkontentom ruszył wizerunkowy blitzkrieg Pana Premiera. Donald Franciszek sam sobie zawiązał krawat i ruszył na plan serialu „Ranczo". Posunięcie zostało bardzo dobrze odebrane przez opinię publiczną. Z dwóch powodów. Oto pierwszy: cały Tenkraj mógł zobaczyć, że Pan Premier w niczym nie ustępuje wójtowi Koziołowi i sekretarzowi Czerepachowi. A nawet ich przewyższył, zwłaszcza jeśli chodzi o ideowe podejście do polityki oraz uczciwość osobistą. A drugi powód jest taki, że ludożerka zajęła się podziwianiem Pana Premiera na planie „Rancza" i dzięki temu nie musiała się denerwować doniesieniami o Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego (czy jak się tam ona nazywa). Nieudacznicy rozpętali kampanię nienawiści i pomówień tylko z tego powodu, że nie potrafili wypełnić odpowiednich wniosków o pomoc dla powodzian. No to nie dostali tych pieniędzy, bo trafiły one do tych osób, które posiadły umiejętność wypełniania wniosków. Identyczna sytuacja jak z KPO na jachty i kluby swingersów. Tam też pieniądze dostali ci, którzy potrafili wypełnić wnioski. Nie przypadkiem Koalicja Obywatelska skupia takich ludzi. To przecież partia młodych, dobrze wykształconych, z wielkich ośrodków. Popatrzcie na posłów Filiks, Zembaczyńskiego i Frysztaka, wtedy wszystko zrozumiecie.



Jeśli chodzi o kolejne autorytety moralne, wiceminister Bosacki pochwalił się nadzwyczajnym gościem. Do jego drzwi zapukał pan Helmut, który mieszkał w tym domu w latach nazistowskiej okupacji. Jako Niemiec sam z pewnością był jej ofiarą. Pan Helmut podzielił się ciekawymi spostrzeżeniami, np. wskazał, gdzie spał polski parobek. Przecież ta wiedza zawsze może się przydać. Przy okazji tej wzruszającej wizyty dowiedzieliśmy się, że chałupa została przy Marcinie po tym, jak wypędził z niej starą Bosacką i czwórkę bachorów. Sprytny gość. Freundschaft!

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor (3x)

eprasa.pl 7f496a23a7

WIEŻA BAB

Zaćmienie, czyli kiedy PR wychodzi na pierwszy plan

Polityka ma swoje stałe prawa. Kiedy rząd ma dobry dzień, premier mówi o gospodarce. Kiedy ma bardzo dobry dzień, mówi o przyszłości. A kiedy dzień jest zdecydowanie gorszy, zawsze można znaleźć coś, co akurat zasługuje na uwagę internetu: zaćmienie Słońca, wizytę na planie serialu, żart z prezydentem albo ujęcie premiera poprawiającego krawat.

W polityce obrazek jest niezwykle wygodny. Nie wymaga twardych danych ani odpowiedzi na dodatkowe pytania

To ostatnie jest szczególnie interesujące, bo pokazuje, jak bardzo współczesna polityka przypomina produkcję telewizyjną. Najważniejsze nie jest już tylko to, co dzieje się w państwie. Równie ważne jest to, co zmieści się w minutowym filmiku, najlepiej z muzyką, odpowiednim kadrem i puentą nadającą się do publikacji w mediach społecznościowych.

Najwyraźniej Donald Tusk dobrze rozumie tę zasadę. Gdy wokół jego obozu pojawiają się niewygodne pytania, można przecież zrobić coś znacznie prostszego niż mozolne odpowiadanie na każde z nich: zmienić temat.

Zaćmienie? Doskonałe. Operacja „Zaćmienie" brzmi nawet jak nazwa tajnej akcji służb specjalnych, choć w praktyce chodziło o obserwowanie zjawiska astronomicznego. Plan serialu „Ranczo"? Jeszcze lepiej. Jest aktor, jest limuzyna, jest żart o prezydencie i premierze z tej samej miejscowości. Materiał gotowy. Państwo może poczekać, internet nie.

Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy ktoś zapyta: no dobrze, ale co z tymi wszystkimi sprawami, o których premier nie nagrał zabawnego filmiku? I tu zaczyna się prawdziwa sztuka politycznego PR.

Bo przecież opisywane przez media wątpliwości dotyczące rozdysponowania środków pomocy powodziowej nie są szczególnie fotogeniczne. Z dokumentów, procedur, zaświadczeń o szkodach i kontroli bezstronności trudno zrobić wiralowy materiał na TikToka. Jeszcze trudniej odpowiedzieć jednym memem na pytanie, dlaczego miliony złotych trafiły do firm powiązanych lokalnie z osobą związaną z KO.



Według ustaleń Wirtualnej Polski chodziło o 4,5 mln zł pożyczek dla trzech firm z Dziwiszowa. Jedna z nich należała do męża polityczki KO związanej z KARR, kolejne były prowadzone przez osoby z jej sąsiedztwa. Wątpliwości dziennikarzy dotyczyły m.in. sposobu dokumentowania szkód powodziowych i weryfikacji wniosków. Tymczasem komunikacyjnie najłatwiejsza jest inna metoda: skoro temat jest niewygodny, trzeba znaleźć temat przyjemniejszy.

Tutaj premier ma przewagę nad przeciętnym obywatelem – może po prostu uruchomić państwowy aparat PR. Zdjęcie. Film. Żart. Serial. Krawat. Limuzyna. Zaćmienie. I nagle zamiast pytać o miliony, zaczynamy rozmawiać o „Ranczu".

To nie pierwszy raz. Wcześniej, gdy było głośno o kontrowersjach wokół wydawania pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy, premier również potrafił znaleźć atrakcyjny obrazek zastępczy. W polityce obrazek jest bowiem niezwykle wygodny. Nie wymaga twardych danych ani odpowiedzi na dodatkowe pytania. Obrazek ma tylko jedną wadę: nie rozwiązuje problemu. Można pokazać Bałtyk. Można pokazać farmę wiatrową. Można pokazać aktorów z „Rancza". Można patrzeć na zaćmienie. Ale nawet najładniejsze zdjęcie nie sprawi, że kwestia publicznych pieniędzy przestanie istnieć. I właśnie tutaj zaczyna się różnica między PR a rządzeniem. PR mówi: „spójrzcie tutaj". Rządzenie powinno powiedzieć: „oto dokumenty, oto procedury, oto osoby odpowiedzialne i oto odpowiedzi".

Jeżeli wszystko jest w porządku, tym lepiej. Wtedy kontrola powinna to wykazać, a premier powinien mieć świetny argument przeciwko swoim krytykom. Jeżeli natomiast nie jest w porządku, żaden filmik tego nie naprawi. Najbardziej przewrotny jest zresztą sam pomysł operacji „Zaćmienie". Bo w polityce zaćmienie rzeczywiście może wystąpić, tyle że niekoniecznie na niebie. Czasem zaćmieniu ulega po prostu zdolność dostrzeżenia problemu, który znajduje się dokładnie przed oczami. I wtedy można długo patrzeć w górę. Byle tylko nikt nie poprosił o zajrzenie do dokumentów.

Dorota Łosiewicz

RUDY i BRUDY

Z ŻYCIA PREMIERA TENKRAJU

Wypalanie gorącym żelazem

Pod zamkniętym na klucz gabinetem Ronalda Kła zebrały się największe gwiazdy demokratycznego dziennikarstwa: zmysłowo uwodzicielska Justyna Szop-Pracz, zasadnicza i bezstronna Dorota Niewysoka oraz uroczo roztrzepana Agnieszka Głoszbira. Panie zostały zaproszone przez szefa rządu, by pomóc zażegnać kryzys medialny wywołany doniesieniami o kolejnym skandalu z udziałem przedstawicieli partii rządzącej. Tym razem poszło o wypłacanie milionowych środków popowodziowych tym, których powódź nie dotknęła.

– Może zanim przyjdzie Ronald, naradźmy się nad wspólnym stanowiskiem – zaproponowała Niewysoka, zaznaczając przy tym dyskretnie pewien stopień zażyłości z premierem.

– A nad czym się tutaj naradzać? – zapytała zaczepnie Głoszbira. – Wrogowie partii rzucają fałszywe oskarżenia. Trzeba zamknąć opozycyjne media, to problem się sam rozwiąże!

– Zamykanie redakcji nic nie da – zaoponowała Szop-Pracz. – Trzeba zamknąć wszystkich nieprawomyślnych dziennikarzy. A społeczeństwu mocno ograniczyć dostęp do internetu. Cenzura w sieci jest niezbędna. Ja na przykład jestem codziennie narażona na falę hejtu. Gdybyście przeczytały te nienawistne wpisy, które pokazują się pod moimi zdjęciami na Insta lub na Igreku.

– Zaraz tam nienawistne... Ludzie tylko piszą, że źle wyglądasz. Z prawdą nie ma co polemizować – powiedziała Niewysoka, z czego można było wywnioskować, że obserwuje profil koleżanki po fachu.

– Ty się, Dorota, ode mnie odczep – wysepleniła ze złością Szop-Pracz. – Ty też wcale nie jesteś piękna, arcykapłanko propagandy!

– Nie kłóćcie się! Musicie być ponad takie przyziemne sprawy – zaapelowała Głoszbira. I dodała z uśmiechem – Choć moich zdjęć nikt złośliwie nie komentuje...

– Nie komentuje, bo zablokowałaś publikację komentarzy – odwarknęła Niewysoka.

Niewiele brakowało, by doszło do rękoczynów, gdy między panie wkroczył minister spraw wewnętrznych Marcin Pogłosowski.

– Co to za krzyki? Mamy dosyć problemów, żeby jeszcze kłócić się między sobą – powiedział stanowczo, następnie wyjął klucz i otworzył drzwi gabinetu premiera.

– Kiedy przyjdzie premier? – zapytała Szop-Pracz, trzepocąc rzęsami.

– Nie przyjdzie – odpowiedział z grobową miną Pogłosowski.

– Ale przecież nas wezwał, by ratować wizerunek – stwierdziła Głoszbira.

– Obawiam się, że od czasu, kiedy was wezwał, do teraz sporo się zmieniło – zaczął ostrożnie minister.

– Co się zmieniło? Widziałam, jak wczoraj Kieł mówił na konferencji, że będzie wypalał gorącym żelazem wszelkie



nieprawidłowości. Był taki przekonujący! – głos Doroty Niewysokiej zadrżał z emocji.

– Niestety tuż po konferencji Kieł usiadł w tym gabinecie z kartką papieru i zaczął wypisywać wszystkie skandale, które dotknęły nasze ugrupowanie w ciągu ostatnich prawie trzech lat.

– I co? – gwiazdy telewizji zapytały chórem.

– I to, że zabrakło mu kartki! No to wziął drugą i pisał dalej – kontynuował zaufany minister. – Po zapisaniu czwartej kartki zapytał mnie, czy na pewno wypisał już wszystkie afery. Przeczytałem i musiałem uzupełnić listę o jachty i kluby swingersów. Na to Kieł jęknął i wybiegł.

– I co? – panie się powtórzyły.

– Kiedy wybiegał z KPRM, to krzyczał na głos, że tyle żelaza do wypalania to nawet wszystkie huty w Tenkraju nie wyprodukują – relacjonował Pogłosowski. – Przebiegł na drugą stronę ulicy i zniknął w parku. Zniknął i dopiero dzisiaj rano pojawił się na Igreku. Najpierw na planie serialu, a potem na morzu. Panie to widziały?

– Nie! – kobiety znowu odpowiedziały chórem.

– Kieł najpierw pojawił się na ranczu, gdzie kręcą serial, i tam udawał, że aktor, który gra prezydenta, to prawdziwy prezydent i gadał z nim jak z prezydentem, choć normalnie z prezydentem nie gada – Pogłosowski starał się wytłumaczyć coś, czego nie da się wytłumaczyć. – Następnie pojawił się nad morzem i zaczął opowiadać, że na morzu nikt z nami nie wygra wojny, w ogóle ignorując fakt, że nikt nie chce nas atakować na morzu. Moim zdaniem jest jedno wytłumaczenie: Kieł idzie w niepoczytalność.

– Ale po co?! – zapytał żeński chór.

– Bo nie chce pójść do więzienia po zmianie władzy. Albo – minister zniżył głos – co jeszcze gorsze, stał się naprawdę niepoczytalny...

W gabinecie zapadła cisza, którą zakłócił huk upadającego na podłogę ciała omdlałej Justyny Szop-Pracz.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl 7f496a23a7



Arabia Saudyjska

Fot. Rex Features/East News

Islamskie NATO

Przywódcy trzech państw islamskich z większością sunnicką – Arabii Saudyjskiej, Turcji i Pakistanu – podpisali w Mekce, świętym mieście muzułmanów, pakt obronny wzorowany na NATO. Umowa zawiera bowiem klauzulę, w świetle której atak na jednego z sygnatariuszy będzie uznawany za agresję na wszystkich pozostałych. W negocjacjach poprzedzających zawarcie umowy brał udział Egipt, ale ostatecznie nie dołączył do paktu.

W sojuszu uczestniczy Pakistan, jedyne państwo muzułmańskie posiadające broń jądrową, co otwiera kwestię jej proliferacji w kontekście utworzenia „islamskiego NATO". Tym bardziej że Arabia Saudyjska podpisała niedawno porozumienie z USA, zakładające rozwój jej energetyki jądrowej, a także dopuszczające – pod pewnymi warunkami – wzbogacanie materiałów rozszczepialnych. Również Turcja nie kryje nuklearnych ambicji.

Architektem negocjowanej od dwóch lat umowy jest właśnie Ankara. To do pewnego stopnia wyjaśnia, dlaczego Egipt na razie nie zdecydował się na przystąpienie do „islamskiego NATO", które w Kairze jest uznawane za jednoznacznie antyizraelskie. Szef tureckiej dyplomacji określił niedawno Izrael mianem „ciężaru, którego ludzkość nie jest już w stanie udźwignąć", co zostało uznane w Jerozolimie za „nawoływanie do holokaustu". Zdaniem Egiptu nowy pakt utrudnia też współpracę ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Katarem, z którymi napięte stosunki utrzymywali z kolei Saudowie.

Na podpisanie traktatu nerwowo zareagował Iran, który ostrzegł Arabię Saudyjską, że „papierowe porozumienia" nie zapewnią jej bezpieczeństwa. Jesienią ub.r. Pakistan i Arabia Saudyjska podpisały wspólny sojusz obronny, który jednak nie oznaczał automatycznego zaangażowania Pakistanu po tym, jak Iran zaatakował cele w Arabii. W takim ujęciu otwarte pozostaje pytanie, czy zawarta umowa oznacza utworzenie pełnokrwistego sojuszu wojskowego, którego uczestnicy zamierzają trwale wpływać na regionalny układ sił, czy mamy raczej do czynienia ze wspólną deklaracją polityczną bez długofalowych konsekwencji.

Marek Budzisz



Wielka Brytania

Zmyślony profesor

W 2023 r. w wieku 37 lat Jason Arday został najmłodszym czarnoskórym profesorem w historii Uniwersytetu Cambridge. Teraz zrezygnował ze stanowiska w związku z oskarżeniami o plagiat i narastającymi wątpliwościami wobec prawdziwości jego życiorysu.

Arday, dziecko imigrantów z Ghany, przedstawiciel klasy niższej, czarnoskóry, neuroatypowy, autystyczny – spełniał wszystkie warunki tzw. różnorodności, promowanej na brytyjskich uczelniach. Dlatego nikt nie zwracał uwagi na to, co socjolog edukacji opowiadał o swoim życiu, choć były to opowieści wręcz fantastyczne. Twierdził np., że przebiegł z Edynburga do Londynu (950 km) w ciągu sześciu dni w ramach akcji charytatywnej. Taki wyczyn pozwoliłby mu dołączyć do ścisłej czołówki ultramaratończyków. Skarżył się także na rasizm. Zamaskowani mężczyźni mieli grozić, że go zabiją, jeśli nie zrezygnuje ze stanowiska, a do domu jego rodziców miała zostać wysłana odcięta głowa świni. Monitoring nie uchwycił jednak intruzów, a policja zarzekała się, że nic nie wie o tych incydentach. Były też inne kłamstwa. Arday chwalił się udziałem w serialu dokumentalnym BBC „Seven Up" o dzieciach z klasy robotniczej, tyle że emisja serialu rozpoczęła się w 1964 r., ponad 20 lat przed jego narodzinami. Nie był także profesorem wizytującym na Uniwersytecie Nelsona Mandeli w RPA, Uniwersytecie w Glasgow ani na Uniwersytecie Stanowym Ohio, choć wszystkie te stanowiska figurowały w jego oficjalnej biografii.

Zarzut plagiatu pojawił się w lipcu. Analiza wykazała, że ponad 100 fragmentów rozprawy doktorskiej Ardaya jest podobnych do pracy dr Pauli Zwozdiak-Myers z Brunel University w Londynie, opublikowanej sześć lat wcześniej. Początkowo Uniwersytet Cambridge twierdził, że osoby podważające rzetelność Ardaya kierują się rasizmem, a sam zainteresowany nazwał swoich krytyków „rakiem", który powinno się „wyplenić z akademii". Zrezygnował dopiero wtedy, gdy po śledztwie dziennika „The Guardian" uczelnia zdecydowała się zbadać jego przeszłość. „Chcę odzyskać spokój, prywatność i namiastkę normalnego życia" – zaznaczył.

Nie ulega wątpliwości, że Arday, który twierdzi, że nie mówił aż do 11. roku życia i nie potrafił czytać ani pisać aż do 18. roku życia, zrobił błyskawiczną karierę, ponieważ Uniwersytet w Cambridge potrzebował czarnoskórego „profesora", aby pokazać, że nie jest uczelnią „skostniałych" białych elit. Krytycy jego kariery, np. prof. Nathan Cofnas, podkreślali, że Arday zaszedł tak wysoko, bo jest czarny, a nie dlatego, że ma kwalifikacje. „W prawdziwym systemie merytokracji byłoby prawie zero czarnoskórych profesorów" – napisał Cofnas.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 7f496a23a7

Ideologia gender w odwrocie



W środowiskach medycznych w USA głośno jest o sprawie Texas Children's Hospital – szpitala dziecięcego, w którym przez lata przeprowadzano operacje tranzycji (tzw. zmiany płci). Placówka zgodziła się zapłacić 10 mln dol. grzywny, zadośćuczynienia i odszkodowania oraz przez pięć lat finansować klinikę, w której będą dokonywane zabiegi detranzycji (czyli powrotu do płci biologicznej).

Skąd taka decyzja? Okazuje się, że wspomniany ośrodek zdrowia naruszył prawo stanowe, które zabrania stosowania terapii i zabiegów zmiany płci. Zakazując tych praktyk, ustawodawca nazywał je „znęcaniem się nad dziećmi". Mimo to trzech lekarzy w szpitalu nadal potajemnie zajmowało się tym procederem. Wśród nich znajdowała się m.in. dr Kristy Rialon, której pacjentami były dzieci od 1. do 15. roku życia. Kiedy sprawa wyszła na jaw, Departament Sprawiedliwości i prokuratura stanu Teksas wszczęły dochodzenie przeciw szpitalowi. W efekcie zawarto pozasądową ugodę. Pozwana placówka zwolniła pracowników, którzy krzywdzili dzieci, oraz zobowiązała się nigdy nie zatrudniać lub akredytować lekarzy zajmujących się takimi praktykami.

Prokurator generalny Teksasu Ken Paxton stwierdził, że to „historyczne porozumienie stanowi druzgocącą porażkę radykalnej ideologii gender, która pod płaszczykiem »opieki« żeruje na teksańskich dzieciach". Dodał, że jest to jednoznaczny sygnał wysłany do środowisk, które przyczyniają się do nieodwracalnych okaleczeń wśród osób nieletnich: „Jeśli przedłożą one radykalną ideologię ponad zdrowie dzieci, moje biuro podejmie przeciwko nim działania. Nadal będziemy przewodzić walce o powstrzymanie radykalnej agendy gender skrajnej lewicy". W podobnym tonie wypowiedział się Todd Blanche, prokurator generalny USA, który ostrzegł, że „wykorzysta każdą dostępną mu broń, aby położyć kres destrukcyjnej i zdyskredytowanej praktyce tzw. opieki afirmującej płeć dzieci".

Grzegorz Górny



Przymusowe obcinanie bród

Posowiecki Tadżykistan broni się przed wpływami radykalnego islamu, tropiąc mężczyzn z długimi brodami oraz kobiety zakrywające głowy chustą. Może nie byłoby w tym nic zaskakującego, gdyby nie to, że 95 proc. ludności tego środkowoazjatyckiego państwa stanowią muzułmanie. Rządzący krajem prezydent Rahmon potępił „obcy strój" jako formę ekstremizmu politycznego i religijnego.

Emomali Rahmon, stojący na czele Tadżykistanu od 1992 r. były komunistyczny aparatczyk, jest najdłużej urzędującym szefem państwa spośród wszystkich przywódców byłych republik sowieckich. Jego dożywotniej władzy wciąż zagrażają rebelie klanowe oraz protesty, które bardzo często przybierają charakter religijny. W latach 90. Tadżykistan stał się areną wojny domowej, zakończonej dopuszczeniem islamskiej opozycji do władzy. Porozumienie zostało jednak zerwane, a główną siłę opozycyjną, którą była Islamska Partia Odrodzenia, zdelegalizowano pod zarzutem przygotowań do zamachu stanu. Od tamtych czasów Rahmon konsekwentnie eliminuje religię z życia publicznego, dopatrując się w niej zagrożenia dla swojej władzy.

W 2009 r. wprowadzono zakaz noszenia hidżabu w instytucjach rządowych i na uniwersytetach, a dwa lata temu rozszerzono go na wszystkich obywateli, nowelizując ustawę o tradycjach i ceremoniach. Przy okazji zakazano m.in. obchodzenia przez dzieci ramadanu, a także świętowania pielgrzymki do Mekki. Ograniczono również religijny wymiar ceremonii ślubnych.

Zdaniem Radia Wolna Europa represje wobec muzułmańskiego stroju są skuteczne. Jeden z tadżyckich muzułmanów, którego relację przytacza rozgłośnia, został zatrzymany przez policję na trzy dni i ukarany grzywną z powodu długiej brody. Teraz musi co tydzień wysyłać policji selfie, aby udowodnić, że jest ogolony.

Literalnie ustawa nie zakazuje noszenia brody, ale uważa się ją za integralny element niepożądanego wyglądu. Używa się więc różnych pretekstów, by zmusić mężczyzn do golenia zarostu, np. przy okazji wyrabiania zdjęć paszportowych. Osoby takie trafiają potem do policyjnych kartotek. Podobne restrykcje dotyczą kobiet noszących chusty. Nakazuje się im pokazywanie całej twarzy nie tylko w urzędach, lecz także podczas wizyt u lekarza.

Władze uzasadniają swoją decyzję koniecznością ochrony rodzimej kultury przed obcymi naleciałościami oraz zapobiegania przesądom i fanatyzmowi. Nie jest jednak tajemnicą, że chodzi tu raczej o obronę kraju przed ekstremistycznymi odmianami islamu, zwłaszcza salafizmem, który – finansowany przez bogatych szejków z krajów Zatoki Perskiej – aktywnie buduje nowe przyczółki w Azji Środkowej.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7f496a23a7

Upały, blackouty i brukselskie mrzonki

Lato 2026 r. bezlitośnie pokazało, co naprawdę liczy się w energetyce. Nie hasła ratowania klimatu, lecz rezerwa mocy, stabilne bloki i skuteczne chłodzenie. Gdy temperatura przekraczała 40 st. Celsjusza, a Wisła i Dunaj oraz inne rzeki wysychały, systemy w Europie zaczęły trzeszczeć. W Polsce – lokalne awarie, ograniczenia w pracy elektrowni węglowych, redukcja farm fotowoltaicznych, by sieć nie padła. We Francji zmniejszano moc atomu, bo rzeki były zbyt ciepłe. Na Węgrzech elektrownia Paks pracowała na minimum. W Bretanii tysiące domów zostało bez prądu po przegrzaniu systemu. To nie wypadek – to skutek polityki, która od lat stawia na bezskuteczną walkę z klimatem ponad dostosowanie do jego zmian.

Klimat się zmienia. Nie mamy na to realnego wpływu. Globalne emisje rosną niezależnie od europejskich wysiłków, a Polska odpowiada za ułamek ich procenta. Tymczasem Bruksela i rząd Donalda Tuska uparcie trwają przy ideologii, która podnosi koszty i osłabia system.

Zamiast budować odporność – dyspozycyjne moce chłodzone obiegiem zamkniętym, solidne sieci, atom i magazyny – mnożą regulacje, które uzależniają nas od kaprysów pogody. W tej sprawie rząd Tuska nie tylko nie broni polskich interesów – on je aktywnie osłabia. 14 lipca Rada Ministrów przyjęła projekt nowelizacji ustawy o odnawialnych źródłach energii. Więcej wsparcia dla OZE, ułatwienia dla prosumentów, kolejne aukcje. Wszystko po to, by przyspieszyć „transformację", czyli dalsze obciążanie systemu niestabilnymi źródłami. Sejm doprecyzował zasady przyłączania do sieci. Trwają prace nad przywróceniem obliga giełdowego. Jednocześnie skończył się program obniżek na paliwa, wróciły pełne stawki, a na horyzoncie majaczy stałe obciążenie branży rafineryjnej i gazowej.

Atom? Inwestycja pod rządami Tuska właściwie stoi. Negocjacje umowy na budowę ciągną się jak guma do żucia. Oddano plac budowy, ale to wciąż etap przygotowań. Rząd chwali się przekazaniem terenu, podczas gdy kluczowe kontrakty stoją w miejscu, a opóźnienie jest liczone w latach. Pierwszy blok jest planowany na lata 2036–2037 zamiast na 2033 r. To nie jest zarządzanie – to bierność przebrana za postęp. Efekty tej polityki widać latem.



Dostosujmy się do zmian, których nie kontrolujemy, zamiast tracić miliardy na walkę, która i tak nic nie zmieni

Wysokie temperatury zwiększają zapotrzebowanie na klimatyzację i jednocześnie obniżają sprawność elektrowni chłodzonych wodą z rzek. Źródła zależne od pogody dają dużo prądu w południe, a wieczorem – gdy ludzie wracają do domów – już nie. Operatorzy redukują fotowoltaikę, sięgają po rynek mocy, a rezerwy topnieją. Europa pamięta niedawny hiszpańsko-portugalski blackout z 2025 r. Obecne upały i susza testują systemy ponownie. Niestabilne OZE nie ratują sytuacji – one ją pogarszają, gdy system najbardziej potrzebuje mocy dyspozycyjnej. Rząd Tuska, zamiast to naprawiać, dokłada kolejne ułatwienia dla tych samych źródeł i milczy wobec Brukseli.

Walka z klimatem w obecnym kształcie jest droga i bezskuteczna. Europa płaci za to wyższymi rachunkami, ryzykiem przerw w dostawach i osłabieniem przemysłu. Rozsądniejsze jest dostosowanie – wzmacnianie systemu tak by wytrzymywał fale upałów i mrozy, budowa stabilnych źródeł, które działają niezależnie od wiatru i słońca, oraz ochrona portfeli użytkowników. Polska ma węgiel, potencjał jądrowy i ludzi, którzy potrafią budować. Wystarczy przestać udawać, że da się zmienić klimat uchwałami i wiatrakami. Rząd Tuska nie stawia oporu. Nie walczy o polski interes. Przyjmuje kolejne unijne ramy, opóźnia atom, pcha niestabilne OZE i dokłada obciążenia na paliwa i gaz.

W Warszawie i Brukseli przygotowywane są następne regulacje – nierealistyczne, kosztowne i groźne dla bezpieczeństwa energetycznego. Jeśli nikt ich nie zatrzyma, zapłacimy wszyscy: wyższymi rachunkami, lokalnymi blackoutami i uzależnieniem od importu. Tylko wspólny, zdecydowany głos prawicy i zwykłych obywateli może to zmienić. Głos, który powie jasno: bezpieczeństwo dostaw, stabilne ceny i polska suwerenność energetyczna są ważniejsze niż brukselskie cele pisane pod dyktando ideologów. Czas wrócić do rozsądku. Bo prąd nie płynie z rezolucji, a upał nie czeka na unijne dyrektywy. Dostosujmy się do zmian, których nie kontrolujemy, zamiast tracić miliardy na walkę, która i tak nic nie zmieni.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 7f496a23a7

Zmiana kalkulacji strategicznych?



Marta Kaczyńska-Zielińska

Zawarcie 7 sierpnia 2026 r. Mekkańskiego Wspólnego Porozumienia Obronnego przez Arabię Saudyjską, Turcję i Pakistan może się okazać jednym z ważniejszych wydarzeń w procesie przebudowy architektury bezpieczeństwa Bliskiego Wschodu. Znaczenie dokumentu wykracza bowiem poza zwykłą deklarację współpracy wojskowej. Jego najważniejsza klauzula, zgodnie z którą atak na jedno z państw-sygnatariuszy ma być traktowany jak atak na wszystkie, przypomina art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego i wprowadza element zbiorowej obrony do relacji między trzema najsilniejszymi militarnie i politycznie państwami świata sunnickiego.

W geopolityce znaczenie sojuszu określa nie tylko literalna treść dokumentu, lecz także moment jego zawarcia, potencjał jego uczestników oraz ich percepcja zagrożeń. Pod tym względem pakt z Mekki trudno traktować jako wydarzenie neutralne. Jest on odpowiedzią na przyspieszającą fragmentację regionalnego systemu bezpieczeństwa oraz rosnące przekonanie, że dotychczasowy model, bazujący przede wszystkim na amerykańskiej obecności wojskowej i gwarancjach Waszyngtonu, nie zapewnia już państwom regionu bezpieczeństwa na wystarczającym poziomie.

Znaczenie nowego układu wynika przede wszystkim z komplementarności jego uczestników. Arabia Saudyjska wnosi kapitał, zasoby energetyczne, ogromne możliwości finansowania zakupów uzbrojenia oraz szczególną pozycję polityczną w świecie arabskim i islamskim. Turcja dysponuje jedną z największych armii NATO, doświadczeniem operacyjnym zdobytym w Syrii, Iraku, Libii i na Kaukazie oraz dynamicznie rozwijającym się przemysłem obronnym. Pakistan ma arsenał nuklearny oraz doświadczenie strategiczne związane z odstraszaniem jądrowym.

Bezpośredniej przyczyny zawarcia porozumienia należy szukać w doświadczeniach wojny Izraela i USA z Iranem. Konflikt pokazał zarówno skalę irańskiego potencjału rakietowego i dronowego, rozwijanego przez lata przy współpracy z Rosją i Chinami, jak i ograniczenia dotychczasowej architektury bezpieczeństwa regionu. Nie oznacza to wycofania Ameryki z Bliskiego Wschodu. USA nadal dysponują tam rozbudowaną infrastrukturą wojskową, bazami, systemami obrony przeciwrakietowej oraz utrzymują relacje bilateralne, których obecnie żadne inne mocarstwo nie jest w stanie całkowicie zastąpić. Zmieniła się jednak percepcja amerykańskiego zaangażowania. Pakt z Mekki nie zastępuje gwarancji USA, ale stanowi instrument równoważenia Iranu.

Kandydatem na członka paktu jest Egipt. Jego przystąpienie do porozumienia zasadniczo zwiększyłoby polityczne i militarne znaczenie porozumienia. Egipt dysponuje jedną z największych armii świata arabskiego, kontroluje Kanał Sueski i pozostaje kluczowym państwem z punktu widzenia bezpieczeństwa Morza Czerwonego, wschodniej części Morza Śródziemnego oraz Afryki Północnej. Pozostaje też beneficjentem amerykańskiej pomocy wojskowej, ma podpisany traktat pokojowy z Izraelem i równocześnie rozwija kontakty z Rosją, Chinami oraz państwami Zatoki.

Dotychczasowa izraelska przewaga regionalna bazowała nie tylko na własnym potencjale wojskowym i nuklearnym, lecz także na szczególnych relacjach z USA. Ankara, dysponująca F-35, rozwijająca własny myśliwiec piątej generacji Kaan i jednocześnie związana paktem obronnym z Arabią Saudyjską oraz Pakistanem, tworzyłaby zupełnie inną konfigurację strategiczną niż gdyby funkcjonowała wyłącznie jako członek NATO. Pogłębiająca się współpraca Izraela ze ZEA i Indiami tworzy z kolei konkurencyjną sieć powiązań.

W rezultacie na Bliskim Wschodzie może dojść do utworzenia kilku przecinających się osi bezpieczeństwa, które nie będą odpowiadały tradycyjnemu podziałowi na „obóz amerykański" i jego przeciwników.



Naszej Koleżance

MAGDALENIE PENDOWSKIEJ

najszczersze wyrazy współczucia
i słowa otuchy
w trudnych chwilach po śmierci

TATY

składają
Zarząd oraz koledzy i koleżanki z Fratrii

eprasa.pl 7f496a23a7



Walizka Rafała Jarząbka

reportera telewizji wPolsce24





Podróżować zacząłem stosunkowo późno. Nie licząc kilku wyjazdów nad polskie morze, w dzieciństwie skupiałem się raczej na odkrywaniu podwórka od nieoczywistej strony. To tam podróżowałem podczas różnych zabaw, udając agenta 007, a innym razem harleyowca, przemierzającego Arizonę na swoim motocyklu. Zamiast Arizony był chodnik na mojej ośce, a motocyklem był rower. Teraz nie jeżdżę rowerem, mam za to wspaniałe Ducati, na którym co prawda nie byłem w Arizonie, ale raczej nie odmawiam sobie krótszych i dłuższych wycieczek na dwóch kołach. Dodatkowo w profesję reportera są wpisane częste wyjazdy. To chyba moja ulubiona część tej pracy, bo oprócz rozmów z fascynującymi osobami mogę podziwiać to, jak piękny i różnorodny jest ten nasz dziwny świat.



DUCATI DIAVEL

Zacznijmy od tego, że Ducati Diavel V4 to mój motocykl marzeń. Od dziecka byłem fanem filmów i komiksów o przygodach Batmana, dlatego wybrałem tę maszynę. Proszę spojrzeć – czy ten mój czerwony diabełek nie wygląda jak motocykl Batmana? Wystarczy go dosiąść i człowiek czuje się jak superbohater.

KIJ BASEBALLOWY

W długiej podróży warto zrobić sobie przerwę, która nie zawsze musi oznaczać lenistwo – wszak sport potrafi odprężyć lepiej niż masaż i sen. Dlatego zabieram ze sobą kij baseballowy. W połączeniu z dobrze rzuconą piłką i celnym odbiciem daje niesamowitą satysfakcję, podobnie jak celnie zadane pytanie na konferencji prasowej.



Fot. Andrzej Wiktor, prywatne archiwum Rafała Jarząbka, Shutterstock

eprasa.pl 7f496a23a7



SMAR I CLEANER



O sprzęt trzeba dbać, tylko wtedy możemy mieć pewność, że nas nie zawiedzie. Dlatego ten sprzęt zabieram w każdą podróż. Po dojechaniu na miejsce zawsze najpierw czyścimy łańcuch i smarujemy go, dopiero potem można pójść spać. Ta rutyna pozwala mi cieszyć się jazdą, a nie martwić kosztami serwisu.

INTERCOM



Mały gadżet, a daje masę radości podczas jazdy i bardzo ułatwia życie. Dzięki niemu mogę słuchać swoich ulubionych podcastów kryminalnych w kasku. Słuchanie muzyki też nie stanowi problemu, podobnie jak odbieranie telefonów od tych, którzy nie mogą się doczekać, kiedy wrócę do pracy po urlopie.

PERFUMY



To coś, czego nigdy nie zapominam. Jako reporter często zajmuje się sprawami, które śmierdzą na kilometr. Dlatego zawsze staram się dobrze pachnieć, by nikt nie pomyślał, że jest ze mnie jakiś śmierdzący aferzysta. To zostawiam politykom.

CZAPKI



Pasja, która zrodziła się, gdy zacząłem łysieć. Ogromny kompleks przerodził się w miłość do nakryć głowy. Ile mam w domu czapek? Nie potrafię tego zliczyć, a ich liczba cały czas się powiększa, bo nie wrócę z podróży do domu bez nowej czapki.

KSIĄŻKI



Jestem raczej nostalgiczny i lubię wracać do chwil z przeszłości. Pomagają mi w tym książki. „Ja, kibic" przypomina mi o czasach, kiedy często chodziłem na mecze, a na stadionach działy się różne rzeczy. „Miasto noży" Wojtka Muchy to z kolei fajna podróż do Krakowa sprzed 20, 30 lat. Mimo że nie pochodzę z tego miasta, odnajduję w tej książce wiele wspólnych mianowników z Warszawą lat 90. i pierwszej dekady XXI w.

KLUCZE



Dobry dziennikarz wie, jak dokręcić śrubę. Ja staram się dokręcać ją w pracy, zadając trudne pytania. Na wyjazdach zadowalam się jednak kompletem kluczy.

ODKURZACZ



W świecie polityki siedzę od 18 lat. I co tu dużo mówić – widziałem niejeden bajzel, dlatego nie ruszam się bez przenośnego odkurzacza. Dzięki niemu bajzlu nie ma. Wystarczy szybkie wziu-wziu i posprzątane.

KASK



Bezpieczeństwo to podstawa – czy na drodze, podczas jazdy motocyklem, czy w życiu. I o takie bezpieczeństwo dbam zawsze, w szczególności jeżeli chodzi o bezpieczeństwo moich informatorów.

BÓG

Jest też coś, co zawsze zabieram ze sobą, ale nie da się tego uchwycić na zdjęciu. To Bóg, który jest najlepszym drogowskazem. Żadna nawigacja, mapy satelitarna czy kompasy nie mogą się z nim równać. Obsługa też jest banalna. Wystarczy iść z nim i to daje pewność, że zawsze trafi się do domu.

ZBROJA MOTOCYKLOWA



To też kwestia bezpieczeństwa, a także wygody. W upalne dni wybieram właśnie zbroje zamiast kurtki motocyklowej. Przewiewna, lekka i sprawdzona. Polecam Jarząbek.

Wysłuchał ***Michał Korsun***

eprasa.pl 7f496a23a7

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dzieją się rzeczy nieodwracalne...



Jan Pietrzak

„Berliner Zeitung" ujawniła, że przed paroma laty sitwa europejska zupełnie bezprawnie i nieoficjalnie przeznaczyła na sfinansowanie kampanii wyborczej w Polsce 40 mln ojro. By wybrać przekupnych ludzi do Sejmu i Senatu. I co mamy zrobić z tą wiedzą?

Bezczelna szajka korupcjantów *vel* korupciarzy od trzech lat obsadza wszystkie banki, kasy, bankomaty, VAT-y i na okrągło, przez całą dobę nas okrada, by do końca kadencji nastąpiła kompletna plajta finansowa, czyli krach na giełdzie i związane z tym nieszczęścia. Wtedy zostanie uruchomiona braterska pomoc, czyli przejęcie NBP, przeskok do strefy ojro, grabież polskiego złota i wszystkiego, co jest jeszcze polską własnością, jak Lasy Państwowe (jedna trzecia terytorium kraju), ORLEN, PKP, porty lotnicze i morskie i inne. Zostanie zastosowany wariant grecki. Kto ma w Polsce możliwości, by przerwać tę grabież?

Nie wątpię, że istnieją jeszcze porządni ludzie, są przyzwoite partie, ale brak im jednego niezbędnego czynnika – odwagi i woli walki! A dzieją się rzeczy nieodwracalne. Rozkradną nam Polskę, rozdrapią na strzępy. Robili to wielokrotnie przez stulecia i teraz też robią. Utopili pieniądze dla powodzian, szpitale odchudzili agonalnie, fundusz KPO zgarnęli dla własnych pociotków. To przykłady pierwsze z brzegu.

Moi wrogowie, których przez lata pracy dorobiłem się w nadmiarze, słysząc takie rozważania, zarzucają mi czarnowidztwo i obrzucają brzydkimi wyrazami. Taki mój los, „my way", jak śpiewał kolega po fachu Franek Sinatra. Sądzę, że tak paskudnej sytuacji społecznej i gospodarczej chyba jeszcze w III RP nie mieliśmy. Galopująca drożyzna, skaczące koszty utrzymania tworzą przygnębiającą aurę smętnej bezradności. Ginie duch w narodzie. A Polacy bez ducha kapcanieją, popadają w prostrację, niektórzy w alkoholizm.

Czasami wzmożenie patriotycznych emocji pozwala poczuć krzepiący wpływ wspólnoty. Tak jak symboliczne wydarzenia w rodzaju rocznicy Bitwy Warszawskiej. Wielka szkoda, że tchórzliwe władze stolicy nie pozwalają na postawienie w Warszawie stosownego monumentu. Nie życzą sobie żadnych pomników zwycięstwa, jedynie pomniki klęsk i martyrologii mają prawo tu istnieć. Kiedy Towarzystwo Patriotyczne poza Łukiem Triumfalnym zaproponowało kolumnadę zwycięskich królów i wielkich hetmanów, zostałem wykpiony przez media wydawane za niemieckie pieniądze.

Przy okazji pragnę zauważyć, że w naszych mediach społecznościowych trwa nieustająca opowieść o czynach Hitlera, kwaterach Hitlera, kobietach Hitlera, ministrach Hitlera, budowlach Hitlera *et cetera*. Nie dziwmy się, że ideowi spadkobiercy tego wodza czują się w Polsce pewnie i wygodnie. My możemy sobie o takiej wygodzie pomarzyć.

Gadają i zagrażają



Samuel Pereira

„Robimy, nie gadamy" – to ukochane hasło Donalda Tuska i jednocześnie jedno z bardziej zakłamanych. M.in. dlatego, że najczęściej pada przy chwaleniu się sukcesami poprzedników, czyli inwestycjami, przeciwko którym sami byli do niedawna. Ale nie o tym ten felieton. Tusk bardzo lubi mówić o bezpieczeństwie. O silnym państwie, armii, służbach i zagrożeniu ze Wschodu. Robi wtedy marsową minę, obniża ton. Problem w tym, że bezpieczeństwa nie buduje się szopkami. Buduje się je procedurami, kompetencjami i zdolnością przewidywania ryzyka.

A z tym u „kierownika" jest coraz gorzej. To właśnie w sferze bezpieczeństwa (obok finansów i polityki zagranicznej) praktyka najczęściej rozmija się z deklaracjami.

Oto jeden z najbardziej niepokojących przykładów: hakerzy twierdzą, że wykradli z systemów firmy MyDr dane dotyczące niemal 19 mln osób. To potężny problem bezpieczeństwa, bo dane medyczne należą do najbardziej wrażliwych informacji. Mogą stać się narzędziem szantażu, oszustw czy profilowania.

Do tego dochodzi groteskowy obrazek: chiński humanoidalny robot Unitree pojawia się w przestrzeni związanej z Marynarką Wojenną. Nie chodzi tylko o to, że robot jest chiński – w czerwcu 2026 r. jego producent został wpisany przez Pentagon na listę podmiotów wspierających chińskie wojsko. To są fakty. Gdzie jak gdzie, ale w obiekcie wojskowym powinny paść pytania o zgodę, dostęp, bezpieczeństwo danych i odpowiedzialność. Tymczasem najpierw były filmiki w sieci, a potem ich paniczne usuwanie.

W tym sedno. Największym zagrożeniem nie jest pojedynczy błąd. Jest nim kultura, w której błąd można przykryć PR, odpowiedzialność – rozmyć, a bezpieczeństwo sprowadzić do okrągłych słów.

Tuskowi marzy się władza absolutna, ale bez absolutnie żadnej odpowiedzialności. A naprawdę dobrego kierownika poznaje się nie po tym, że groźnie mówi o zagrożeniach, lecz po tym, iż jego państwo jest na nie przygotowane, a obywatele bezpieczni. Nie mam złudzeń, że jest to cel, do którego jaśnie panujący premier chciałby się choćby zbliżyć. Ale owszem, mam nadzieję, że w końcu również jego wyborcy przejrzą na oczy.

eprasa.pl 7f496a23a7

Cud nad Wisłą – lekcja dla teraźniejszości



Za nami kolejna rocznica Bitwy Warszawskiej – starcia wymienianego wśród najważniejszych batalii w dziejach świata. Warto zadać sobie pytanie, jak wyglądałaby dziś Polska i Europa, gdyby w sierpniu 1920 r. nie udało się zatrzymać bolszewickiej nawały.

To zwycięstwo przeszło do historii jako Cud nad Wisłą. Rzeczywiście, biorąc pod uwagę skalę zagrożenia, mogło wydawać się cudem. Ale za tym cudem stał przede wszystkim polski żołnierz. Żołnierz państwa, które niecałe dwa lata wcześniej, po 123 latach zaborów, odzyskało niepodległość i znów musiało stanąć do walki, by jej ponownie nie utracić. Za zwycięstwem stały odwaga, krew i ofiara tysięcy Polaków, determinacja społeczeństwa oraz zdolność państwa do mobilizacji w godzinie śmiertelnej próby.

Gdyby wówczas Polska upadła, bolszewicka ofensywa nie zatrzymałaby się na Wiśle i kierowała dalej na Zachód. Możemy sobie tylko wyobrażać, jak wyglądałaby historia naszego kontynentu, gdyby nie polskie – światowe w swoim znaczeniu – zwycięstwo.

Bitwa Warszawska jest dla nas niezwykle aktualną lekcją. Sojusze są ważne i potrzebne, ale w godzinie próby państwo musi przede wszystkim dysponować własną siłą, zdolną odstraszyć przeciwnika.

Tą zasadą kierowały się rządy Zjednoczonej Prawicy, a dziś prezydent Karol Nawrocki. Bezpieczeństwo Polski uczyniliśmy jednym z najważniejszych priorytetów państwa. Zwiększaliśmy wydatki obronne, wzmacnialiśmy liczebnie Wojsko Polskie, rozwijaliśmy Wojska Obrony Terytorialnej, kupowaliśmy nowoczesne uzbrojenie i zabiegaliśmy o silniejszą obecność wojsk sojuszniczych na wschodniej flance NATO. Kiedy pojawiło się zagrożenie na granicy z Białorusią, rozpoczęliśmy jej fizyczne wzmacnianie, mimo politycznych ataków i krytyki.

Pełnoskalowa agresja Rosji na Ukrainę brutalnie przypomniała Europie, że rosyjski imperializm nie odszedł do historii, a pokoju i niepodległości nie gwarantują same deklaracje.

Nie możemy więc budować bezpieczeństwa Polski na nadziei, że historia jeszcze raz podaruje nam Cud nad Wisłą. Potrzebujemy silnej armii, własnych zdolności obronnych i mocnych sojuszy, które wzmacniają naszą siłę, a nie ją zastępują. Historia uczy, że niepodległość ma swoją cenę.

Arkadiusz Mularczyk

Stare, starsze i nowsze

Z Grzegorzem Skawińskim i Waldemarem Tkaczykiem z zespołu Kombii rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



„Każde pokolenie ma własny czas...". Ciągle jesteście we własnym czasie?

Waldemar Tkaczyk: Nasza kariera oficjalnie trwa 50 lat, ale gramy co najmniej 55. I wciąż jesteśmy na scenie.

Grzegorz Skawiński: Przeżyliśmy różne systemy polityczne czy mody i ciągle jesteśmy lubiani. To nasz największy sukces, że kolejne pokolenia – na przykład na Juwenaliach w Warszawie, gdzie było kilka tysięcy młodych ludzi – znają nasze przeboje. Stare, starsze i nowsze. Staliśmy się częścią „dorobku kultury".

W.T.: Nawet to zauważono, bo w tym roku dostaliśmy medal Gloria Artis.

Gratulacje. Rozumiem, że to motywuje do działania, więc jakie macie plany?

W.T.: Jedziemy w dużą trasę. Przed nami wiele koncertów, w tym trasa jubileuszowa. Będzie się działo.

G.S.: Koncerty, spotkania z publicznością to sens naszej działalności. Granie muzyki, bycie muzykiem to droga, która nigdy się nie kończy, chyba że z naturalnym kresem.

Podobno najważniejsze jest iść, życzę więc pięknej muzycznej wędrówki, a pytanie mam o piosenki, które towarzyszą wam w tej drodze. Nie nużą?

G.S.: Wokaliście niełatwo jest powtarzać te same utwory, ale to są największe hity: „Black and white", „Słodkiego, miłego życia", „Pokolenie", „Nasze rendez-vous", „Ślad". Ludzie przychodzą, by posłuchać właśnie ich, a ja jestem po to, by te oczekiwania spełnić.

W.T.: Za każdym razem spotykamy innych ludzi, w innym miejscu, innym czasie, innym momencie ich życia, więc za każdym razem jest to coś nowego.

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

eprasa.pl 7f496a23a7

TRENDY I OWĘDY

Ratujmy Warszawę!



Ryszard Makowski

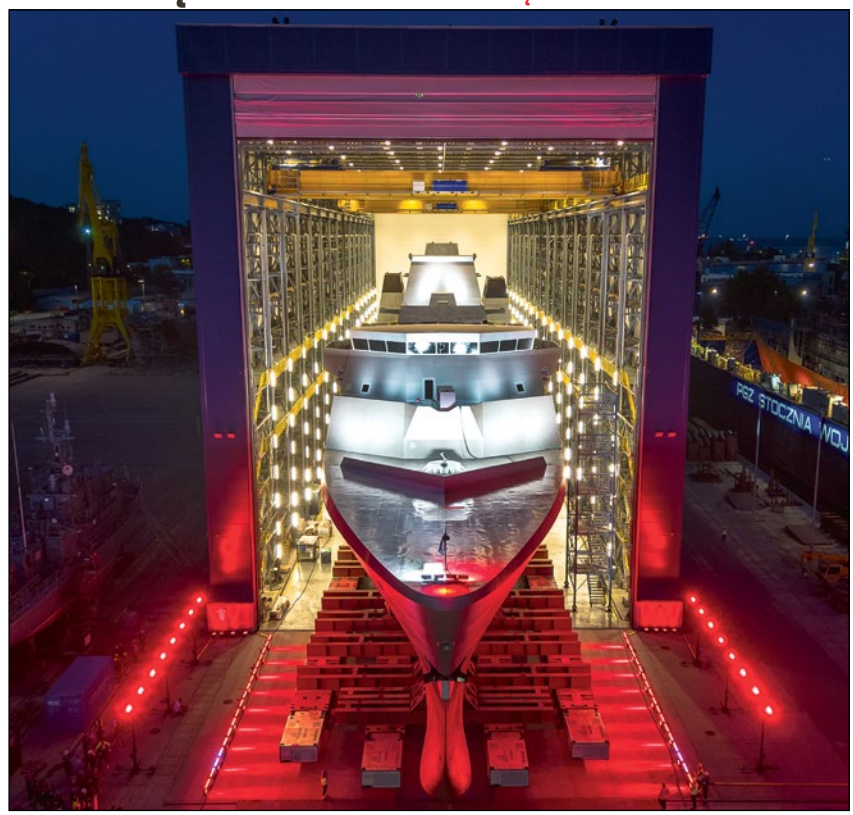
To, że w stolicy należy odwołać prezydenta i Radę Miasta, jest oczywiste dla każdego Warszawiaka kochającego swoje miasto. Skala szkód wyrządzanych tutaj przez panujący od lat układ jest niebotyczna, od nigdy nierozliczonej dzikiej prywatyzacji do drzew sprowadzanych z Niemiec. Niby drobiazg, ale trzeba nie mieć honoru, by kupować drzewa od tych, którzy zniszczyli Warszawę i nie poczuwają się do wypłacenia żadnych odszkodowań. Nawet siano dotarło do zoo dzięki dobroczynności niemieckiej firmy. W zeszłorocznej kampanii prezydenckiej włodarz Warszawy zwyczajnie się ośmieszył. Trudno akceptować to, żeby polska stolica miała być dla niego nagrodą pocieszenia.

Od 30 lipca trwa zbieranie podpisów na rzecz referendum w sprawie odwołania prezydenta oraz Rady Miasta. Potrzeba 132 tys. ważnych podpisów. Organizatorzy Stołecznej Operacji Referendalnej podkreślają, że akcja ma charakter obywatelski. Pojawiają się głosy sceptyczne, że Warszawa to miasto, w którym postkomuna żyje luksusowo i nie da się tutaj nic zmienić. Da się! Są dwie liczne grupy docelowe: kierowcy i pacjenci. Dość zamykania Śródmieścia dla samochodów, zwężania ulic i montowania słupków na chodnikach uniemożliwiających parkowanie. Kiedyś mówiło się, że Warszawa jest rozkopana, bo szukają matury Gomułki. Czego dziś szukają, nie wiadomo, ale roboty drogowe przypominają sen wariata. A co do pacjentów? Kosmetyczne dymisje nie zamykają skandalicznej sprawy z pokoikiem VIP na SOR dla polityków w Szpitalu Południowym.

Tym razem należy przenieść Kraków do Warszawy i doprowadzić do przyspieszonych wyborów.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Na Zatoce Gdańskiej zwodowano okręt ORP Wicher



Fot. PRZEMEK SWIDERSKI/REPORTER

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. *COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).* *REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.*

FOT.: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, MICHAL WAJNCHOLD, SHUTTERSTOCK x2, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR x4, MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 7f496a23a7



Sen, czyli najtańszy lek

Sen zajmuje około jednej trzeciej naszego życia, a mimo to często traktujemy go jako czas, który można skrócić bez poważniejszych konsekwencji. Tymczasem nocny odpoczynek nie jest wyłącznie bierną przerwą w funkcjonowaniu organizmu

Podczas snu zachodzą intensywne procesy regeneracyjne, zmienia się aktywność układu hormonalnego i odpornościowego, a mózg porządkuje informacje zgromadzone w ciągu dnia. Regularne niedosypianie może natomiast zwiększać ryzyko wielu problemów zdrowotnych – od zaburzeń koncentracji po otyłość, choroby sercowo-naczyniowe czy zaburzenia metaboliczne.

DLACZEGO SEN JEST TAK WAŻNY DLA ZDROWIA?

Sen jest niezbędny do prawidłowego funkcjonowania mózgu i całego organizmu. W czasie nocnego odpoczynku zachodzą procesy związane z konsolidacją pamięci, regulacją emocji oraz utrzymaniem prawidłowej pracy układu nerwowego. Sen wspiera także funkcjonowanie układu odpornościowego i ma wpływ na regulację hormonów odpowiedzialnych m.in. za apetyt i gospodarkę energetyczną.

Nie bez znaczenia pozostaje również oddziaływanie snu na układ sercowo-naczyniowy. To w czasie prawidłowego snu obniżają się m.in. ciśnienie tętnicze i częstość pracy serca.

CO DZIEJE SIĘ Z ORGANIZMEM, GDY ŚPIMY ZA KRÓTKO?

Jedna nieprzespana noc zwykle nie powoduje trwałych konsekwencji. Problem pojawia się wtedy, gdy niedobór snu staje się codziennością.

Przewlekłe ograniczenie czasu snu może wpływać na gospodarkę hormonalną i metabolizm. Obserwuje się wtedy zaburzenia regulacji apetytu, większą skłonność do spożywania produktów wysokokalorycznych oraz trudności w utrzymaniu prawidłowej masy ciała. Niedobór snu może również pogarszać wrażliwość tkanek na insulinę, co z czasem może sprzyjać rozwojowi insulinooporności. Osoby regularnie niedosypiające mogą być bardziej podatne na infekcje, ponieważ niewystarczająca ilość snu zaburza prawidłową pracę układu immunologicznego.

ILE GODZIN SNU POTRZEBUJEMY?

Według zaleceń zdrowa osoba dorosła powinna regularnie przeznaczać na sen co najmniej siedem godzin na dobę. Dla wielu osób optymalny czas wynosi siedem, dziewięć godzin.

Nie chodzi jednak wyłącznie o liczbę godzin. Znaczenie ma również jakość snu, jego regularność i ciągłość. Można spędzić w łóżku osiem godzin, a mimo to obudzić się niewypoczętym, jeśli sen jest często przerywany lub występują jego zaburzenia, np. bezdech senny.

CO NAJBARDZIEJ PSUJE JAKOŚĆ SNU?



Jednym z największych problemów współczesnego stylu życia jest nieregularny rytm dnia. Późne zasypianie, odsypianie w weekendy lub częste korzystanie z telefonu i komputera tuż przed snem mogą utrudniać wyciszenie organizmu.

Nie pomaga także kofeina spożywana późnym popołudniem lub wieczorem. Jej działanie może utrzymywać się przez wiele godzin. Podobnie alkohol – choć początkowo może ułatwiać zasypianie, pogarsza strukturę snu i zwiększa ryzyko nocnych przebudzeń. Na jakość odpoczynku wpływają również późne ciężkie posiłki, brak aktywności fizycznej, przewlekły stres oraz nieodpowiednie warunki w sypialni.

JAK POPRAWIĆ NOCNĄ REGENERACJĘ?

Dobra wiadomość jest taka, że poprawa jakości snu często nie wymaga skomplikowanych metod. Pomaga przede wszystkim regularne chodzenie spać i wstawanie o podobnej porze, także w dni wolne. Warto zadbać o zaciemnienie, ciszę i odpowiednią temperaturę w sypialni.

Wieczorem dobrze jest ograniczyć intensywne korzystanie z urządzeń elektronicznych i znaleźć czas na spokojne wyciszenie. Regularna aktywność fizyczna również sprzyja lepszemu snu, choć intensywny trening bezpośrednio przed położeniem się do łóżka nie każdemu będzie służył.

Sen nie jest luksusem ani czasem straconym na odpoczynek. Dlatego zamiast postrzegać go jako przeszkodę w realizacji codziennych obowiązków, warto potraktować go jako element profilaktyki zdrowotnej – równie istotny co właściwe odżywianie i regularna aktywność fizyczna.

Filip Siódmiak

Absolwent kierunku dietetyka na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. Dietetyk kliniczny w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku, gdzie zdobywa doświadczenie w pracy z pacjentami wymagającymi specjalistycznej opieki żywieniowej, autor licznych artykułów na temat zdrowego stylu życia dostępnych na portalu wGospodarce.pl

PARTNER CYKLU

FUNDACJA Sanitas

Źródła: • Watson, Nathaniel F et al., „Recommended Amount of Sleep for a Healthy Adult: A Joint Consensus Statement of the American Academy of Sleep Medicine and Sleep Research Society", „Sleep" 2015 Jun 1, vol. 38 (6), s. 843–844. • Irwin, Michael R., „Why sleep is important for health: a psychoneuroimmunology perspective", „Annual review of psychology" 2015, vol. 66, s. 143–172. • St-Onge, Marie-Pierre et al., „Sleep Duration and Quality: Impact on Lifestyle Behaviors and Cardiometabolic Health: A Scientific Statement From the American Heart Association", „Circulation" 2016, vol. 134 (18), s. 367–386.

Artykuł sponsorowany | 01/0526/F/ZAL

eprasa.pl 7f496a23a7













Karol Odnowiciel

Szansa na zjednoczenie prawicy przez prezydenta Karola Nawrockiego jest duża, a wtedy odsunięcie Donalda Tuska od władzy stanie się bardzo prawdopodobne



STANISŁAW JANECKI

Prezydent Karol Nawrocki jest gotowy, by patronować paktowi senackiemu ugrupowań prawicowych – stwierdził w Kanale Zero szef gabinetu głowy państwa Paweł Szefernaker. I to mimo że prezydent „jest obok polityki partyjnej", a „całą drogę zawodową przeszedł poza polityką". Ale nie pozostanie obojętny na decyzje partyjnych liderów, gdyby zdecydowali o jakiejś formie zjednoczenia czy porozumienia.

Jarosław Kaczyński już kilkakrotnie mówił o potrzebie zjednoczenia „obozu patriotycznego", choćby w styczniu 2026 r. podczas spotkania z mieszkańcami Węgrowa. Podkreślał wtedy, że w „obozie patriotycznym" mieści się Prawo i Sprawiedliwość oraz „trzy Konfederacje", czyli Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka, Nowa Nadzieja Sławomira Mentzena, a także Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

Już wiosną 2026 r. politycy Konfederacji deklarowali, że widzą w prezydencie „jedynego wiarygodnego arbitra". Ale Konfederacja zgodzi się na pakt senacki tylko pod warunkiem, że to Karol Nawrocki będzie jego „gospodarzem" i nie dojdzie do wykluczenia żadnego prawicowego środowiska, w tym Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna i Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego. Krzysztof Bosak potwierdził nawet, że rozmawiał już o tym z prezydentem. Bosak i Przemysław Wipler uważają Karola Nawrockiego za jedyną postać na prawicy, która cieszy się autorytetem pozwalającym posadzić przy jednym stole skłócone ze sobą partie bez wyróżniania hegemona.

W połowie lipca 2026 r. Jarosław Kaczyński oraz lider Bezpartyjnych Samorządowców Marek Woch ogłosili współpracę, która ma zjednoczyć formacje prawicowe na wybory do Senatu. „Musimy się zjednoczyć, by Senat przestał być miejscem, gdzie dominuje lewica i lewicowi liberałowie, utrudniający wprowadzanie zmian" – mówił lider PiS. Sławomir Mentzen nazwał porozumienie między Kaczyńskim i Wochem „kabaretem". „Jeżeli Tusk weźmie znowu Senat, winny będzie Kaczyński. Nikt inny" – groził Mentzen. Potem jednak spuścił z konfrontacyjnego tonu.

Także dla ugrupowania Morawieckiego prezydent jest „wiarygodnym arbitrem". Poseł Marcin Horała określił głowę państwa jako „numer jeden nie tylko na prawicy, lecz także w kraju".

W prywatnych rozmowach coraz więcej polityków prawicy oczekuje od prezydenta Nawrockiego, że „całe to towarzystwo weźmie za twarz", bo inaczej „wszystko się rozlezie". Oczekują więc, że zaprowadzi jakiś rodzaj dyktatu, gdyż tylko wtedy będzie można zapanować nad interesami i interesikami poszczególnych partii i liderów. W tej konfiguracji prezydent nie byłby po prostu arbitrem, lecz wymagającym i surowym szefem.

> Krzysztof Bosak i Przemysław Wipler uważają Karola Nawrockiego za jedyną postać na prawicy, która cieszy się autorytetem pozwalającym posadzić przy jednym stole skłócone ze sobą partie bez wyróżniania hegemona

PROGRAM NA WYBORY

Politycy prawicy podchwycili zapowiedzi Karola Nawrockiego z 6 sierpnia 2026 r., gdy mówił: „Wierzę głęboko, że prezydencka strategia rozwoju, która formalnie zostanie przedstawiona w ciągu kilku miesięcy, stanie się w najbliższych wyborach parlamentarnych punktem odniesienia dla wszystkich tych, którzy aspirują do rządzenia w Rzeczypospolitej Polskiej". Dlatego uważają, że mogłoby dojść do zjednoczenia, jeśli prezydencka strategia rozwoju stanie się programem prawicowego sojuszu na wybory parlamentarne w 2027 r. Karol Nawrocki pokazał, że chce się różnić od poprzednich prezydentów tym, iż nie zostawi spraw programowych i strategii rozwoju ludziom, którzy będą tworzyli rząd. Przede wszystkim dlatego, że mogą nie dostać takiej szansy, wikłając się w spory, które głowy państwa w ogóle nie dotyczą. Także w tym kontekście mówi się o wzięciu całego prawicowego towarzystwa „za twarz".

To za mało, by prezydent został inicjatorem i gwarantem porozumienia prawicy nie tylko w kontekście Senatu (ten również jest ważny, gdyż zatwierdza lub odrzuca prezydenckie projekty referendum), ale przede wszystkim w wyborach do Sejmu, gdzie mógłby mieć wpływ na kształt list wyborczych. Prawicowi uczestnicy tej gry zaczynają rozumieć, że powinni uznać, iż jeśli współpraca da władzę, Karol Nawrocki – nie tylko z powodów formalnych – będzie po wyborach decydował o tym, komu powierzy zadanie tworzenia rządu. To ma być również bat na rozgrzane głowy i problem „stu Napoleonów" na prawicy.

Na razie prezydenta Nawrockiego obsadza się w roli patrona. Tak to widzi jeden z liderów Konfederacji, Krzysztof Bosak, który w programie „Graffiti" w Polsat News mówił: „Patronat prezydenta może ułatwić dojście do porozumienia i dać pewien dodatkowy autorytet takiemu porozumieniu. Z tego, co wiem, prezydent jest zainteresowany, żeby do takiego porozumienia doszło i chce również nas zaprosić na takie rozmowy. My jesteśmy na pewno gotowi do porozumienia w celu takiego podziału okręgów wyborczych do Senatu, żeby nie oddać tych okręgów wyborczych, żeby nie oddać zwycięstwa Donaldowi Tuskowi, Lewicy". Bosak mówił też, że po 6 sierpnia 2025 r. „w miarę regularnie" był gościem w pałacu prezydenckim i rozmawiał na ten temat z Karolem Nawrockim. Na pytanie o szanse na koalicję z PiS odpowiedział, że wedle jego wiedzy: „w tej sprawie nie ma podjętej żadnej decyzji – ani w jednej partii, ani w drugiej".

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock, Marysia Zawada/REPORTER

eprasa.pl 7f496a23a7

Nieoficjalnie nie tylko Bosak uważa, że perturbacje w PiS już doprowadziły do zmiany sceptycznego początkowo nastawienia do paktu senackiego i porozumienia w kontekście Sejmu. Problemem dla Prawa i Sprawiedliwości pozostaje skład paktu, szczególnie po deklaracjach Jarosława Kaczyńskiego sprzed kilku miesięcy, że współpraca z Grzegorzem Braunem i jego formacją nie jest możliwa.

ZAGROŻENIA REELEKCJI

Wiele wskazuje na to, że Karol Nawrocki jest świadomy ryzyka, jakie może się dla niego wiązać z tworzeniem porozumienia prawicy, przede wszystkim w związku z reelekcją w 2030 r. Połączone elektoraty prawicy powinny zapewnić mu zwycięstwo, ale przy takiej mobilizacji elektoratu jak w wyborach parlamentarnych w 2023 r. to może nie wystarczyć. O reelekcji mogliby wtedy zdecydować wyborcy spoza prawicy, a oni nie musieliby być zachwyceni zaangażowaniem głowy państwa w jednoczenie partii prawicowych. A jeśli porozumienie doprowadziłoby do utworzenia prawicowego rządu, powstałby też problem „równowagi" w podziale władzy, co również oznaczałoby konieczność poszerzania elektoratu, nie zaś jego zawężania.

Prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW, w rozmowie z portalem Zero.pl uważa, że „każdy prezydent ma za sobą piekło, walkę w kampanii wyborczej i poparcie którejś z dużych formacji politycznych. Nie sądzę, żeby z tego należało Karolowi Nawrockiemu czy któremukolwiek z jego poprzedników czynić zarzuty, bo nie ma takiej możliwości, by prezydent nie uczestniczył w codziennych sporach, konfliktach. Nie angażował się w takiej czy innej formie. Zwłaszcza jeśli będzie walczył o reelekcję". Profesor zwraca uwagę, że „zwycięstwo Karolowi Nawrockiemu w drugiej turze wyborów prezydenckich zapewniła specyficzna społeczna koalicja łącząca wyborców PiS, Konfederacji i Grzegorza Brauna oraz różnych grup, które po prostu były przeciwko Donaldowi Tuskowi".

W wyborach w 2027 r. „bycie przeciwko Tuskowi" może się okazać decydujące i ważne dla wyborców, na co dzień nieidentyfikujących się z prawicą, ale uważających rządy Donalda Tuska za wyjątkowo szkodliwe dla siebie i dla Polski. Przecież nieprzypadkowo w sondażu United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski (24–25 lipca 2026 r.) 58 proc. Polaków źle oceniło rząd Tuska, a pozytywną opinię o nim wyraziło 35,9 proc. Z sondażu CBOS wynika, że satysfakcję z tego, iż funkcję premiera sprawuje Donald Tusk, deklaruje zaledwie 31 proc. badanych. To spadek w porównaniu z początkiem roku (w styczniu poparcie dla niego wynosiło 36 proc.). Za to odsetek osób niezadowolonych z Tuska jako szefa rządu wzrósł do 58 proc.

> Jarosław Kaczyński już kilkakrotnie mówił o potrzebie zjednoczenia „obozu patriotycznego", choćby w styczniu 2026 r. podczas spotkania z mieszkańcami Węgrowa. Podkreślał wtedy, że w „obozie patriotycznym" mieści się Prawo i Sprawiedliwość oraz „trzy Konfederacje", czyli Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka, Nowa Nadzieja Sławomira Mentzena, a także Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna

Prof. Antoni Dudek, politolog i historyk z UKSW, uważa, że „długofalowo na wewnętrznych tarciach po prawej stronie zyskuje wyłącznie Karol Nawrocki". Jego zdaniem „im ostrzejszy będzie konflikt między tradycyjnym PiS, Konfederacją a secesjonistami, tym silniejsza staje się pozycja prezydenta jako jedynego naturalnego patrona, zdolnego zjednoczyć te środowiska przed 2027 r.".

Prof. Waldemar Wojtasik z Uniwersytetu Śląskiego jest zdania, że Karol Nawrocki ma „interes w utrzymaniu równowagi sił [PiS, Konfederacji i ugrupowania Morawieckiego – przyp. red.], co w 2027 r. da mu dyskrecjonalną władzę przy wyznaczaniu premiera w pierwszym kroku konstytucyjnym".

W sondażach z przełomu lipca i sierpnia 2026 r. (m.in. United Surveys dla Wirtualnej Polski z 24–25 lipca 2026 r.) Karol Nawrocki po raz pierwszy wyprzedził Jarosława Kaczyńskiego w rywalizacji o miano realnego lidera polskiej prawicy. Dla konserwatywnego elektoratu stał się nową twarzą, wolną od obciążeń partyjnymi sporami. 20,4 proc. badanych stwierdziło, że Karol Nawrocki jest obecnie faktycznym liderem obozu polskiej prawicy. Jarosława Kaczyńskiego postrzegało w takiej roli 19,8 proc. ankietowanych. Były premier Mateusz Morawiecki został wskazany przez 9,1 proc. badanych, a Sławomir Mentzen z Konfederacji – przez 4,5 proc. Przemysław Czarnek, wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości oraz kandydat tej partii na premiera, zyskał 2,6 proc. głosów, wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak został natomiast wybrany przez 1,7 proc. badanych. To oznacza, że Karol Nawrocki jest uznawany za lidera prawicy, co może dawać mu legitymację zarówno jako ojca zjednoczenia, jak i tego, kto weźmie towarzystwo „za twarz", gdyby akcja zjednoczeniowa przeciągała się albo była torpedowana.

PLAN MAKSIMUM KACZYŃSKIEGO

Jacek Gądek napisał w „Newsweeku", że „jedna lista prawicy, której miałby patronować Nawrocki, to plan maksimum Kaczyńskiego. Dziś jest do tego daleko, bo prezydent boi się wziąć za to odpowiedzialność, a na Nowogrodzkiej rośnie rachunek krzywd, które za cenę jednej listy prezes w sekundę puściłby

01/08226/F

eprasa.pl 7f496a23a7

jednak w niepamięć". Na ten „rachunek krzywd" mają się składać brak zaangażowania Karola Nawrockiego w obronę Zbigniewa Ziobry, wskazanie Zbigniewa Kapińskiego na pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, odebranie ślubowania od prof. Sławomira Patyry na sędziego TK, a przede wszystkim „autoryzacja" Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego jako „najprawdziwszej prawicy". Ponoć „Jarosław Kaczyński tak naprawdę pogodził się już z myślą, że samodzielne rządy PiS są niemożliwe. Chciałby więc szerokiej listy prawicy pod szyldem innym niż PiS z prezydentem jako patronem. W tym scenariuszu faworytem do teki premiera jest Zbigniew Bogucki, dziś szef Kancelarii Prezydenta". Jedna prawicowa lista do Sejmu miałaby być „nową AWS", a prezydent Karol Nawrocki po roku urzędowania jest ponoć „jak Cezar". Gądek powołuje się na „ważnego polityka PiS", by uwiarygodnić tezę, że „to Nawrocki wskaże przyszłego premiera, jeśli prawica przejmie władzę". Prawica ma zaś szansę na wygraną, gdyż „wyborców o prawicowych poglądach jest w Polsce wciąż minimalnie więcej".

Problemem pozostaje to, że Karol Nawrocki „przywództwa w walce o Sejm, a więc i rząd, nie przyjmuje", bo jego „wejście [...] do gry o Sejm to ogromne ryzyko. To byłoby też wejście na nieznany dla niego grunt. Nawrocki nie bardzo się interesuje polityką partyjną, a zwłaszcza frakcyjną, i zwyczajnie się na tym nie zna". Tyle że technikaliami jednoczenia nie zajmowałby się sam Nawrocki, lecz „zaufani ludzie z PiS". Przecież „operacyjne tworzenie jednej listy to horrendalnie trudny projekt – porozumienie liderów, tysiące miejsc na listach do obsadzenia, walki o każde z wyższych miejsc, finansowanie kampanii z kasy różnych partii, limity wydatków". Ostatecznie, choć „ryzyko dla Nawrockiego jest ogromne, to cena bierności będzie jeszcze większa". Dlatego że Karol Nawrocki jest jedynym człowiekiem, który może zebrać prawicę pod jednym szyldem i odsunąć Tuska od władzy. Gdyby bowiem Tusk utrzymał władzę, „zrobi potem absolutnie wszystko, aby uniemożliwić Nawrockiemu reelekcję w 2030 r.".

Przemysław Czarnek ma w tej układance zadbać o scementowanie partii i pozyskanie jak najwięcej wyborców z prawej flanki, co dałoby PiS silną pozycję negocjacyjną.

Podobno tuż po wygranej w wyborach w 2025 r. prezes Jarosław Kaczyński tłumaczył Karolowi Nawrockiemu: „żeby mieć władzę, musisz mieć jeszcze swój rząd". To wzmacnia determinację prezydenta, by nie tylko doprowadzić do zjednoczenia prawicy, lecz także wymóc na wszystkich partiach pełne zaangażowanie w kampanii. Żadnych urlopów, żadnego pozorowania aktywności, tylko ciężka harówka od świtu do nocy.

Jeśli wszyscy się zgodzą w tych sprawach, szansa na zjednoczenie prawicy przez prezydenta Nawrockiego jest duża, a to by najprawdopodobniej oznaczało zwycięstwo wyborcze i odsunięcie Donalda Tuska od władzy.

REKLAMA



eprasa.pl 7f496a23a7

Jeżeli prawica się nie porozumie, Tusk znów wygra



Większość elektoratu ruchu Mateusza Morawieckiego jest zassana z PiS. Są to przede wszystkim osoby z wyższym wykształceniem, raczej mieszkańcy dużych miast i części miast liczących ok. 100 tys. mieszkańców. Można powiedzieć: miejski elektorat PiS, który potrzebuje więcej dynamizmu i energii

Z Markiem Grabowskim, prezesem Pracowni Badawczej Social Changes, rozmawia Jerzy Szmit

Pierwszy sondaż Social Changes lokuje inicjatywę Mateusza Morawieckiego pod progiem wyborczym (4 proc. poparcia). Nowe ruchy zwykle zaczynają lepiej.

Marek Grabowski: Zacznę od uwagi metodologicznej. Kiedy rozpoczynaliśmy sondaż, Marek Jakubiak jeszcze nie deklarował połączenia z byłym premierem, wobec tego Wolni Republikanie Marka Jakubiaka i Stowarzyszenie Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego byli badani osobno. Były premier osiągnął niecałe 4 proc., Jakubiak – 1,3 proc. Gdyby potraktować to łącznie (choć nie jest to proste sumowanie), to Rozwój Plus przekroczyłby 5 proc., czyli bezpiecznie można powiedzieć, że w tym momencie jest na progu wyborczym.

Z badań sondażowych wynika też bardzo ważny wniosek: inicjatywa Mateusza Morawieckiego zyskała dokładnie tyle, ile od ostatniego badania straciło Prawo i Sprawiedliwość, czyli na początku drogi pomysł na poszerzenie elektoratu prawicy okazał się chybiony.

Trudno powiedzieć, czy to pomysł chybiony, czy nie. To dopiero start. Można natomiast powiedzieć, że większość elektoratu Mateusza Morawieckiego jest zassana z PiS. Co więcej, jeśli przyjrzymy się bliżej charakterystyce wyborców nowej inicjatywy, są to przede wszystkim osoby z wyższym wykształceniem, raczej mieszkańcy dużych miast i części miast liczących ok. 100 tys. mieszkańców. Można powiedzieć: miejski elektorat PiS, który potrzebuje więcej dynamizmu i więcej energii.

Gdyby więc zsumować tych wyborców – choć nie jest do końca prawidłowe – byłoby na równi z Koalicją Obywatelską.

Tak, wyniki byłyby bardzo zbliżone. KO straciła z powodu ostatnich afer – Szpitala Południowego czy Kłodzka. Odbiły się one głośnym echem, ale te głosy przepłynęły do Nowej Lewicy Czarzastego, a więc dalej są w obozie liberalnym.

Wielu polityków poszukuje elektoratu centrum.

Badania, które realizowaliśmy przy okazji wyborów prezydenckich, pokazują, że tak naprawdę centrum nie istnieje. Jest kilka osi polaryzacji, różne segmenty społeczeństwa znajdują się na różnych osiach konfliktu. Dlatego w Polsce centrum jest mitem. Obecnie prowadzimy analizy, jak partie się pozycjonują i do jakich motywacji się odnoszą. Jest jeszcze za wcześnie, by mówić o wynikach, niemniej główne ugrupowania kształtujące Polskę przez ostatnie lata, czyli PiS i PO, są bardzo dobrze zbudowane wizerunkowo, inaczej mówiąc – są bardzo mocne w swoich obszarach. Mają oczywiście swoje braki, ale ciężko będzie zająć ich miejsce.

Tusk powinien entuzjastycznie przyjąć ruch Morawieckiego, ale jego reakcje były bardzo wstrzemięźliwe.

Bo wie, że dla Mateusza Morawieckiego byłby to pocałunek śmierci. Entuzjazm widać natomiast w mediach liberalno-lewicowych, np. w „Gazecie Wyborczej" czy do pewnego stopnia w „Rzeczpospolitej".

Jak sprawy mogą się potoczyć?

Widzę przynajmniej trzy scenariusze. Pierwszy, pesymistyczny dla prawicy, jest taki, że Mateusz Morawiecki nie dostaje się do parlamentu, bo osiąga 4 proc. i *de facto* te głosy przepływają do największej partii, czyli prawdopodobnie do KO. To zapewnia Donaldowi Tuskowi i jego akolitom ko-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f496a23a7

lejne cztery lata rządów, i to niezależnie od tego, czy premierem będzie Tusk, czy Kosiniak-Kamysz. Drugi scenariusz: wszystkie partie prawicowe dostają się do parlamentu, osiągają porozumienie i tworzą koalicję. Choć będzie to trudny alians, o wiele trudniejszy niż ten Zjednoczonej Prawicy, może nawet w strukturze rządu mniejszościowego. Trzeci możliwy scenariusz to wkroczenie do gry prezydenta Karola Nawrockiego w celu ułożenia większości sejmowej i rządu.

Nawiązując do drugiego scenariusza, musimy się liczyć z utworzeniem egzotycznej, nietrwałej koalicji, co mogłoby oznaczać destabilizację polityczną w Polsce, prawdopodobnie dalsze podziały i szybkie ponowne wybory.

Taki scenariusz będzie skłaniał niezdecydowanych do głosowania na obóz władzy, który nie jest idealny, ale stabilny. Trzeba to bardzo poważnie brać pod uwagę.

Siła obozu rządzącego maleje jednak we wszystkich sondażach, dalszy spadek może oznaczać definitywną porażkę. Czy w związku z tym premier Tusk może dążyć do samorozwiązania Sejmu i przedterminowych wyborów?

Do wyborów jest jeszcze rok, kampania się nie rozpoczęła. Myślę jednak, że Donald Tusk pilnie obserwuje prawą stronę sceny i będzie dostosowywał swoje ruchy. Możemy się spodziewać wszystkiego, np. podkupywania posłów czy włączania u niektórych trybu neutralności. Nie zdziwiłbym się, gdyby np. Grzegorz Braun absolutnie nie miał ochoty na wzięcie udziału w koalicji rządzącej. Pozycja Konfederacji Korony Polskiej jako stałego krytyka jest dla niego wygodna. Na prawicy możliwe są dalsze podziały, choćby w Konfederacji na Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka i partię Sławomira Mentzena. Nie wierzę jednak, aby politycy tego ugrupowania postawili na rozłam.

Wobec tego nasuwa się pytanie o trzeci scenariusz: kiedy otwarte działania podejmie prezydent Nawrocki.

Trudno sobie wyobrazić, że prezydent będzie bezpośrednio zaangażowany w tworzenie nowej struktury politycznej. Jego zadania są zupełnie inne (np. w polityce zagranicznej) i radzi sobie z nimi znakomicie. Sytuacja zaczyna natomiast przypominać tę sprzed wielu lat, kiedy prawica była podzielona na mnóstwo kanapowych partii i partyjek, a każda z nich miała poczucie swojej wielkości. W efekcie przez całe lata rządzili postkomuniści. Oby sprawy nie poszły w tym samym kierunku, tzn. wszyscy chcą dobrze, ale jednocześnie nie potrafią się dogadać. Uważam, że dla Polski byłaby to tragiczna recydywa.

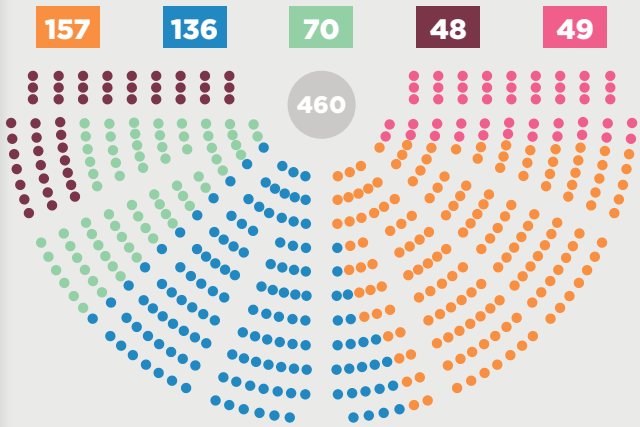
Prezydent nie musi działać bezpośrednio, na początek może być patronem np. paktu senackiego.

Tak myślę, ale nie jestem politykiem, nie znam się na mechanizmach *stricte* politycznych, trudno mi zatem powiedzieć, jakimi narzędziami posłuży się w tej sytuacji pałac prezydencki. Prezydent Nawrocki cieszy się bardzo dużym zaufaniem w elektoracie prawicowym, a także neutralnym. Taka pozycja predestynuje go do tego, aby nadawać kierunek i być stabilizatorem. Trzeba znaleźć wspólne elementy dla

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani / oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?



Zdobyte mandaty

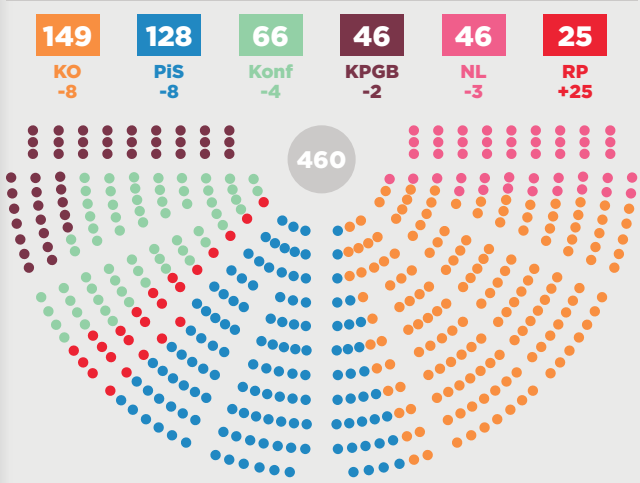


Możliwe większości

PiS + Konfederacja + KKP	**254**	**większość**
KO + Lewica + Konfederacja	**276**	**większość**
KO + Nowa Lewica	**206**	brakuje 25
PiS + Konfederacja	**206**	brakuje 25

Co zmienia wejście Rozwoju Plus do Sejmu z 5% poparciem

Zdobyte mandaty



Możliwe większości

PiS + Konf. + KKP + Rozwój Plus	**265**	**komfortowa**
PiS + Konfederacja + KKP	**240**	**większość**
KO + Nowa Lewica	**206**	brakuje 36

Do samodzielnej większości potrzeba 231 mandatów

Źródło: Sondaż Pracowni Badań Social Changes przeprowadzony na ogólnopolskiej, reprezentatywnej próbie Polaków w dniach 31 lipca – 3 sierpnia 2026 r.

eprasa.pl 7f496a23a7

różnych środowisk i interesów. Po kłótniach medialnych widzimy również, że narosło wiele silnych personalnych animozji i trzeba rozwiązać te problemy. Myślę, że prezydent Nawrocki może to zrobić.

Po każdych wyborach w polskim Sejmie pojawia się nowe ugrupowanie, stworzone kilkanaście albo kilka miesięcy przed wyborami – generalnie pod hasłem „oni już byli". Czy zobaczymy kolejną próbę takiego manewru?

Raczej nie, bo mamy już co najmniej dwa ugrupowania głoszące to hasło: formację Grzegorza Brauna i Konfederację, choć sądzę, że Konfederacja dojrzała już do tego, by po latach opowieści o wywracaniu stolika zrobić jednak coś konstruktywnego, bo takie jest też oczekiwanie jej elektoratu. Powiedzmy sobie szczerze: poważny wyborca, który nie traktuje wyborów w kategoriach happeningu, oczekuje, że głos, który oddał, nie będzie zmarnowany, a to oznacza głos oddany na władzę. Dlatego Konfederacja nie może już sobie pozwolić na to, by stać z boku. Trudno mi również wyobrazić sobie (przynajmniej jeśli chodzi o Ruch Narodowy), by dołączyli oni do Donalda Tuska, bo to dwie zupełnie różne wizje Polski, Europy i skrajnie różne wizje światopoglądowe. Sądzę, że Konfederacja będzie chciała mocno zaangażować się w rządzenie. Niemniej roszady personalne czy nowe układy polityczne zapewne się pojawią. Polityka na całym świecie uległa zmianie i Polska nie jest samotną wyspą w tej kwestii.

A co z Braunem?

Wydaje się, że taktycznie bardziej będzie mu się opłacało stanie z boku i krytykowanie wszystkich według zasady: tylko ja jestem spoza układu.

Może nie wszystkim jego posłom będzie to odpowiadało?

Może, ale to on będzie ich dobierał i umieszczał na listach.

Jednocześnie na dole tabeli trwa walka o utrzymanie się w politycznej ekstraklasie. Czego jeszcze możemy się spodziewać?

Nikogo bym nie skreślał, może poza Polską 2050. Sondaże, które prowadziłem, wskazują, że PSL osiąga 3–6 proc., może ma potencjał na więcej jako partia drugiego wyboru. Polskie Stronnictwo Ludowe zazwyczaj zyskuje, gdy prawica się kłóci, ponieważ jego elektorat jest bardzo zbliżony do elektoratu PiS. Zwłaszcza w głębszych badaniach widać, że wyborcy PSL są bardziej prawicowi niż liberalni, choć działacze trzymają z liberałami i lewicą. Myślę, że ludowcy wejdą do Sejmu. Wyborcy Partii Razem są w pewien sposób antysystemowi, jest to taka antysystemowość jak po prawej stronie Braun. Oczekują np. ładnego, wygodnego życia i nie angażują się w spory. Są zbliżeni do byłego elektoratu Hołowni. Brakuje im praktycznie 1 proc., by przekroczyć próg. Zandberg bardzo dobrze prezentuje się publicznie, brakuje mu natomiast mocnego zaplecza. Mają krótką ławkę rozpoznawalnych działaczy. Widać to też u Brauna. Z mniejszych ugrupowań spore zaplecze ma tylko PSL.

> Donald Tusk pilnie obserwuje prawą stronę sceny i będzie dostosowywał swoje ruchy. Możemy się spodziewać wszystkiego, np. podkupywania posłów czy włączania u niektórych trybu neutralności

Wykształcenie polityka to długotrwały proces, nawet jeśli ma talent.

Jeśli zawodnika się nie wystawia, nigdy się nie wykształci. Na razie partia Bruna to Braun, a Zandberga to Zandberg.

A gdyby któraś z tych partii weszła jednak do Sejmu?

Wówczas układ ulega radykalnej zmianie, ale na korzyść obozu liberalnego. PSL – o ile nie połączy się z KO na czas wyborów i samodzielnie dostanie się do Sejmu – oczywiście będzie kontynuowało obecną linię. Przypuszczam, że Partia Razem dołączy do układu partii liberalnej władzy albo pozostanie w pewnym stopniu neutralna. Nie sądzę, by mocno stawiali się Tuskowi, mimo że teraz tak się dzieje. Chcą się odróżnić i budować pozycję lewicy prospołecznej, związki z lewicą postkomunistyczną są tam jednak silne i to przeważy. O ile oczywiście w ogóle się dostaną.

Stale słyszymy, że w polityce trzeba stawiać na młodzież, ale ze względu na katastrofalną sytuację demograficzną Polski w elektoracie jest proporcjonalnie coraz mniej młodych ludzi. Czy wobec tego politycy powinni częściej zwracać się do seniorów?

Jestem za tym, aby zmienić ordynację wyborczą, by rodzice mieli prawo głosować w imieniu swoich dzieci. W obliczu tej katastrofy demograficznej to konieczne. Jeżeli wzmocnimy akcenty na rzecz seniorów, będzie to przeciwskuteczne i destrukcyjne dla życia społecznego i działania państwa, w konsekwencji uderzy więc we wszystkich, także w ludzi starszych. Może przyniesie doraźne korzyści jakiejś partii politycznej, ale – co podkreślam – będzie fatalne w przyszłości.

Jaką ogólną tezę by pan postawił, analizując wyniki badań preferencji wyborczych?

Jeżeli prawicowi politycy się nie porozumieją – na początek przy pakcie senackim, a potem w nowym Sejmie – to wydaje się, że Donald Tusk ma dosyć pewną drugą kadencję. Na razie moje analizy wynikające z danych badawczych, ordynacji wyborczej, sposobu dzielenia mandatów pokazują, że miałby niewielką przewagę. Dlatego powtórzę – jeżeli prawica chce wygrać i odsunąć Tuska oraz jego ekipę od władzy, musi się porozumieć i połączyć siły, choćby to bardzo bolało jednego czy drugiego polityka. Tu chodzi o dobro Polski, a nie partykularne interesy.

eprasa.pl 7f496a23a7



Podziw i zgrzytanie zębami

Mało kto powie to głośno, ale coraz więcej polityków i dziennikarzy ze strony liberalno-lewicowej już wie, że Karol Nawrocki nie jest przypadkowym osiłkiem z gdańskiego blokowiska, lecz zawodnikiem wagi ciężkiej. Narracja o kibolu obowiązuje już tylko w środowiskach najbardziej fanatycznych i ograniczonych umysłowo. Środowisko to zaczyna patrzeć na prezydenta z respektem, a niekiedy nawet fascynacją



PIOTR GURSZTYN

Zacznijmy od nieco plotkarskiej opowieści, która ostatnio przemknęła przez media. Dziennikarka Joanna Miziołek w jednym z podcastów opowiedziała o tym, co słyszy od polityków strony rządowej. Mówią – oczywiście nieoficjalnie – że prezydent Karol Nawrocki budzi ich podziw i chcieliby znaleźć kandydata o podobnym profilu. „Dlaczego my nie mamy takiego Nawrockiego?" – zadają pytanie rozmówcy Joanny Miziołek. I na razie nie znajdują odpowiedzi.

Ciekawe jest to, że mimo iż Miziołek nie podała żadnych szczegółów, które pozwoliłyby zweryfikować wiarygodność tej opowieści, jej słowa zostały uznane za całkowicie prawdopodobne. Właściwie nikt nie był zaskoczony. Dlaczego? Bo każdy uważny obserwator polskiej sceny politycznej wie, że to realne. Z prostego powodu: Karol Nawrocki wypada bardzo dobrze we wszystkich swoich działaniach. Imponuje energią i można go uznać za nową jakość. Strona rządowa nie spełnia

Fot. © Alicja Stefaniuk/KPRP

eprasa.pl 7f496a23a7

tych pozytywnych kryteriów. Kojarzy się z biernością, niespełnionymi obietnicami, aferami i brakiem słuchu społecznego.

Dodajmy jeszcze jedną ważną rzecz mającą wpływ na ocenę prezydenta Nawrockiego – jest przecież politycznym nowicjuszem. A przez pierwszy rok swojego urzędowania nie popełnił żadnego znaczącego błędu ani nie zdarzyła mu się żadna gafa.

„RADZI SOBIE LEPIEJ NIŻ DOBRZE"

Dotychczasowy liberalny stereotyp na jego temat, czyli przypadkowo znalezionego przez PiS kibola, w rocznicę prezydentury dalej próbowały propagować media najbardziej zaangażowane po stronie rządu. Przede wszystkim TVP w likwidacji, „Gazeta Wyborcza", konta w mediach społecznościowych powiązane z grupami, takimi jak Silni Razem. „Uzurpator" – pisała o Nawrockim „GW". Było to puszczenie oczka do jej najbardziej sfanatyzowanych czytelników, którzy nadal wierzą w to, że opozycja sfałszowała wybory.

Wiadomo, że te media muszą tak pisać, bo są na nieustającym froncie walki z prawicą. To również kwestia nienajszerszych horyzontów umysłowych pracujących w nich hunwejbinów, a także wzajemnego pocieszania się, że Nawrocki jest incydentem, przypadkiem i w ogóle jako przeciwnik polityczny to tylko nierozgarnięty osiłek, jak przedstawiała go liberalna propaganda podczas kampanii wyborczej 2025 r. Którą jednak wygrał wbrew temu hejtowi.

Może niezbyt szybko, ale za to systematycznie przebija się inny obraz prezydenta. Opinia publiczna widzi brak logiki w dotychczasowej propagandzie: skoro Nawrocki jest tak słaby, to dlaczego wygrywa z tymi, którzy ponoć mają wielkie zalety? Poza tym dobrze wypada podczas uroczystości, jego przemówienia są odbierane pozytywnie, nie zrobił nic kompromitującego. Dodatkowo wielu ludzi, którzy osobiście zetknęli się z Karolem Nawrockim, zauważa, że bardzo zyskuje w bezpośrednim kontakcie. A ponieważ prezydent jest otwarty na kontakty, takich osób przybywa.

Najbardziej znaną opowieścią o tym, jak to działa, są słowa Krzysztofa Stanowskiego, który jeszcze w czasie kampanii prezydenckiej mówił o tym, jak zmienił zdanie na temat Nawrockiego. Przyznał, że uwierzył w kreowany przez większość mediów negatywny wizerunek medialny Nawrockiego. Zmienił zdanie, i to całkowicie, po rozmowie w cztery oczy po jednej z przedwyborczych debat. „Nie było w oczach Nawrockiego żadnej buty, żadnej arogancji, żadnej pretensji, nie było ucieczki do samochodu" – mówił o tym spotkaniu.

Teraz jest coraz więcej przykładów, że również inni przechodzą podobną drogę. Zazwyczaj zaczyna się od docenienia Karola Nawrockiego jako poważnego przeciwnika.

W październiku ub.r., czyli raptem w trzecim miesiącu realnego sprawowania urzędu prezydenckiego, publicysta „Krytyki Politycznej" pisał, że „Nawrocki niestety radzi sobie lepiej niż dobrze". Autor kryjący się pod pseudonimem „Galopujący Major" zauważył, iż rząd Donalda Tuska jest bezradny wobec działań Nawrockiego. Szczególnie w kwestii wetowania ustaw – w tamtym momencie było tylko kilka takich przypadków. „Groźba kolejnego weta sprawia, że rząd naprawdę musi się zastanowić nad kolejnymi ustawami, przez co Nawrocki urasta do roli obrońcy ludu przed nadmiernymi regulacjami. Tak jak w założeniu rząd Tuska miał bombardować Nawrockiego niewygodnymi projektami ustaw, tak Nawrocki zbombardował rząd nieoczywistymi wetami i dzięki temu ma spokój, jeśli chodzi o realizację politycznej agendy" – pisał publicysta.

„PREZYDENT WSZYSTKICH PRAWIC"

Wraz z upływem czasu kolejni liberalno-lewicowi komentatorzy zaczęli publikować podobne spostrzeżenia. Tak na rocznicę prezydentury pisał w „Newsweeku" Jakub Majmurek: „Karol Nawrocki może uznać pierwszy rok swojej prezydentury za politycznie udany. W ciągu dwunastu miesięcy od objęcia urzędu nie tylko znacząco wzmocnił swoją pozycję na polskiej scenie politycznej, lecz także w zasadzie zrealizował wszystkie cele, jakie mógł sobie wyznaczyć na początku kadencji". Według Majmurka sukcesem Nawrockiego było zbudowanie swojego wizerunku jako „prezydenta wszystkich prawic" i utrzymanie dobrych oraz równych relacji ze wszystkimi głównymi siłami politycznymi na prawicy, niezależnie od dzielących je konfliktów.

Piotr Pacewicz, autor portalu OKO.press, niegdyś wicenaczelny „Wyborczej", podsumował rocznicę tekstem o charakterystycznym tytule: „Toksyczny rok z Nawrockim. Groźniejszy niż myślisz, silniejszy niż byś chciała". Ogólny ton jego artykułu można nazwać zrozpaczonym. Stwierdził, że Nawrocki „bez kontry liberałów wchodzi w elektoraty jak w masło". Skrytykował obecny w bliskich mu mediach lekceważący i wyższościowy ton komentarzy na temat prezydenta. Przypomniał, że jest to tym samym, co uśpiło zwolenników Trzaskowskiego w kampanii 2025 r. Pacewicz w swoich komentarzach chętnie przywołuje dane z badań opinii publicznej. I tu wskazał ważną rzecz – lipcowe badanie CBOS dotyczące zaufania do polityków. Od liczby tych, którzy ufają danej postaci, odjął tych, którzy jej nie ufają. W tym rachunku wynik Karola Nawrockiego to 22 pkt na plusie (co jest rekordem wśród polityków). Jego główny rywal Donald Tusk ma 21 pkt na minusie.

Pacewicz zakończył narzekaniem swój tekst, że Tusk nie stanowi przeciwwagi dla „przemocowego demagoga", czyli Nawrockiego. „Donald Tusk gra na polaryzacji z prawicą, ale nie potrafi czy może nie chce przeciwstawić się narracji Nawrockiego".

Czytając te słowa, można postawić tezę, że Tusk od początku przekalkulował, obsadzając Nawrockiego jako głównego przeciwnika. „Na prawicy zawodnikiem wagi ciężkiej jest prezydent Nawrocki. Nie mówię tutaj o gabarytach i o boksie, tylko o tym chyba nie do końca przewidzianym przez Kaczyńskiego pojedynku między nimi. Moim zdaniem Kaczyński nie ma szans" – mówił przecież Tusk.

Liberalni autorzy oceniają tę taktykę Tuska jako błędną. „Przecież mówiąc to, Tusk pozwala rosnąć Nawrockiemu w oczach swoich odbiorców" – dziwi się Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin z „Kultury Liberalnej". Według niej Tusk uznał, że podzielony i słabnący PiS nie wystarczy do „polaryzacji", czyli mobilizowania liberalnego elektoratu na dotychczasowych zasadach. Nie agendą pozytywną, lecz negatywną, czyli rozbudzaniem nienawiści do prawicy. Zdaniem Tuska nie rozbudzi się już gorącej nienawiści do PiS, ale do „Batyra" – tak.

Problem w tym, że „Batyr" jest politykiem świeżym i przedstawicielem innej ge-

eprasa.pl 7f496a23a7

neracji niż prezes PiS. Wątpliwości Skrzydłowskiej-Kalukin mają mocne podstawy. Nie chodzi tylko o to, że Jarosław Kaczyński był dla Donalda Tuska wygodniejszym przeciwnikiem, bo obaj pochodzą z tego samego pokolenia, bardzo dużo o sobie wiedzą, w związku z tym obecny premier ma świadomość, gdzie i jak uderzyć.

Jednak „tort" poparcia jest podzielony. Wyborcy starszego pokolenia już dawno w świadomy sposób określili, po której są stronie i widać, że nie zamierzają zmieniać swoich sympatii. Skąd więc Tusk będzie brał nowych nienawistników, aby pokonać Nawrockiego? Oczywiście w dorosłość wchodzą następne roczniki obywateli, ale wyraźnie widać – wskazują na to wszystkie badania – że obecny prezydent bardzo się podoba tym najmłodszym.

Pokazują to też dość specyficzne wskaźniki, takie jak natężenie pozytywnych i negatywnych komentarzy w mediach społecznościowych. Tu Nawrocki najczęściej wygrywa z Tuskiem, i to ze sporą przewagą. Instytut Res Futura podliczył np. komentarze dotyczące wet prezydenckich. To sprawa sztandarowa dla propagandy Koalicji Obywatelskiej. Cały czas trwa kampania dyskredytowania prezydenta jako „wetomana". I co? Pudło! Katastrofa dla KO i rządu: 72 proc. komentarzy internetowych wyraża opinię, że prezydenckie weta obroniły Polskę przed złym prawem. Narrację rządu, iż weta szkodzą Polsce, popiera tylko 28 proc., czyli mniej niż przeciętne sondażowe poparcie dla KO (nie mówiąc już o poparciu dla pozostałych sił koalicji rządowej).

„TRAFNIE ODCZYTUJE POTRZEBY POLAKÓW"

Trend jest szerszy i nie dotyczy wyłącznie młodszych roczników. Liberalno-lewicowy establishment całkowicie stracił dawną przewagę na polu przemocy symbolicznej, dzięki której mógł narzucać swoje oceny i opinie całemu społeczeństwu. Dalej próbuje działać według starych nawyków i wyuczonych mechanizmów, ale także po tamtej stronie są ludzie, którzy dostrzegają, że to już nie działa.

„Strona liberalna czuje pogardę do tych, którzy wybrali Nawrockiego. I wyższość wobec nich. Takie emocje w czasach obowiązywania pedagogiki wstydu działały. Jeszcze przed wejściem do Unii Europejskiej można było pouczać lud, jak się ma zachowywać, co przystoi, co nie przystoi, jak być prawdziwym Europejczykiem. Nadużywano tego zbyt chętnie i zbyt łatwo. Teraz to nie działa, nie powoduje, że ktoś próbuje się cenzurować, bo zostanie uznany za oszołoma. Przeciwnie, zawstydzanie napędza, zachęca, prowokuje" – mówił prof. Przemysław Sadura, lewicowy socjolog, w kontekście hejtu wobec Nawrockiego i jego wyborców.

Następnym etapem jest zaciekawienie postacią Karola Nawrockiego.

Dobry przykład stanowi rozmowa, która odbyła się w rocznicę prezydentury w Radiu 357. Gościem była Agnieszka Wiśniewska z „Krytyki Politycznej". Jej ocena Nawrockiego była spokojna i całkowicie neutralna. „Bardzo szybko wyemancypował się spod wpływu PiS jako kandydat obywatelski. A teraz widzimy, jak ta prezydentura wpływa nie tylko na PiS, lecz także na całą prawą stronę sceny politycznej" – przedstawiła swoją diagnozę, według której człowiek, obecny w wielkiej polityce zaledwie od kilkudziesięciu miesięcy, skutecznie przemeblował nasze życie publiczne.

> Jakub Majmurek napisał w „Newsweeku": „Karol Nawrocki może uznać pierwszy rok swojej prezydentury za politycznie udany. W ciągu dwunastu miesięcy od objęcia urzędu znacząco wzmocnił swoją pozycję na polskiej scenie politycznej [...]"

Słowa Wiśniewskiej o Nawrockim – „swój chłop, co pralkę na plecy zarzuci" – były wypowiedziane bez cienia drwiny, ale dla podkreślenia, że Nawrocki sprawnie realizuje model „prezydentury ludowej, blisko ludu". Publicystka „KP" drwiła jednocześnie z Bronisława Komorowskiego jako kandydata „z dworku", który w wyborach nie musiał się starać, bo wygrana „mu się należy".

Po zaciekawieniu przychodzi fascynacja. Tu przykładem jest Adam Abramczyk, prywatnie biznesmen i jednocześnie dobrze już rozpoznawalny komentator w mediach społecznościowych. Do wyborów prezydenckich 2005 r. był bardzo zaangażowanym zwolennikiem PO. Jako człowiek zamożny wpłacał na kampanie wyborcze Platformy. Znał się osobiście z jej czołowymi politykami. Dzisiaj, gdy mówi o Karolu Nawrockim, z jego ust padają określenia – „pozytywne zaskoczenie", „prezydent trafnie odczytuje potrzeby Polaków". Abramczyk stwierdził również, iż żałuje, że głosował na Rafała Trzaskowskiego; teraz mógłby zagłosować na Nawrockiego.

Podobny jest przypadek Marcina Józefaciuka. Poseł wybrany z listy KO, dzisiaj niezrzeszony, w grudniu ub.r. chwalił prezydenckie weto blokujące nowelizację prawa oświatowego. Potem apelował, aby prezydent zawetował ustawę o rzeczniku praw ucznia. Z zadowoleniem opowiadał też o kontaktach z Kancelarią Prezydenta RP w sprawach dotyczących oświaty. Stwierdził, że przedstawiciele Kancelarii pod względem merytorycznym są dobrze zorientowani w tej tematyce i otwarci na zgłaszane propozycje. Niedawno ujawnił, iż rząd celowo „zaszywa" w projektach ustaw pojedyncze zapisy, które zmuszają prezydenta do ich wetowania.

Dominika Sitnicka z portalu OKO.press napisała w rocznicę wyborów prezydenckich: „Wszystko wskazuje na to, że Karol Nawrocki powoli buduje się jako lider tego środowiska [całej polskiej prawicy – przyp. red.] – z jednej strony nominat PiS, z drugiej ktoś wystarczająco radykalny, by nowa prawica i skrajna prawica uznawała go za »jednego z nich«".

Prezydent Nawrocki ma 43 lata, jeszcze 4 lata obecnej kadencji i wielkie szanse na reelekcję, czyli następne 5 lat. Liberałowie i lewica zaczynają rozumieć, że to nie jest epizod w polskiej polityce, lecz nowa epoka. Inteligentniejsi z nich już wiedzą, że nie mogą dalej obrażać się na rzeczywistość i werdykt wyborców.

eprasa.pl 7f496a23a7



Miliony dla „swoich”

Ludzie związani z Koalicją Obywatelską przejęli miliony, które miały trafić do powodzian. Wybuchła kolejna afera, za którą stoi Marcin Kierwiński. W zdrowej demokracji rząd Tuska dawno podałby się do dymisji. Czy to już państwo mafijne?



MARZENA NYKIEL

To była jedna z największych katastrof żywiołowych w historii współczesnej Polski. Mimo że Donald Tusk przekonywał mieszkańców Dolnego Śląska, iż „prognozy nie są przesadnie alarmujące”, gwałtowna powódź w 2024 r. dotknęła 759 miejscowości i aż 2,4 mln osób. W województwie dolnośląskim poszkodowanych zostało ponad 238 tys. ludzi i prawie 12 tys. firm. Władze Jeleniej Góry wyceniły szkody tylko w majątku komunalnym na ponad 248 mln zł. Okazuje się jednak, że część poszkodowanych do dziś nie otrzymała niezbędnej pomocy, a pieniądze szerokim strumieniem popłynęły do ludzi związanych z Koalicją Obywatelską. Wszystko wskazuje na to, że ujawniony przez dziennikarzy Wirtualnej Polski przekręt w Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego (KARR) to zaledwie początek gigantycznej afery.

WAŁY POWODZIOWE

Gdyby nie dziennikarskie śledztwo Szymona Jadczaka, cała sprawa pewnie nie wyszłaby na jaw. Bo choć od kwietnia bada ją Centralne Biuro Antykorupcyjne, w strukturach partii nie ma żadnej reakcji. Skala nadużyć w KARR poraża. Według ustaleń Wirtualnej Polski trzy podmioty ze wsi Dziwiszowa otrzymały łącznie 4,5 mln zł. Beneficjentami stali się mąż wiceprezes KARR Anny Konieczyńskiej (200 tys. zł), jej sąsiedzi ze spółki Kadalore (3,2 mln zł) oraz właściciel lokalnej telewizji współpracującej z samorządem (ponad 1,1 mln zł).

Z ujawnionej dokumentacji wynika, że firma Amarcord Piotra Konieczyńskiego, prowadzącego pensjonat, otrzymała maksymalną pożyczkę z funduszu ministerialnego przyznawaną przez KARR. Za „szkody powodziowe” uznano pęknięte płytki na tarasie i uszkodzony tynk na balkonie na piętrze budynku stojącego na wzgórzu.

Kolejnym beneficjentem są bezpośredni sąsiedzi państwa Konieczyńskich. Spółka Kadalore otrzymała łącznie 3,2 mln zł na naprawę sali zabaw dla dzieci w Jeleniej Górze, która – jak ustalili dziennikarze – nigdy nie została otwarta. Większościowy udziałowiec firmy był wcześniej karany, m.in. za przestępstwa podatkowe.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 7f496a23a7

Duży zastrzyk gotówki otrzymała również lokalna telewizja, której właściciel także mieszka w Dziwiszowie. Agencja Dami od lat współpracuje z samorządem. Przyznano jej ponad 1,1 mln zł wsparcia, mimo że zdjęcia satelitarne wykazały, iż woda zatrzymała się przed jej budynkiem. Bank Gospodarstwa Krajowego przyznaje, że nie ma nawet kopii wymaganej regulaminem deklaracji bezstronności dla tej pożyczki.

Cztery niezależne źródła – Straż Pożarna, Wody Polskie oraz systemy satelitarne Copernicus i ICEYE – jednoznacznie potwierdzają, że we wrześniu 2024 r. w tych miejscach nie było wody powodziowej.

Cały proceder był możliwy dzięki „uproszczonym procedurom". Zaświadczenia wydawano na podstawie oświadczeń, a wyceny rzeczoznawców wybieranych przez samych wnioskodawców nie były merytorycznie weryfikowane przez KARR. Okazuje się też, że „wykaz zalanych ulic", na którym Jelenia Góra opierała zaświadczenia potrzebne do wypłaty środków dla powodzian, to jedynie lista prognostyczna map ryzyka Straży Pożarnej, ułatwiająca zaplanowanie działań operacyjnych, a nie rzeczywisty zapis zdarzeń. W ten sposób miasto wydało 189 zaświadczeń o szkodach.

Pieniądze dla przedsiębiorców pochodziły z dwóch programów pomocowych. Ministerstwo Rozwoju i Technologii udzielało pożyczek w wysokości do 200 tys. zł, a Bank Gospodarstwa Krajowego – do 5 mln zł, przy czym środki te mogły zostać niemal w całości umorzone, stając się *de facto* darowiznami.

BEZKARNI NADZORCY

Anna Konieczyńska nie ma sobie nic do zarzucenia. W rozmowie z telewizją wPolsce24 oświadczyła, że padła ofiarą nagonki, dziennikarzom zabrakło obiektywizmu, a ona sama jest „wartością dodaną" w Koalicji Obywatelskiej. Stwierdziła też, że „nie pamięta", czy pomagała mężowi w pisaniu wniosku. „Były szkody, takie właśnie. Jeśli był tak złożony wniosek, to na pewno takie były i ja nie mam sobie naprawdę nic do zarzucenia" – odpowiedziała. Z taką samą pewnością siebie rozmawiał z naszym reporterem jej mąż. Oboje twierdzą, że są ofiarami hejtu, ale nie przedstawiają ani jednego dowodu potwierdzającego zasadność przyznania dofinansowania.

Po wybuchu afery Anna Konieczyńska została zawieszona w prawach członka Koalicji Obywatelskiej i odwołana z funkcji wiceprezesa Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego. Ale czy to wystarczy? Wygląda na to, że po raz kolejny mamy do czynienia z popularną w partii Donalda Tuska strategią zamykania spraw poprzez ścięcie kozła ofiarnego. Bo choć sprawa Konieczyńskiej jest spektakularnie oburzająca, jako wiceprezes miała przecież nad sobą organy nadzorujące.

Prezesem KARR jest Hubert Papaj, którego obowiązkiem jest sprawowanie bezpośredniej kontroli nad działalnością agencji. W Jeleniej Górze mówi się o nim sporo. Dekadę temu kierował lokalnymi strukturami Platformy Obywatelskiej i był wiceprezydentem miasta, ale został odwołany. W poprzednich wyborach stoczył przegraną walkę o władzę w jeleniogórskim magistracie z Jerzym Łużniakiem z PO, który jest prezydentem od 2018 r. Jego rolę w wystawianiu zaświadczeń powodziowych także należałoby poddać kontroli. KARR to samorządowa spółka akcyjna, nad którą bezpośredni nadzór właścicielski sprawuje Zarząd Województwa Dolnośląskiego. Województwem rządzi koalicja KO, PSL i BS pod wodzą marszałka Pawła Gancarza z PSL. Czy jest więc możliwe, aby organy nadzorcze nie wiedziały o tym, co dzieje się w agencji? Rodzi się też pytanie o bierność Michała Jarosa, szefa struktur dolnośląskiej Koalicji Obywatelskiej.

Centralne Biuro Antykorupcyjne prowadzi kontrolę w KARR od kwietnia 2026 r., ale dopiero ujawnienie afery przez media dało impuls do działań personalnych. W ramach kontroli CBA przeanalizowało 900 wniosków. „Szczegółową dalszą kontrolą objęto ponad 50 wniosków dotacyjnych na łączną kwotę dofinansowania blisko 50 mln zł" – napisał rzecznik.

Mieszkańcy Jeleniej Góry są zbulwersowani. Niektórzy do dziś nie otrzymali należnej im pomocy. Twierdzą też, że w mieście panuje partyjna zmowa i nie ma co liczyć na sprawiedliwość: „Gdzie się człowiek nie dotknie, tam jest bagno".

KIERWIŃSKI – AS TUSKA

Na ten szczególnie wymagający odcinek Donald Tusk wysłał swojego człowieka do zadań specjalnych. Marcin Kierwiński został pełnomocnikiem rządu ds. odbudowy kraju po powodzi. Dysponował gigantycznym budżetem. W październiku 2024 r. rząd ogłosił Program Odbudowa Plus, który miał sprawić, że odbudowana infrastruktura będzie jeszcze lepszej jakości niż ta, którą zniszczyła powódź. „Rząd premiera Donalda Tuska zamierza wyasygnować do 23 mld zł na odbudowę zalanych terenów. To będą środki krajowe oraz pochodzące z programów europejskich" – zapowiadał wtedy Kierwiński. Dziś już wiemy, że choć sukces był ogłaszany kilkakrotnie, wciąż nie zdołano zrealizować założonych celów, a w niektórych przypadkach nie wypełniono podstawowych zobowiązań. Pojawiają się za to coraz bardziej szokujące doniesienia o nieprawidłowościach.

Co z odpowiedzialnością Marcina Kierwińskiego? Na odbudowę kraju po powodzi nie ma już czasu, premier wyznaczył mu inne zadania. I chociaż w jego działaniach trudno znaleźć choćby jeden obszar mocny kompetencyjnie, Donald Tusk nie przestaje go bronić. „Marcin Kierwiński został wezwany przez ojczyznę w potrzebie i wrócił bez chwili wahania pomóc powodzianom. To wzór obywatela Rzeczypospolitej" – mówił premier podczas sejmowej debaty nad wotum nieufności wobec szefa MSWiA.

Zastanawiające są także wypowiedzi Donalda Tuska z 2024 r. Być może właśnie w sformułowanych przez niego wytycznych należy szukać przyczyn rozdawnictwa publicznych środków. „Metoda jest taka: wszyscy mają z empatią i zrozumieniem podchodzić do tych wniosków. Nie zakładam, że będziemy mieli do czynienia z jakimiś nadużyciami. Naprawdę ludzie są w oczywistej potrzebie" – mówił,



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost
CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze
eprasa.pl 7f496a23a7



Dopiero po tym, jak media nagłośniły sprawę afery powodziowej, Anna Konieczyńska została zawieszona w prawach członka KO i odwołana z KARR

ogłaszając program powodziowy. Jak widać na przykładzie KARR, empatii nie zabrakło zwłaszcza wobec swoich.

Dziś Donald Tusk mówi coś zupełnie odwrotnego. „W szybkim trybie wydano tysiące decyzji. [...] Przygotowaliśmy wiele mechanizmów, na różne okoliczności. Za konkretne mechanizmy odpowiadały konkretne ministerstwa. Skala – 8 mld zł, jeśli chodzi o całość wydatków, jak i ilość decyzji, instytucji – to wszystko powodowało, że ryzyko nadużyć może się pojawić. Zakładaliśmy z góry, że do takich sytuacji dojdzie, biorąc pod uwagę skalę pomocy" – stwierdził. „Dla mnie najważniejsze jest, aby instytucje państwa działały i każde nadużycie zostało zidentyfikowane i ukarane. Gorącym żelazem wypalimy każdy przypadek nieprawidłowego wydatkowania pieniędzy dla powodzian" – zapowiedział na posiedzeniu rządu.

Konieczyńska nie ma sobie nic do zarzucenia. W rozmowie z telewizją wPolsce24 oświadczyła, że padła ofiarą nagonki, dziennikarzom zabrakło obiektywizmu, a ona sama jest „wartością dodaną" w KO. Stwierdziła też, że „nie pamięta", czy pomagała mężowi w pisaniu wniosku

Czyżby więc reperkusje miały wreszcie dotknąć realnie odpowiedzialnych za marnotrawienie publicznych pieniędzy? Czy Marcin Kierwiński, którego zadaniem było nadzorowanie działań, poniesie wreszcie konsekwencje własnej nieudolności? A może nieudolność jest jedynie pozą mającą przykrywać szwindle? Jak inaczej wytłumaczyć to, że jest delegowany przez Donalda Tuska do zadań specjalnych? Gdziekolwiek się nie pojawi, mamy aferę. To on jako szef warszawskich struktur KO sprawował pieczę nad Dawidem Kacprzykiem, szefem partyjnej młodzieżówki. To pod jego okiem narastał potężny wrzód przewałów na ochronie zdrowia w szpitalach podległych miastu. To on odpowiadał za właściwe przeprowadzenie odbudowy regionów zniszczonych przez powódź i przeznaczoną na to dystrybucję środków. To on jako minister spraw wewnętrznych i administracji bierze odpowiedzialność za administracyjną sprawność państwa, także w obszarze kontrolowania pomocy powodziowej.

To wreszcie on pełni niezwykle sprawczą funkcję partyjną. Jako sekretarz generalny Koalicji Obywatelskiej odpowiada za struktury i dobrze zna partyjnych działaczy. Ciekawe, że za każdym razem, gdy na jaw wychodzi jakaś afera, jej bohaterami są promowani przez niego ludzie. Mimo że lista jego grzechów się wydłuża, czuje się zupełnie bezkarny. Do afery powodziowej nawet się nie odniósł. Najpierw zamieścił na platformie X zdjęcie żółwia składającego jaja, potem zaczął rytualnie atakować PiS. To nie są jedynie zwykłe wpisy. Można sądzić, że to sygnał dla polityków i działaczy KO, by nie wpadać w panikę i trzymać się ustalonych wcześniej wersji.

Czy nie tak działa państwo mafijne? Afery polityczno-finansowe są ujawniane dzień po dniu. Zwykli obywatele nie mają żadnych szans w starciu z urzędniczą machiną, a partyjni bonzowie drwią i cieszą się bezkarnością. „To nie jest kradzież, to system grabienia Polski" – napisał na platformie X poseł Marek Jakubiak. Na antenie telewizji wPolsce24 ujawnił też, że jako przedsiębiorca prowadzący działalność gospodarczą na Dolnym Śląsku został oszukany przez PO na 8 mln zł. Najpierw zachęcono go do inwestycji, a potem wycofano się z jej współfinansowania. „PO na Dolnym Śląsku spełnia wszystkie definicje zorganizowanej grupy przestępczej" – oświadczył. Przypomniał też, że prowadzi biznes 20 km od Dziwiszowa, który również doznał poważnych zniszczeń. Obfite deszcze zawaliły dach, a kanalizacja, która nie wytrzymała naporu wody, zalała budynki od dołu. Nie otrzymał jednak pieniędzy z puli pomocy dla poszkodowanych przedsiębiorców, ponieważ szkody wyrządziła woda opadowa. Urzędnicy odesłali go do ubezpieczyciela. Ilu przedsiębiorców znalazło się w tej samej sytuacji?

Polska za rządów Donalda Tuska staje się krainą wiecznych przekrętów. Zadłużenie państwa dawno przekroczyło krytyczną barierę 2 bln zł i przyspiesza w tempie najszybszym w całej Unii Europejskiej, sięgając 1,7 mld zł dziennie. W rządzie nie widać żadnej refleksji, wizji i planu naprawczego. Jest infantylny PR, mający przykryć drenowanie publicznych funduszy przez ludzi związanych z władzą i zaciąganie nowych zobowiązań kredytowych na zasypanie dziury budżetowej. Zupełnie tak, jakby realnym planem było doprowadzenie kraju do bankructwa, a wcześniej wyjęcie z jego zasobów tyle, ile tylko się da, na własne potrzeby. Donald Tusk wypowiada czasem słowa, które nabierają sensu dopiero po czasie. Właśnie tak jest z jego wpisem z okresu pandemii. Nie sposób trafniej oddać tego, z czym mamy obecnie do czynienia: „Okradają własny naród. Ich rządy przejdą do historii jako czas hańby. Trzeba to wreszcie głośno powiedzieć".

Fot. Anna Ewa Konieczyńska/FB

eprasa.pl 7f496a23a7



Projekt elektrowni atomowej w Choczewie

Zamrożone inwestycje

Rząd Tuska nie ma żadnej strategii działania, a podejmowane decyzje – w tak ważnych sprawach jak CPK czy budowa elektrowni jądrowych – są najczęściej wypadkową doraźnych interesów ekipy sprawującej władzę. W rezultacie ambitne plany są kastrowane, a opóźnienia, cięcia i błędy uderzą w nas wszystkich



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„To największa inwestycja w polską gospodarkę w historii nowożytnej Polski. To jest inwestycja, która gwarantuje nam, że transformacja energetyczna będzie gwarantowała znowu tym, którzy są w tym procesie najważniejsi, odbiorcom, tanią energię, bezpieczne dostawy energii. Będzie gwarantowała, że będziemy suwerenni energetycznie i będzie gwarantowała budowę nowego łańcucha dostaw" – tę niezborną wypowiedź wydusił z siebie minister energii Miłosz Motyka w trakcie uroczystości przekazania terenu pod budowę pierwszej polskiej elektrowni jądrowej w Choczewie.

To nie pierwszy i zapewne nie ostatni przypadek, gdy ministrowie obecnego rządu chwalą się sukcesami swoich poprzedników. Tak się bowiem składa, że dopiero za rządów PiS budowa elektrowni atomowej ruszyła z miejsca. Jedynym wkładem Tuska jest co najwyżej spowolnienie tej strategicznej inwestycji.

Warto przypomnieć, że Donald Tusk wracał do władzy w 2023 r. pod hasłem zatrzymania wielkich projektów modernizacyjnych poprzedniej ekipy. Gdy okazało się to zbyt kosztowne politycznie i wzbudziło społeczny opór (jak choćby w sprawie CPK), zmienił linię i zaczął mówić o „urealnianiu" planów. To „urealnianie" jest w rzeczywistości kastrowaniem ambitnych inwestycji, co odbywa się pod hasłem oszczędności budżetowych. Szef rządu uznał jednak, że ze względów politycznych lepiej będzie je kontynuować, nawet w bardzo okrojonej formie, aby potem przypisać sobie zasługi wielkiego modernizatora. Na tym polega nowa propaganda sukcesu.

Tusk chce w ten sposób przykryć fakt, że dotychczasowe dwa lata jego rządów to czas stopniowej degradacji państwa. Czy ktokolwiek jest bowiem w stanie wskazać przynajmniej jeden wielki projekt obecnego rządu? Coś na skalę CPK czy portów morskich na Bałtyku? Niczego takiego nie ma, więc Tuskowi nie pozostaje nic innego, niż bezczelnie podczepić się pod sukcesy poprzedników. Przy czym realizacja przejętych przez niego inwestycji idzie jak po grudzie.

PARTACZE

Elektrownia atomowa jest nam potrzebna „na wczoraj". Rząd Morawieckiego, który opracował plan budowy elektrowni jądrowych, zakładał uruchomienie pierwszego bloku siłowni w 2033 r. Zakładano również, że w 2032 r. miała się rozpocząć budowa drugiej elektrowni. Dziś już wiemy, że nic z tego nie będzie. Zgodnie z obecnymi planami rozpoczęcie pracy pierwszego bloku jest planowane dopiero na 2036 r., a i tak są poważne wątpliwości, czy ten termin zostanie dotrzymany. Kwestia dotycząca drugiej siłowni pozostaje w powijakach i minister Motyka nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, kiedy i gdzie zostanie zbudowana (o jej uruchomieniu nawet nie wspominając).

Podobnie jest w przypadku innej sztandarowej inwestycji pisowskich rządów, którą obecny gabinet pod wpływem społecznej presji zdecydował się kontynuować, choć robi to z widocznym ociąganiem i wyraźną niechęcią. Mowa oczywiście o CPK, znanym dziś jako Port Polska. Według pierwotnych planów nowe lotnisko miało powstać w 2028 r. i do 2035 r. osiągnąć przepustowość rzędu 40 mln pasażerów rocznie. Teraz, po

eprasa.pl 7f496a23a7



Źle się dzieje, jeżeli strategiczne przedsięwzięcia nadzorują przypadkowi dyletanci lub partyjni aparatczycy. Za ich partactwa wszyscy zapłacimy z własnej kieszeni

trzyletniej zwłoce w budowie i zupełnym wywróceniu tej koncepcji, harmonogram się zmienił. Port Polska ma zostać uruchomiony z czteroletnim poślizgiem, za to od razu z roczną przepustowością zwiększoną do 44 mln pasażerów.

Jest to o tyle dziwne, że jednocześnie całkowicie wykastrowano komponent kolejowy lotniska, likwidując większość linii kolejowych, mających zasilać port lotniczy. W jaki sposób obecne władze chcą zapewnić tak wysoką liczbę pasażerów, nie wiadomo. Trudno uciec od podejrzeń, że mamy tu do czynienia z gigantyczną niekompetencją lub – co się zresztą nie wyklucza – z działaniami pozorowanymi.

Problem polega na tym, że mowa o strategicznych inwestycjach państwa, kosztujących miliardy złotych i źle się dzieje, jeżeli tego rodzaju przedsięwzięcia nadzorują przypadkowi dyletanci lub partyjni aparatczycy. Za ich partactwa wszyscy zapłacimy z własnej kieszeni.

POŚLIZG ZA POŚLIZGIEM

7 sierpnia Stowarzyszenie Tak dla CPK zaprezentowało w Kancelarii Prezydenta interesujący raport na temat stanu tej inwestycji. O tym, że nie jest z nią dobrze, mówi już tytuł dokumentu: „Czarne chmury nad CPK".

Ostatnie lata właściwie zmarnowano, zatrzymując zaplanowane prace, zrywając zawarte umowy i porozumienia oraz wywracając ustalony wcześniej harmonogram. Wiele wskazuje na to, iż pierwotnie rząd Tuska zmierzał do całkowitego zaniechania inwestycji, ostatecznie jednak zdecydowano się na kontynuowanie prac, ale według zupełnie zmienionych planów.

Powstałych opóźnień nie da się już jednak nadrobić, więc w ramach „urealnienia" przesunięto termin otwarcia lotniska o cztery lata, a początek prac budowlanych (tzw. palowanie, czyli budowę fundamentów) – o 21 miesięcy. Umowa zakłada rozpoczęcie palowania we wrześniu br. i ukończenie tych robót na początku 2028 r.

Istotną rolę w utrzymaniu harmonogramu odgrywają też rozmaite decyzje administracyjne. Wywłaszczenia idą stosunkowo sprawnie, jednak zdaniem autorów raportu nie uda się zamknąć całego procesu tak, jak zaplanowano – do końca 2026 r. A to jest podstawowy warunek rozpoczęcia większości prac budowlanych. „Każde ogniwo tego łańcucha (odbiory projektu, ostateczność decyzji lokalizacyjnej, pozwolenie na budowę, rozstrzygnięcie przetargu) jest warunkiem koniecznym uruchomienia kolejnego, dlatego opóźnienie na jednym etapie kaskadowo przesuwa całość" – czytamy w raporcie. Nie jest wcale pewne, że nowy termin otwarcia lotniska w 2032 r. będzie dotrzymany. Przeciwnie, szanse na to są coraz mniejsze.

> Każdy kolejny rok opóźnienia budowy elektrowni atomowej oznacza rosnące koszty energii, a co za tym idzie – postępującą zapaść gospodarki

Do tej pory nie udało się prawomocnie wyłonić Generalnego Inżyniera Kontraktu, a więc spółki nadzorującej realizację całości inwestycji. Nie ma też wyraźnej, przemyślanej koordynacji pomiędzy budową CPK a modernizacją Okęcia, Radomia i Modlina, co w przyszłości może wygenerować straty finansowe. „Brak synchronizacji biznesplanu rozbudowy Lotniska Chopina z budową CPK rodzi realne ryzyko, że budowa CPK będzie sztucznie przewlekana do czasu, aż nadmiarowe inwestycje na Chopinie się zwrócą" – alarmują autorzy raportu.

KOLEJNE DŁUGI

Co więcej, zmieniono sposób finansowania CPK. Aby opłacić tak potężną inwestycję, rząd Morawieckiego zaangażował zagranicznych partnerów, z których najważniejsze było konsorcjum Vinci i IFM. Vinci Airports specjalizuje się w rozwoju i obsłudze lotnisk. Francuska firma ma w swoim portfolio 65 portów lotniczych na całym świecie. Z kolei IFM to australijski fundusz inwestycyjny, który zarządza aktywami o łącznej wartości ok. 143 mld dol., z czego ok. 64 mld dol. ulokował w projektach infrastrukturalnych. Są to więc potężni gracze na rynku.

Według pierwotnego projektu inwestycja miała kosztować ok. 300 mld zł, przy czym sama budowa lotniska – po wyłączeniu komponentu kolejowego i drogowego – 46 mld zł. Ustalono, że 5,5 mld zł z tej kwoty pokryje państwo, konsorcjum Vinci i IFM zapłaci 8,5 mld, a resztę wyłożą banki. Wynikało z tego, że do chwili otwarcia lotniska w 2028 r. państwo miało przeznaczać na jego budowę nieco ponad 1 mld zł rocznie, czyli mniej więcej tyle samo, ile rząd Tuska tylko w tym roku przekazał na dofinansowanie neo-TVP. Nie są to więc pieniądze, których obecna władza nie jest w stanie wygospodarować. Korzyści były zatem oczywiste.

Mimo to obecny rząd zaniechał rozmów z zagranicznymi konsorcjami, co przy dzisiejszej mizerii budżetowej oznaczało *de facto* zatrzymanie całej inwestycji. Kontynuację prac wymusiła dopiero opinia publiczna, ale trzeba było od nowa szukać pieniędzy. Ostatecznie zamiast prywatnego inwestora do projektu włączono spółkę Polskie Porty Lotnicze (PPL). Tymczasem – jak zwracają uwagę autorzy raportu – „PPL nie ma ani znaczącego doświadczenia

Fot. Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl 7f496a23a7

inwestycyjnego (prowadzona przez PPL rozbudowa lotniska w Radomiu była opóźniona i przepłacona), ani wysokich standardów zarządzania (Lotnisko Chopina w rankingach Skytrax za 2024 r. wypada słabiej niż porównywalne porty europejskie)". Wreszcie, PPL może mieć istotne trudności z wniesieniem wymaganych ok. 8 mld zł za udziały. „Trudno zatem uznać PPL za podmiot wnoszący doświadczenie w budowie i komercjalizacji wielkiego hubu przesiadkowego, jakiego oczekiwano od inwestora strategicznego" – czytamy.

W konsekwencji projekt coraz mocniej opiera się na finansowaniu publicznym i długu. PPL jako inwestor mniejszościowy ma objąć 49 proc. udziałów w spółce Port Polska, angażując do 2032 r. ok. 4,6 mld zł, w dużej części z finansowania dłużnego, a koszt samego lotniska jest szacowany na ok. 42 mld zł, przy czym udział długu w całości inwestycji ma sięgać 60–70 proc. Istnieje przy tym ryzyko, że zabezpieczeniem długu może być teren zajmowany dziś przez Lotnisko Chopina – wyjątkowo atrakcyjny kąsek dla deweloperów i spekulantów.

„Ewolucja modelu finansowania oznacza w praktyce odejście od pierwotnej wizji, w której państwo tworzy projekt wspólnie z rynkowym, doświadczonym partnerem dzielącym ryzyko, na rzecz modelu, w którym państwo tworzy projekt, państwo go finansuje i państwo bierze na siebie większość ryzyka" – podsumowują autorzy raportu. W obecnej formule projekt lotniska stał się znacznie mniej stabilny finansowo i bezpieczny.

WIELKIE KASOWANIE

Jednocześnie władze spółki CPK, odpowiadającej za budowę lotniska, nie żałują pieniędzy na własne potrzeby. W ostatnim roku nastąpił gwałtowny wzrost zatrudnienia z 715 do 1120 osób (w większości były to etaty administracyjne). Nie przełożyło się to jednak na dynamikę prac nad lotniskiem. Według nieoficjalnych informacji to właśnie brak „sprawczości" miał być główną przyczyną niedawnych roszad personalnych we władzach spółki oraz nagłego odwołania jej prezesa i wiceprezesa w lipcu br.

Autorzy raportu zwracają też uwagę na zupełnie absurdalny rebranding CPK i przemianowanie go na Port Polska, co wygenerowało dodatkowe koszty (m.in. powołano w tym celu specjalny „zespół wdrożeniowy") i było decyzją polityczną wynikającą z osobistej niechęci Tuska do poprzedników.

Obecny rząd wyrzucił też do kosza komponent kolejowy CPK, zakładający budowę 10 tzw. szprych – linii kolejowych prowadzących z całej Polski i zbiegających się przy nowym lotnisku. Ich łączna długość miała wynieść 1,6 tys. km, z czego 670 km miały stanowić linie KDP z pociągami mogącymi osiągać prędkość 250 km/h. Zamiast tego zaproponowano „urealnienie" projektu, które polegało na wyłamaniu wszystkich szprych i pozostawieniu wyłącznie linii Y prowadzącej z Warszawy przez Łódź do Poznania i Wrocławia, z pociągami osiągającymi prędkość podniesioną do 350 km/h, co w praktyce daje zaledwie 15 min zysku czasowego, eliminuje za to z przetargu na tabor polskich producentów. W ten sposób od CPK odcięto duże metropolie, takie jak Kraków, Katowice czy Gdańsk, o mniejszych miastach nawet nie wspominając.

> To oczywiście może cieszyć naszych sąsiadów z zachodu, ale naprawdę nie trzeba rozkazów z Berlina, aby Tusk i jego ekipa doprowadzili kraj do ruiny

Likwidacja szprych ma także negatywny wpływ na naszą obronność. Część projektowanych linii kolejowych miała bowiem znaczenie militarne, zapewniając transport wojsk w kierunku naszej wschodniej granicy.

POZOSTANĄ PO NIM RUINY

W obliczu rzezi, która dotknęła CPK, nie należy obiecywać sobie zbyt wiele po budowie elektrowni jądrowej. Mimo uroczystego przekazania terenu budowy w ręce amerykańskiego konsorcjum Westinghouse-Bechtel oraz kurtuazyjnych zachwytów ze strony ambasadora USA Toma Rose'a polscy negocjatorzy nie dogadali się ze swoimi partnerami zza oceanu i – jak donosi „Business Insider" – wciąż nie uzgodniono wielu „kluczowych kwestii". Może to oznaczać poważny poślizg z podpisaniem umowy i rozpoczęciem budowy elektrowni. Dziś wiele wskazuje na to, że negocjacje przeciągną się do połowy przyszłego roku, co doprowadzi do kolejnego przesunięcia terminu uruchomienia elektrowni.

Jeszcze gorzej wygląda przyszłość drugiej siłowni jądrowej. Nie tylko nie ustalono jeszcze jej ostatecznej lokalizacji (preferowane są Bełchatów lub Konin), lecz także nie jest do końca jasne, czy w ogóle powstanie. Pojawiają się bowiem pomysły, aby zamiast drugiej, dużej elektrowni postawić na małe reaktory (SMR). Na razie rząd zapewnia, że obie technologie się nie wykluczają i mogą działać komplementarnie, czy jednak rzeczywiście tak będzie, dopiero się okaże.

Pewne jest za to, iż rząd Tuska nie ma żadnej strategii działania, a podejmowane decyzje – w tak ważnych dziedzinach jak transport czy energetyka – najczęściej są wypadkową doraźnych interesów ekipy sprawującej władzę. W rezultacie ambitne plany są kastrowane i minimalizowane, a opóźnienia, cięcia i błędy uderzą w nas wszystkich. Trudno przecież nie zauważyć, że każdy kolejny rok opóźnienia budowy elektrowni atomowej oznacza rosnące koszty energii, a co za tym idzie – postępującą zapaść gospodarki.

Do tej pory byliśmy skłonni myśleć, że Tusk i jego ludzie realizują niemiecki plan zduszenia Polski. Wydaje się jednak, że mocno przeceniamy tę ekipę. Ci ludzie są po prostu skrajnie niekompetentni i tym samym wyrządzają państwu ogromną szkodę. To oczywiście może cieszyć naszych sąsiadów z zachodu, ale naprawdę nie trzeba rozkazów z Berlina, aby Tusk i jego komanda doprowadzili kraj do ruiny.

eprasa.pl 7f496a23a7



Fot. © Mikołaj Bujak/KPRP

Raper w pałacu, irytacja „warszawki”

„Inteligent hip-hopu” lub – jak sam siebie nazywa – „liryczny narkoman”. Eldo, legenda polskiej sceny rapowej, uświetnił rocznicę prezydentury Karola Nawrockiego, dzięki czemu hip-hop nie jest już obcym we własnym kraju. Liberalno-lewicowe elity zawyły więc z bólu



MACIEJ WALASZCZYK

Kiedy podczas obchodów rocznicy zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego Eldo, czyli Leszek Kaźmierczak, weteran rodzimej sceny hip-hopowej, wraz z dziećmi z góralskiej kapeli Zagórzańska Siła wykonał swój utwór „Nie pytaj o nią”, inspirowany piosenką Grzegorza Ciechowskiego „Nie pytaj o Polskę”, wywołał autentyczny dreszczyk emocji. Dla wielu dzisiejszych 50- i 40-latków to prawdziwa legenda krajowej sceny, która już ćwierć wieku temu zabłysnęła w słynnym filmie Sylwestra Latkowskiego „Blokersi”. Film wywołał sporo kontrowersji, dziś rażąc pretensjonalnym tonem, ale pozostając świadectwem tamtego czasu. W filmie „Mówią Bloki 2”

Autopromocja

eprasa.pl 7f496a23a7

Eldo zarzucił gwiazdom sceny rapowej komercję i bezideowość, samemu pozostając kimś w rodzaju poety-moralisty. Miał rację, bo dziś ta muzyka to raczej tandetna i wulgarna komercja, gatunek nie tyle subkulturowy, ile postmodernistyczny. On pozostał sobą.

Tę autentyczność znakomicie zaakcentował prezydent, zwracając uwagę, że polityczne elity przez 35 lat nie potrafiły słuchać głosu zwykłych ludzi. „Wielu twórców hip-hopu, innej muzyki i kultury, wyśpiewuje często ból serca, ból duszy wielu Polek i Polaków. Ja też, jako zwykły chłopak z Gdańska, go nosiłem" – wyznał, dziękując artyście za występ.

W ciągu ostatnich 15 lat patriotyzm docierał do młodych bardzo różnymi drogami. Za pośrednictwem internetu, stadionów czy właśnie tej muzyki, pełnej fascynujących opowieści o patologiach polskiej transformacji: biedzie i nierównościach, przemocy, korupcji, patologiach. Polski hip-hop opowiadał o obywatelach drugiej kategorii, których życie, nawet wbrew ich aspiracjom, w III RP stało się nieznośne i pozbawione celu. Także kwestia tożsamości narodowej, w oficjalnej kulturze spychana na margines, brutalnie dekonstruowana i wyszydzana, powróciła w tekstach subkultury hip-hopowej jako duma z pochodzenia, ranga lojalności i przyjaźni, wartość rodziny, honoru, znaczenie walki o lepsze jutro. „Doskonale wiem, skąd przyszedłem" – śpiewa Eldo. I rozumieją to jedynie ci, na duszach których zostało odciśnięte piętno polskiej transformacji lat 90. XX w.

„WARSZAWSKA JESIEŃ"

Kaźmierczak od dzieciństwa jest kibicem Legii, na której mecze zabierał go ojciec. Potem zawsze meldował się na Żylecie, utożsamiając się z ryczącym tłumem w szalikach. Doświadczył tam czegoś, co jest udziałem każdego, kto choć raz brał udział w dopingowaniu swojego klubu. Wspominał, że w 1996 r., gdy w meczu z Panathinaikosem Ateny padła bramka, dająca Legii awans, w ciągu kilku sekund ze szczytu Żylety przebiegł na dół, nie wiedząc, w jaki sposób znalazł się na kratach. Gdy władze klubu chciały zlikwidować ten styl dopingu, stanął po stronie kibiców. „W momencie, kiedy ITI przejmowało Legię, powiedziałem na głos przekleństwo. Niestety o tej firmie nie mogę powiedzieć nic dobrego" – mówił w jednym z wywiadów, nie godząc się na ulepienie nowego modelu kibica-klienta, pokornie siedzącego w czasie meczu na krzesełku. Jak mówił, zawsze imponował mu żywiołowy włosko-argentyński sposób dopingowania.

Dziś, w wieku 47 lat, sam jest zawodnikiem i trenerem drużyny rugby AZS AWF Warszawa. Regularnie występuje w meczach, rywalizując na boisku w oficjalnych rozgrywkach, a także amatorsko uprawia kolarstwo. Wierzy, że sport to najlepsza metoda na wychowanie młodego człowieka i sposób na utrzymanie kondycji psychofizycznej.

Eldo jest też organizatorem niezwykle popularnych spacerów po Warszawie. Pokazuje zarówno kryminalny, jak i historyczny kontekst odwiedzanych miejsc. M.in. w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego oprowadzał chętnych po warszawskiej Starówce, a więc tam, gdzie w tym czasie mieszkała jego rodzina. „Kiedy opowiadasz o tym, jak wyglądało wyprowadzanie ludności cywilnej ze Starówki po powstaniu, głos potrafi się złamać" – wyznał w rozmowie z Polskim Radiem.

KONTEKST POLITYCZNY

Po jego występie na prezydenckiej uroczystości natychmiast podniosła się krytyka, w której pobrzmiewała toporna zazdrość o to, że Karol Nawrocki potrafi wykorzystać narodową symbolikę i współczesną popkulturę do budowy własnego wizerunku, nadając w ten sposób prezydenturze nową formę, inną od tego, czego doświadczyliśmy w czasach np. prezydenta Kwaśniewskiego czy Komorowskiego. Rocznicę uświetnił bowiem jeden z pionierów polskiego hip-hopu i jeden z najoryginalniejszych raperów.

„Gdyby kiedyś miała powstać w naszym kraju szkółka dla młodych adeptów hip-hopu, Eldo byłby jej rektorem" – pisała dawno temu „Gazeta Wyborcza". Dziś lewicowo-liberalny establishment jednak się zagotował, kręcąc nosem, że kokietowani przez nich autentyczni bohaterowie scen i blokowisk nie trafili do stajni Owsiaka czy na Campus Polska Przyszłości Trzaskowskiego.

Hip-hopowy portal GlamRap celnie zapytał więc, czy tzw. obóz demokratyczny jest świadomy ryzyka wynikającego ze zbliżenia Eldo z pałacem prezydenckim i czy podejmie próbę „rozbrojenia tematu". „Frontman Grammatika stał się trzecim po Kizo i Pei heavyweightem, który może się przydać w następnej kampanii wyborczej po stronie Karola Nawrockiego. Dużo skromniej wygląda pod tym względem zaplecze raperskie Donalda Tuska i poza Sujbitem trudno znaleźć jeszcze kogoś, kto jest publicznie życzliwy ekipie rządzącej lub próbuje się z nią identyfikować" – napisał. Jedynie Bogdan Zdrojewski, niegdyś minister kultury, trzeźwo przyznał, że nie jest w stanie zaakceptować tego rodzaju krytyki wobec Eldo. „Miał prawo. Żyjemy w wolnym kraju" – skomentował europoseł Koalicji Obywatelskiej. Jak tłumaczył: „Prezydent został wybrany i ma mandat. A artyści mają prawo do wyboru sceny, okoliczności i dat dla swoich aktywności. Szacunek wobec różnorodności kulturowej, to także konieczność uznania praw do własnych poglądów i wyborów, w tym tych artystycznych".

MUDŻAHEDIN DŹWIĘKU

„Jestem mudżahedinem dźwięku" – wyśpiewał gdzieś Eldo. To sceniczny pseudonim, który jest skrótem od przydomku Eldoka, a więc rozwinięcia inicjałów L.K. Od 18. roku życia wyznaje islam.

„Jak to się wam składa?" – szydziła posłanka Koalicji Obywatelskiej Alicja Łepkowska-Gołaś. Znana z niezbyt przemyślanych wypowiedzi prowincjonalna polityk zapomniała dodać, że hip-hop, nawet ten znad Wisły, to w końcu późny wnuk swego czarnego, prawdziwie murzyńskiego



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost
CO ZYSKUJESZ?
Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
eprasa.pl 7f496a23a7

dziadka z Bronxu i Brooklynu, do tego jego wujami byli tamtejsi Żydzi, więc jakim prawem fascynuje się nim prawica? Ale jak wiemy, w liberalnej lewicy tkwią największe pokłady nietolerancji.

Raper sporo czyta i – jak wyznał – kiedyś wpadły mu w ręce „Dzienniki motocyklowe" Che Guevary, a przez moment był członkiem młodzieżówki PPS. Gdy w latach 90. Liga Republikańska zakłócała pierwszomajowe przemarsze lewicy, stał po drugiej stronie. Mówił o tym w wywiadzie dla związanej z Ruchem Narodowym „Polityki Narodowej", więc również nie jest przypadkiem, że po występie na dziedzińcu pałacu prezydenckiego Krzysztof Bosak złożył mu swoisty hołd z powodu inspiracji zawartych w jego tekstach. Eldo od dawna nie ukrywa swej fascynacji nacjonalizmem, pismami politycznymi Dmowskiego, Mosdorfa czy Doboszyńskiego. Wspierał m.in. Marsz Niepodległości. Dlaczego? „Zacząłem zauważać, że to, co było ogromną zdobyczą Polski, a mianowicie jednolitość kulturowa, jest związana z religią, która stanowi olbrzymi fundament tego, czym jest Polska" – przyznał we wspomnianej rozmowie z 2011 r., jako muzułmanin przypominając, że to Kościół i katolicyzm są dla naszej tożsamości jedynym gwarantem przetrwania.

„BURZA METAFOR", CZYLI LEGENDA POLSKIEGO RAPU

Od jakiegoś czasu zapowiada nową płytę, pojawiły się nowe nagrania. Wciąż koncertuje. Dziś Eldo jest wręcz ikoniczną postacią krajowej sceny hip-hopowej. Zaczynał w 1997 r. jako grafficiarz i tancerz, ale potem, wraz z kolejną falą tej obecnej europejskiej wrażliwości muzyki, sam zaczął nagrywać. Wystarczyło tylko chcieć, uruchomić wyobraźnię czy podpatrzeć innych. „To nowy punk rock, nowa anarchia / Nowy sposób, by dać radę z absurdem państwa" – rapował, rozumiejąc pokoleniowe i gatunkowe pokrewieństwo, bo scenę hip-hopową poruszył ten sam impuls, który kilkanaście lat wcześniej niemal każdemu pozwolił grać punk rocka.

O sile Eldo decydował jego autentyzm, szczerość i unikanie epatowania własnym ego, co w tym gatunku jest prostacką drogą na skróty. Był wśród współzałożycieli rewelacyjnej formacji Grammatik z warszawskiego Bemowa, z którą pod koniec lat 90. nagrał płytę „Światła miasta" (2000), produkt – jak twierdził – „naiwnej szczeniackiej wrażliwości". To jedna z najważniejszych płyt w historii polskiego rapu, której premiera zbiegła się z rozpadem grupy. Dzięki temu mógł skupić się wyłącznie na solowej karierze, którą rozpoczynał od płyty „Opowieść o tym, co tu dzieje się naprawdę", potwierdzając dużą umiejętność celnego opisywania życia. Potem przyszedł czas na kolejne albumy, m.in. „Eternię" (2003), „Człowieka, który chciał ukraść alfabet" (2006) czy słynną „Nie pytaj o nią" (2008), która zebrała znakomite recenzje, sprzedając się w liczbie kilkunastu tysięcy egzemplarzy. Następnie ukazały się znakomite „Zapiski z 1001 nocy" (2010), zbiór – jak mówił Eldo – „małych fabuł", który zarazem udowodnił, że narodził się artysta wszechstronny, potrafiący odnaleźć się w każdej stylistyce, oraz potwierdził jego zdolność do celnego puentowania zastanej rzeczywistości.

> Po występie Eldo na prezydenckiej uroczystości natychmiast podniosła się krytyka, w której pobrzmiewała toporna zazdrość o to, że Nawrocki potrafi wykorzystać narodową symbolikę i współczesną popkulturę do budowania własnego wizerunku

Tworzył hip-hop dla wymagających, także pod względem muzycznym, mrugał też okiem do literatury, m.in. Juliana Tuwima czy Charlesa Bukowskiego. „Chciałbym umieć pisać o miłości jak Neruda \ Umieć ciepło opisywać ludzi jak Hrabal" – rapował w „Popołudniu pisarza", zachęcając też swych fanów do sięgania po literackie skarby. Eldo zasłynął bowiem swoim talentem tekściarskim, tworząc nie tylko nośny, lecz także przemyślany tekst. Uprawiając styl zawierający wiele zgrabnych metafor, niezwykle poetycki, wyrósł z czasem na inteligenta sceny hip-hopowej. Często poruszał bowiem ważne tematy społeczne, jednocześnie z ochotą eksperymentując z różnymi gatunkami muzycznymi i wychodząc poza estetykę hip-hopową. Doceniali go więc inni, m.in. twórcy sztuki „Przypadek Klary", wystawianej we wrocławskim Teatrze Polskim, a także Monika Brodka, dla której napisał „Bajeczkę Intro" oraz „Samochody i tramwaje" na jej solową płytę. Ma na koncie współpracę m.in. z Leszkiem Możdżerem, uczestniczył też w projekcie „Broniewski", w którym zinterpretował wiersz „Mury, bruki...".

MANIFESTACJA TOŻSAMOŚCI

Prawicowy czy patriotyczny rap nie jest zjawiskiem nowym, istnieje od wielu lat. Tradycje powstania wielkopolskiego podnosił w swych tekstach Peja, dawno temu przebojowym „Kochana Polsko" zasłynął O.S.T.R. „Tworzę rap, który zdecydowanie nie podąża w parze z poprawnością polityczną" – tak przedstawia się Basti, regularnie publikujący nagrania z tekstami na tematy polityczne („Kaczor Donald") czy opiewającymi narodowych bohaterów („Wyklęci"). Jednym z pierwszych był Zjednoczony Ursynów, związany z Legią Warszawa i kibicowską grupą Turyści 97, ale po 2010 r. pojawiła się już całkiem spora grupa tego rodzaju wykonawców. To pochodzący z Radomia KęKę („Myślę o tym") czy seria udanych płyt inspirowanych tematyką polityczno-historyczną wydanych przez Tadka Polkowskiego. Charakterystyczne jest, że hip-hop ujawnił na polskim gruncie swą jaśniejszą stronę. Potrafił rozwinąć samoświadomość twórców i słuchaczy, stając się nośnikiem ważnych idei. Uznawany przez elity za patologiczną formę popkultury, stał się manifestacją grupowej tożsamości.

eprasa.pl 7f496a23a7

Palenie książek 4.0

Amerykańskie firmy technologiczne masowo skupują książki, by trenować na nich modele sztucznej inteligencji. Po zeskanowaniu książki trafiają na przemiał. Zniszczono już miliony egzemplarzy





ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W antykwariacie Pietera de Vriesa w historycznym centrum Haarlemu w północno-zachodniej Holandii czas jakby stanął w miejscu. Na półkach piętrzą się książki i mapy, niektóre z XVI i XVII w. Holender specjalizuje się w tych ostatnich. Może się również pochwalić rzadkimi zbiorami, np. książką o historii Rzymu, wydaną w 1558 r., książkami podróżniczymi z XVII, XVIII i XIX w., cennymi pierwszymi wydaniami, a także atrakcyjnymi publikacjami przyrodniczymi.

Dotąd de Vries – jak przyznał w rozmowie z brytyjskim dziennikiem „The Daily Telegraph" – sprzedawał średnio jedną książkę dziennie. Dlatego był zdziwiony,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7f496a23a7

gdy w połowie czerwca otrzymał drogą e-mailową zamówienie na ok. 3 tys. pozycji. Nadawczyni przedstawiła się jako Nataly z firmy o nazwie 2077AI z siedzibą w Singapurze. „Biorę udział w nowym projekcie, którego celem jest zebranie w jednym miejscu książek w wielu językach" – napisała. De Vries nie otworzył załącznika, bo uznał, że to „jakieś oszustwo". Mylił się. Podobne e-maile otrzymały bowiem setki handlarzy książek na świecie. Stoją za nimi amerykańskie firmy technologiczne z Doliny Krzemowej. Masowo kupują w antykwariatach stare książki i poradniki, by trenować na nich modele sztucznej inteligencji. Książki są kupowane całymi paletami. Następnie ich grzbiety są odcinane, by tytuły można było skanować z prędkością 80–120 stron na minutę, a oryginały są mielone.

SKANOWANIE DESTRUKCYJNE

Według dziennika „The Washington Post" na początku 2024 r. kierownictwo start-upu Anthropic, zajmującego się sztuczną inteligencją, zintensyfikowało ambitny projekt, który starało się utrzymać w tajemnicy. „Projekt Panama to nasza próba destrukcyjnego skanowania wszystkich książek na świecie" – głosił wewnętrzny dokument firmy ujawniony w styczniu br. w aktach sądowych. Anthropic miał wydać dziesiątki milionów dolarów na zakup i odcięcie grzbietów milionów książek, a następnie zeskanowanie ich stron, aby przekazać zawartą w nich wiedzę modelom sztucznej inteligencji, takim jak popularny chatbot Claude.

> Według brytyjskich mediów destrukcyjne skanowanie książek to „kulturowe barbarzyństwo". Michael Burry, amerykański inwestor, menedżer funduszu hedgingowego i sceptyk sztucznej inteligencji, oznajmił wręcz, że to „wcielone zło"

Szczegóły Projektu Panama pojawiły się na ponad 4 tys. stron dokumentów w pozwie o naruszenie praw autorskich, wniesionym przeciwko Anthropic. Wartość pozwu oszacowano na 183 mld dol. Firma zgodziła się zapłacić 1,5 mld dol. w ramach ugody przyjętej przez sąd pod koniec lipca, bez przyznawania się do winy.

Decyzją sędziego okręgowego w San Francisco wiele dokumentów z procesu zostało jednak opublikowanych. Pokazują one, jak daleko firmy technologiczne, takie jak Anthropic, Meta, Google i OpenAI, są gotowe się posunąć, aby uzyskać kolosalne ilości danych, na których mogłyby „trenować" swoje modele językowe. „Jeden ze współzałożycieli Anthropic wysunął teorię, że trenowanie modeli AI na książkach mogłoby nauczyć je, »jak dobrze pisać«, zamiast naśladować »niskiej jakości internetowy bełkot«" – czytamy w „The Washington Post". W wewnętrznym komunikacie spółki Meta opisano dostęp do cyfrowego zbioru książek jako „niezbędny" do konkurowania w dziedzinie sztucznej inteligencji.

Giganci big tech nie mieli jednak ochoty, by zdobywać zgodę autorów czy wydawców, a tym bardziej nie mieli zamiaru płacić za wykorzystane treści. Znaleźli więc sposób na nabycie książek bez ich wiedzy. Nie tylko w antykwariatach i księgarniach, lecz także ściągając z sieci pirackie kopie. Tę praktykę szybko zarzucono ze względu na wysokie ryzyko. „Skanowanie destrukcyjne" papierowych książek jawiło się jako o wiele bezpieczniejsze. Sąd zresztą uznał, że jest to zgodne z prawem autorskim Stanów Zjednoczonych, ponieważ stanowi „wykorzystanie transformacyjne".

BEZ JĘZYKOWEJ BREI

Amerykańska doktryna fair use zezwala na trenowanie modeli sztucznej inteligencji na chronionych dziełach, ale zabrania ich powielania. Celowa destrukcja papierowego egzemplarza po skanowaniu stanowi więc dla technologicznych gigantów dowód, że zmienił się jedynie nośnik tekstu, co pozwala im uniknąć płacenia licencji za tworzenie kopii. Google, Microsoft i OpenAI, twórca ChataGPT, również muszą stawić czoło pozwom o naruszenie praw autorskich, które trafiły już do sądów, ale wciąż nie są rozstrzygnięte. Tymczasem nabywają kolejne książki i niszczą je.

Według Anthropic chatboty uczą się pisać tak samo, jak uczyłby się człowiek. Dlatego potrzebują tekstów dobrej jakości. A to oznacza, że muszą to być zbiory językowe wydane przed 2022 r., bo te najnowsze zawierają już wyraźny wpływ sztucznej inteligencji, tzw. AI slop – językową breję, która destrukcyjnie działa na modele AI.

Firmy zajmujące się sztuczną inteligencją dotarły do czegoś, co nazywają „ścianą danych": w miarę jak sieć zalewana jest „śmieciami" generowanymi przez sztuczną inteligencję, twórcom modeli zaczyna brakować świeżych danych, stworzonych przez ludzi. Anthropic potrzebował takich danych, i to bardzo wysokiej jakości. Okazuje się, że książki pozostają jednym z najlepszych źródeł złożonych, obszernych tekstów. Jak wynika z orzeczenia sądu w San Francisco, Anthropic miał nadzieję, że „dobrze dobrane fakty, uporządkowane analizy i wciągające narracje fikcyjne" w książkach pomogą „Claude'owi pisać równie precyzyjnie i przekonująco jak autorzy".

Jak pisze „The Guardian", w jednym z australijskich antykwariatów kanadyjska firma Zoom Books, która pośredniczy w zakupie książek dla firm z Silicon Valley, zamówiła m.in. podręcznik mechaniki gruntów z lat 70. XX w., a także książkę z 2010 r. o cyklizmie w Nowej Zelandii, zbiór wczesnej poezji australijskiej (1982) oraz historię lokalnej dzielnicy

eprasa.pl 7f496a23a7

Melbourne Hawthorn. Tomik poezji kosztował 9 dol. i leżał na półce od 20 lat. Był to ostatni dostępny egzemplarz. Został zapewne przemielony i zniknął na zawsze. Big techy polują także na poradniki, podręczniki medyczne i publikacje naukowe, wydane od okresu przedwojennego do lat 80. XX w.

KULTUROWE BARBARZYŃSTWO

Przedstawiciele Anthropic zapewniali na łamach „The Guardian", że ich przedsiębiorstwo „nie kupuje i nie niszczy rzadkich ani antykwarycznych książek w ramach programów pozyskiwania danych". Tyle że według portalu 404 Media, który przeprowadził śledztwo w tej sprawie, jeden z pośredników, pod nazwą ISBNdb, mający działać w imieniu Anthropic, chwalił się nabyciem nawet miliona książek naraz, w tym rzadkich pozycji, a także tzw. białych kruków. „Najlepsze dane znajdują się na książkowych półkach. Nasze są wolne od »zanieczyszczeń« tekstem generowanym przez sztuczną inteligencję i tego, co jest znane jako »zatruwanie danych«" – pisała firma na swojej stronie internetowej. To ostatnie jest metodą, której używają twórcy do sabotowania modeli, od pułapek semantycznych po cyfrowy kamuflaż i ukryte podpowiedzi.

Według brytyjskich mediów destrukcyjne skanowanie książek to „kulturowe barbarzyństwo". Michael Burry, amerykański inwestor, menedżer funduszu hedgingowego i sceptyk sztucznej inteligencji, oznajmił wręcz, że to „wcielone zło". Nawet Elon Musk zabrał głos, pisząc na X, że poprosił inżynierów szkolących modele xAI, aby „zachowali wszystkie rzadkie książki w bibliotekach i zeskanowali je w »ten trudny sposób«", czyli ten niedestrukcyjny. „Washington Monthly" pisał zaś o „paleniu przeszłości, by stworzyć przyszłość". „Trudno oprzeć się wrażeniu, że Anthropic, który nie jest jeszcze notowany na giełdzie, ale którego wartość szacuje się na blisko 1 bln dol., podobnie jak inni giganci sztucznej inteligencji nie przywiązuje zbytniej wagi do wartości ludzkiej pracy twórczej" – czytamy na łamach magazynu. Ani do spuścizny kulturowej zawartej w niszczonych książkach.

Dokumenty sądowe z procesu o prawa autorskie przeciwko Anthropic pokazały zresztą, że start-up niezmiennie stawiał szybkość ponad inne względy, w tym ochronę unikalnych i rzadkich tekstów. Najbardziej uderzające jest przy tym to, że skoro giganci big tech twierdzą, że nie robią nic złego i tylko niszczą książki, które – jak podkreślił portal „The Atlantic" – są nie tyle rzadkie, ile wyszły z obiegu lub są tak niszowe, że większości z nich nikt by nie przeczytał, robią z tego taką tajemnicę. Anthropic uczynił wiele, by Projekt Panama pozostał tajny. Powodem są nie tylko prawa autorskie, lecz także lęk przed reakcją opinii publicznej, która z przerażeniem patrzy na rozpędzoną i bezduszną machinę AI, pochłaniającą wszystko na swojej drodze – książki, dzieła sztuki, prywatność czy środowisko. Drapieżne, kanibalistyczne pożeranie kultury w celu wykarmienia technologii, która ma zastąpić człowieka. „Firma zajmująca się sztuczną inteligencją zniszczyła 2 mln książek" – to nagłówek, który nie budzi sympatii.

MIZANTROPIA BIG TECHÓW

„Widzimy przyszłość, w której inteligencja będzie narzędziem, a ludzie będą ją od nas kupować" – powiedział Sam Altman, dyrektor generalny OpenAI. A dyrektor ds. technologii w OpenAI Mira Murati zadeklarowała w jednym z wywiadów, że miejsca pracy w branży kreatywnej zniszczone przez produkty jej firmy „być może w ogóle nie powinny istnieć". Zapewne podobnie jak książki zmielone dla chatbotów.

„Niestety prawo autorskie nie rozróżnia między sfatygowaną książką o Harrym Potterze w miękkiej oprawie, jedną z milionów egzemplarzy, a jednym z zaledwie pięciu zachowanych egzemplarzy mało znanego dzieła antykwarycznego. Prawo autorskie nie interesuje się oryginałami i fizycznymi artefaktami" – podkreślił James Grimmelmann, profesor prawa cyfrowego i informacyjnego na Uniwersytecie Cornella. Niezależnie od tego, czy książka została wydrukowana w milionach egzemplarzy, czy w nakładzie pięciu egzemplarzy, „traktuje je wszystkie jako kopie".

„Jest coś szczególnie mizantropicznego w zmechanizowanym niszczeniu tak intymnych, ludzkich przedmiotów" – napisał Matan Grinberg, dyrektor generalny Factory.ai, firmy zajmującej się sztuczną inteligencją. „Historia rzadko patrzy łaskawie na tych, którzy niszczą książki, niezależnie od powodów" – dodał.

REKLAMA



18/0726/F

eprasa.pl 7f496a23a7

Wojna, na którą nie jesteśmy gotowi

Dziś NATO nie jest przygotowane do pojedynku rakietowego z Rosją. Pakt musiałby wykorzystać lotnictwo załogowe, co jest ryzykowne. Na dodatek trwa „przegląd" amerykańskich sił w Europie



plut. Aleksander PERZ



MAREK BUDZISZ

Jak informowały media, na początku lipca amerykański wywiad miał ostrzec prezydenta Karola Nawrockiego, że Rosjanie mogą zaatakować Polskę. Nie chodziło w tym wypadku o wielką wojnę, ale uderzenia na infrastrukturę krytyczną za pomocą dronów i systemów rakietowych, próbę sparaliżowania państwa w efekcie cyberataków i być może niewielką agresję na lądzie. W takim scenariuszu ataków chodziło o „przetestowanie" NATO, sprawdzenie, czy art. 5 będzie działał.

W sierpniu dziennik „The Wall Street Journal" przestrzegł, że redakcja otrzymała przecieki z kręgów amerykańskiego wywiadu, iż atak tego rodzaju może mieć miejsce już jesienią br., a nie w bliżej nieokreślonej przyszłości. W raporcie, z którym zapoznali się dziennikarze, amerykański wywiad zmienił swe dotychczasowe oceny. Wcześniej, przewidując narastające napięcie i rosyjskie prowokacje, służby specjalne były zdania, że Kreml nie zdecyduje się na eskalację tak długo, jak długo Rosja jest uwikłana w wojnę na Ukrainie. Teraz ten pogląd zrewidowano i uznano, że sytuacja może się pogorszyć już tej jesieni.

Ta zmiana nastrojów i ocen ma oczywisty związek z rozpoczętą przez Stany Zjednoczone pod koniec lipca procedurą oceny własnego zaangażowania wojskowego w Europie. Jak napisał w sieciach społecznościowych Elbridge Colby, podsekretarz obrony USA uchodzący za głównego stratega obecnej administracji, ta decyzja „ma na celu zapewnienie, że NATO będzie szybko i nieodwracalnie zmierzać w kierunku przejęcia przez Europę głównej odpowiedzialności za swoją konwencjonalną obronę". Eksperci oczekują, iż w wyniku podjętych dzia-

eprasa.pl 7f496a23a7

łań Amerykanie zaczną wycofywać wojsko ze Starego Kontynentu, a Europejczycy, nieskłonni do szybkiego działania, nie będą w stanie wypełnić pogłębiającej się luki w zdolnościach. W rezultacie powstanie próżnia bezpieczeństwa, którą będą chcieli wykorzystać Rosjanie. Należałoby raczej napisać – wykorzystują Rosjanie, bo w ostatnich kilkunastu dniach obserwujemy narastanie ich wrogich operacji wymierzonych w państwa NATO.

SERIA WROGICH DZIAŁAŃ

W Bułgarii, niedaleko od stacji przepompowującej gaz ziemny transportowany do Europy gazociągiem Błękitny Potok, wybuchł uzbrojony rosyjski dron. Do podobnej eksplozji omal nie doszło na lotnisku w Lipsku, głównej – obok naszej Jasionki – bazy logistycznej służącej do przerzutu amunicji, w tym pocisków rakietowych na Ukrainę. W Rumunii lotnictwo przez trzy dni z rzędu niszczyło uzbrojone rosyjskie drony, jeden z nich eksplodował w Mołdawii.

Z kolei w Polsce wybuchła rosyjska rakieta manewrująca. Zdaniem specjalistów krater, który powstał w wyniku tej eksplozji, jest dowodem na to, że rakieta Kh-101, która spadła w Tarnawie-Kolonii, nie znalazła się tam przypadkowo i Rosjanie nie stracili nad nią kontroli. Gdyby tak się stało, to lecący na niskich wysokościach pocisk manewrujący spadłby „lotem ślizgowym", a on wykonał manewr umożliwiający mu uderzenie w ziemię niemal pod kątem 90 st. O żadnym przypadku nie może być zatem mowy. Mieliśmy do czynienia zarówno z operacją, która miała sprawdzić skuteczność naszej obrony przeciwlotniczej (słabo nam poszło) oraz stanowić czytelny sygnał strategiczny, który Kreml wysyła Warszawie i szerzej – NATO, a z pewnością europejskiej części Paktu.

Przesłanie jest proste: Amerykanie was nie obronią, a my jesteśmy w stanie niedługo rozpocząć wojnę o ograniczonej skali, na którą Pakt Północnoatlantycki nie ma odpowiedzi. W tym przypadku nie chodzi o wielki konflikt lądowy, do którego od lat się przygotowujemy, dyslokując siły na wschodnią granicę i budując Tarczę Wschód, ale zupełnie inną wojnę, prowadzoną z dystansu, przy użyciu środków napadu powietrznego. Chodzi o konflikt, który dziś możemy obserwować na Ukrainie.

„W ciągu ostatnich kilku miesięcy Rosjanie atakują nas większą liczbą rakiet tygodniowo, niż otrzymujemy od naszych sojuszników systemów zdolnych do ich przechwytywania w ciągu miesiąca" – powiedział w wywiadzie Mychajło Fedorow, były ukraiński minister obrony. Te informacje potwierdzają oficjalne doniesienia ukraińskiego wywiadu, w świetle których Rosja w lipcu br. wystrzeliła w cele na Ukrainie 195 rakiet balistycznych. 40 z nich zboczyło z kursu, ale ponad 150 trafiło, powodując dramatyczne zniszczenia i szybko rosnącą liczbę ofiar wśród ludności cywilnej.

To ostatnie jest częścią rosyjskiego planu, bo Moskale przerabiają wychodzące z eksploatacji rakiety do przeciwlotniczych systemów S-300 i S-400, które mają mniejszą zdolność do przebijania umocnionych konstrukcji w postaci choćby bunkrów, mogą za to razić cele o większej powierzchni. W tym przypadku chodzi o skokowy wzrost liczby ofiar – również wśród ludności cywilnej – po to, by przerazić opinię publiczną, podważyć morale, wywołać panikę i skłonić rządzących do ustępstw.

Strona ukraińska nie ma czym zwalczać rosyjskich rakiet balistycznych, bo, jak powiedział prezydent Wołodymyr Zełenski, dostawy pocisków przechwytujących do systemów Patriot spadły trzykrotnie. Europa już ich nie ma, podobny niedobór odczuwają też Amerykanie po ataku na Iran, co w połączeniu z narastającymi zdolnościami Rosji prowadzi do asymetrii, niebezpiecznej dla odstraszania i obrony.

Niemcy, którzy w kwietniu zbudowali „koalicję chętnych" (uczestniczyła w niej również Polska) i doprowadzili do przekazania Ukrainie rakiet przechwytujących do systemów Patriot, nie mają już rezerw. „Naprawdę osiągamy tu granice swoich możliwości" – powiedział gen. bryg. Jürgen Schrödl krótko po szczycie NATO w Ankarze, dodając: „Musimy również zadbać o własną ochronę". Polska, która przekazała Kijowowi 5 rakiet PAC-3 i obecnie ma ich najprawdopodobniej 203, jest w podobnej sytuacji co Niemcy.

NIE MA SIĘ CZYM BRONIĆ

Gdyby Rosjanie atakowali nasze kraje z podobną intensywnością co Ukrainę, to rakiet do systemów Patriot wystarczyłoby nam na mniej niż miesiąc, a to oznacza, że nasza zdolność do obrony własnej przestrzeni – niezależnie od tego, co mówią politycy – jest w tym przypadku dość problematyczna, a nawet iluzoryczna. Polska zamówiła co prawda kolejne 660 rakiet tego typu oraz (za 1 mld dol.) pociski PAC-2 GEM-T, służące do zwalczania mniej wymagających środków napadu przeciwnika, ale na realizację tych dostaw przyjdzie nam poczekać co najmniej kilka lat, tym bardziej że nawet nie podpisaliśmy wiążących kontraktów.

Amerykańskie zasoby systemów rakietowych szybko topnieją, co jest jednym z rezultatów wojny z Iranem – alarmują media i donoszą eksperci think tanku CSIS, skrupulatnie liczący stan zapasów. Mark Cancian, szef programu rakietowego w CSIS, napisał na początku sierpnia, że według najnowszych obliczeń „Stany Zjednoczone zużyły około połowę początkowego zapasu na trzy z tych pocisków [Patriot, THAAD i PrSM – przyp. red.] oraz około jedną trzecią początkowego zapasu na pozostałe [JASSM, SM-2/3/6 i Tomahawk – przyp. red.]". Co to oznacza w przypadku Patriotów? O ile stan początkowy amerykańskich arsenałów był szacowany przez CSIS na 2,3 tys. rakiet przechwytujących, o tyle obecnie wynosi – według szacunków opartych na otwartych źródłach informacji – maksymalnie 1,1 tys., choć według innych wyliczeń może to być 700–800 pocisków.

Na użytek naszych rozważań trzeba też ocenić, czy to dużo. Według dostępnych danych obecnie w Stanach Zjednoczonych znajduje się 8 batalionów systemów Patriot dysponujących 33 bateriami, a poza granicami Amerykanie dysponują 7 batalionami z 27 bateriami. Łącznie USA posiadają 60 baterii, każda z nich ma 2 jednostki

eprasa.pl 7f496a23a7

ogniowe po 4 wyrzutnie. Amerykanie są zatem w stanie jednorazowo wystrzelić z systemów Patriot salwy 480 rakiet, mogą więc załadować dwa razy. Trudno się zatem dziwić, że poziom zasobów arsenałowych jest oceniany przez analityków jako „krytycznie niski".

Na dodatek w wyniku wojny z Iranem swoje zasoby zużyli amerykańscy sojusznicy, tacy jak Arabia Saudyjska. W ukraińskich mediach można znaleźć opinie wojskowych, którzy obserwowali, jak Arabowie zwalczają rakiety Iranu (według szacunków przed wybuchem wojny Teheran miał ich 3 tys.) i z przerażeniem stwierdzili, że aby strącić jeden cel, operatorzy Patriotów w Arabii Saudyjskiej potrzebowali nie dwóch pocisków – co stanowi zakładaną „normę zużycia" – ale czterech, a nawet pięciu. W rezultacie Rijad, a także Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn, a nawet Jordania wystrzeliły swoje rakiety i teraz wywierają presję na Amerykanów, by zaczęli im dostarczać nowe.

Waszyngton również musi zwiększyć swoje bezpieczeństwo w regionie, bo Irańczycy zniszczyli już 42 amerykańskie samoloty – jak ujawnił na łamach „The Wall Street Journal" Seth Jones, analityk CSIS – uderzyli we wszystkie systemy radarowe i rozpoznawcze oraz zaatakowali wszystkie bazy, w tym tak istotne, jak centrum dowodzenia w Bahrajnie. Według doniesień Agencji Reutera państwa Zatoki Perskiej miały już wystąpić do Waszyngtonu z wnioskami o sprzedaż nawet 5,2 tys. rakiet przechwytujących do systemów Patriot.

Problemem jest to, że w ub.r. produkujący te systemy koncern Lockheed Martin wytworzył 650 rakiet, a ambitne plany przewidują wzrost zdolności do 2 tys. sztuk rocznie, ale dopiero w 2030 r. Trzeba po prostu zbudować nowe fabryki i uruchomić linie produkcyjne, a umowy z podwykonawcami głównych podzespołów zostały podpisane kilka tygodni temu. Aby wyprodukować jedną rakietę do systemów Patriot – co trwa 24 miesiące – współpracuje ze sobą 15 tys. podostawców, a kluczowa jest produkcja podzespołów w 15 fabrykach.

Boeing, który dostarcza głowice naprowadzające (w tym roku ma ich zbudować 850), buduje nową fabrykę, podobnie jak koncern Northrop Grumman, który będzie dostarczał systemy napędowe czy L3 Harris, ale jesteśmy dopiero na początku tej drogi, a pierwsze rezultaty podjętych działań i wydanych pieniędzy – Amerykanie przeznaczyli na to ponad 60 mld dol. – zobaczymy najwcześniej za pięć lat.

> Gdyby Rosjanie atakowali kraje Paktu z podobną intensywnością co Ukrainę, to rakiet do systemów Patriot wystarczyłoby nam na mniej niż miesiąc

Porozumienia licencyjne też niewiele pomogą, bo Japończycy, którzy podpisali taką umowę z Amerykanami, budują rocznie 30 rakiet do Patriotów, a na dodatek ich ustawodawstwo zabrania eksportu do państw trzecich, Niemcy zaś, którzy budują fabrykę, będą produkować rocznie 250 rakiet. W efekcie Amerykanie już poinformowali Szwajcarię, która podpisała umowę i ma zgodę administracji, że „nastąpią opóźnienia" w dostawach. Z podobną zwłoką liczą się władze Tajwanu. W konsekwencji Donald Trump – mimo jednoznacznych deklaracji na temat udzielenia licencji Ukrainie, które sformułował w trakcie szczytu NATO w Ankarze – teraz wycofuje się z tych obietnic, mówiąc, że Patrioty są potrzebne przede wszystkim siłom zbrojnym Stanów Zjednoczonych.

Innymi słowy, w dającej się przewidzieć przyszłości europejskie państwa NATO nie będą miały czym zwalczać rosyjskich środków napadu powietrznego, jeśli na Kremlu zapadną decyzje o większej skali albo częstotliwości uderzeń.

TEST DLA SOJUSZU

Patrioty to niejedyna możliwość obrony. Można też „atakować łucznika", jak w żargonie wojskowym określa się strategię obrony polegającą na niszczeniu rosyjskich wyrzutni, atakowaniu logistyki, zakładów produkcyjnych i atakowaniu centrów dowodzenia. W przypadku Ukrainy zaproponował to – na łamach „The Washington Post" – Mark Montgomery, emerytowany kontradmirał amerykańskiej marynarki wojennej. Jego zdaniem Waszyngton wyraził już zgodę na sprzedaż Kijowowi 3350 rakiet klasy ERAM, które mają zasięg 480 km. Aby zrealizować ten scenariusz, trzeba jednak użyć lotnictwa załogowego, co oznacza ryzyko strat własnych, bo obrona Rosjan jest dobrze rozwinięta, oraz udostępnić atakującym samolotom „dane targetingowe", umożliwiające namierzanie i atakowanie przemieszczających się wyrzutni przeciwnika. Oznacza to jednak akceptację scenariusza eskalacji i ryzyka wybuchu pełnoskalowej wojny.

Właśnie to – jak się uważa – Rosjanie mogą chcieć sprawdzić. Chodzi o to, czy w odpowiedzi na ich bolesne, ale ograniczone uderzenia z powietrza (rakiety i drony) sojusznicy z NATO, w tym Amerykanie, użyją całego swego potencjału lotniczego, czy może raczej zdecydują się na słabsze zaangażowanie, bojąc się strat i eskalacji. Na tym może polegać sprawdzenie, czy art. 5 działa. Jeśli jedno z państw członkowskich znajdzie się pod ogniem – choć do agresji sił lądowych przeciwnika może w ogóle nie dojść – a sojusznicy zdecydują się na odpowiedź o ograniczonej skali i sile, NATO nie zda rosyjskiego egzaminu.

Dziś Pakt nie jest przygotowany do pojedynku rakietowego z Rosją. Musiałby wykorzystać lotnictwo załogowe, co jest ryzykowne, a na dodatek trwa „przegląd" amerykańskich sił. Ten moment „przejścia" od znanego starego modelu odstraszania do nieokreślonego jeszcze i nie wiadomo jak skutecznego nowego systemu stanowi okazję, którą Kreml może chcieć wykorzystać.

eprasa.pl 7f496a23a7



Siła ubezpieczeń wzajemnych.

500 największych firm zebrało 1,55 bln dol. składki

Gdy myślimy o największych ubezpieczycielach świata, zwykle przychodzą nam do głowy wielkie grupy kapitałowe. Tymczasem bardzo silną pozycję zajmują również ubezpieczyciele wzajemni i spółdzielczy, czyli organizacje, których punktem odniesienia są ich członkowie. Najnowszy ranking ICMIF pokazuje skalę tego rynku. 500 największych organizacji zebrało w 2024 r. ponad 1,55 bln dol. składki i rozwijało się nieco szybciej niż cały światowy rynek ubezpieczeniowy

Dane pochodzą z raportu Global 500 2026, przygotowanego przez Międzynarodową Federację Ubezpieczycieli Wzajemnych i Spółdzielczych (ICMIF). W 2024 r. wartość składki 500 największych organizacji wzrosła o 7,2 proc., podczas gdy cały światowy rynek ubezpieczeniowy urósł o 7,0 proc. Różnica nie jest duża, ale pokazuje, że największe organizacje wzajemne dotrzymują kroku światowemu rynkowi, a nawet nieznacznie go wyprzedzają.

Jeszcze więcej mówi sama skala działalności. 10 największych ubezpieczycieli z zestawienia zebrało łącznie ok. 441 mld dol. składki, a pierwsza setka odpowiadała za 62 proc. wyniku całej pięćsetki. Lider rankingu, amerykański State Farm, osiągnął ok. 115,7 mld dol.

Za tymi liczbami kryje się jednak coś ciekawszego niż kolejny ranking największych firm. Global 500 obejmuje ponad 15 form organizacyjnych zaliczanych przez ICMIF do sektora wzajemnego i spółdzielczego. W najprostszym ujęciu różnica wobec klasycznej spółki kapitałowej dotyczy własności. W organizacjach wzajemnych kluczową rolę odgrywają członkowie, często będący jednocześnie ubezpieczonymi. Ranking obejmuje również grupy kontrolowane przez organizacje wzajemne. Dlatego ten model własności może stać za markami, których przeciętny klient wcale z nim nie kojarzy.

Widać to także w Polsce. W samym Global 500 znalazły się dwa polskie towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych: TUW PZUW – na 316. miejscu oraz TUW „TUW" – na 422. miejscu. Nie jest to jednak pełny obraz obecności tego modelu na naszym rynku. W zestawieniu ujęto również zagraniczne grupy działające w Polsce poprzez lokalne spółki. Vienna Insurance Group, zajmująca 28. miejsce, jest obecna na naszym rynku m.in. poprzez Compensę, InterRisk i Vienna Life. Talanx, sklasyfikowany na 13. miejscu ze względu na większościową własność HDI V.a.G., jest właścicielem Warty oraz spółek grupy Europa.

To ważne rozróżnienie, bo o skali ubezpieczeń wzajemnych nie świadczy wyłącznie liczba firm mających w nazwie skrót TUW. W przypadku dużych międzynarodowych grup ich struktura właścicielska może być praktycznie niewidoczna dla klienta. Patrząc tylko na nazwy działających w Polsce towarzystw, łatwo nie dostrzec szerszej obecności tego modelu.



„Wyniki największych ubezpieczycieli wzajemnych pokazują, że ten sposób prowadzenia działalności pozostaje konkurencyjny również w czasach dużej niepewności. Szczególnie istotne jest to, że nie mówimy o pojedynczym sukcesie czy lokalnym zjawisku, ale o organizacjach działających na największych światowych rynkach. Ich wyniki potwierdzają znaczenie długoterminowego podejścia, odpowiedzialności i zaufania, które od zawsze są fundamentem ubezpieczeń wzajemnych" – mówi ***Grzegorz Buczkowski, wiceprezes Zarządu SALTUS Ubezpieczenia oraz przewodniczący Rady Dyrektorów AMICE***.

Global 500 nie dowodzi, że sama forma własności gwarantuje szybszy wzrost. Pokazuje jednak, że organizacje wywodzące się z modelu wzajemnego działają dziś na skalę liczoną w bilionach dolarów i z powodzeniem konkurują na największych rynkach świata.

Raport pokazuje również, że model ten jest znacznie bliżej polskiego rynku, niż może się wydawać. Wśród grup ujętych w zestawieniu są właściciele marek dobrze znanych polskim klientom, takich jak Warta, Compensa czy InterRisk. Ubezpieczenia wzajemne nie są zatem wyłącznie pojęciem branżowym ani modelem obecnym gdzieś daleko od polskiego klienta. To część współczesnego rynku ubezpieczeniowego, z którym wielu z nas ma do czynienia na co dzień, nawet jeśli nie widzimy tego w nazwie firmy.

SALTUS UBEZPIECZENIA

Artykuł sponsorowany | 01/0126/F/ZAL

eprasa.pl 7f496a23a7



Żadnych imigrantów!

Tę decyzje trzeba podjąć teraz, a nie za 5 czy 10 lat. Wtedy będzie za późno. Dziś trzeba rozstrzygnąć, jakich przybyszy, w jakiej liczbie, na jakich warunkach Polska będzie przyjmować, a nawet czy w ogóle to robić



DARIUSZ MATUSZAK

Moim zdaniem należy wprowadzić moratorium na imigrację z Azji i Afryki. Żadnych ludzi stamtąd, a wyjątki powinny być bardzo nieliczne, np. dotyczące starannie weryfikowanych małżeństw. Na pozostałe kierunki, także z Białorusi i Ukrainy, powinny być wyznaczone kwoty: tylu i tylu imigrantów rocznie, najlepiej bardzo niewielu, i ani jednego więcej. Co do zasady państwo polskie nie powinno prowadzić żadnej polityki sprowadzania cudzoziemców. Regułą powinno być zamknięcie. Taki mamy klimat, który w swej głupocie i zepsuciu zmajstrowała nam Unia Europejska.

ROJENIA O INTEGRACJI

Należy rozstać się z mitem, a właściwie rojeniem, o kontrolowanej masowej imigracji. Coś takiego – podobnie jak pokojowa wojna – nie istnieje. Dzisiaj jesteśmy w sytuacji, której kraje Zachodu były dekady temu. Wtedy się zdawało, że sprowadzanie imigrantów – tak naprawdę chodziło o tanich pracowników, mięso robocze, a nie żadne ubogacenie i pomoc – przynosi pożytek gospodarce. Na chwilę tak. Wielkie firmy, np. francuski gigant budowlany Bouygues czy niemiecki Daimler, w praktyce importowały ręce do kładzenia glazury, wylewania szalunku i skręcania samochodów na taśmie. Chwilowa koniunktura się skończyła, a Zachód został z milionami przybyszy z innych cywilizacji, z ich potomkami i wszystkimi problemami, które doskonale znamy.

Nie będzie żadnej kontrolowanej, mądrej imigracji, asymilacji i integracji, tak jak się roi choćby szefowi Klubu Jagiellońskiego Pawłowi Musiałkowi, który chciałby zwiększyć liczbę imigrantów w Polsce do 10 proc., bo śni mu się PKB wyższe o kilka procent. Maligna oświeconych znawców. Wszystko już się wydarzyło i zostało opisane. Francuskim elitom też się zdawało, że z Algierii przyjadą sfrancuziali, wykwalifikowani mieszkańcy dużych miast. Tymczasem sprowadzono to, co tanie i masowe – fellahów, biedne chłopstwo z pustynnych wiosek, a do Niemiec chłopów z Anatolii, a nie „białych Turków" z Istambułu i znad Morza Egejskiego.

Potem jaśniepaństwu z instytutów, mediów i uniwersytetów roiło się, że ta biedota się zintegruje, bo przecież nawet zna język. Oczywiście Senegalczycy, Algierczycy czy Kongijczycy świetnie znają francuski. I co z tego? Nie stali się od tego Francuzami, podobnie jak nie są nimi u siebie w domu. Ci wszyscy ludzie nawet żon szukają u siebie, w wioskach Sahelu i Kurdystanu, bo przecież nie będą sobie brać tych zepsutych, roszczeniowych

Autopromocja

Fot. Abdel Majid BZIOUAT/AFP/East News

eprasa.pl 7f496a23a7

francuskich dam i niemieckich Frau. Oni pragną mieć w domu spokój po ciężkiej pracy. Kogoś, kto ich doceni, o nich zadba, a nie kapryśną paniusię, która sobie ubzdurała, że jest francuską czy niemiecką Hausfrau. To opisane zjawisko socjologiczne. A potem zamknęli się w swoich światach, bo widząc rozpad rodzin na Zachodzie, wyuzdanie, zepsucie, uznali, że nie chcą, by ich córki stawały się pucharem przechodnim i w wieku 15 lat były już po pierwszej aborcji, a synowie tęczowymi chłoptasiami. Niby z czym mieli się integrować? Co takiego dzisiejsza Europa Zachodnia jest w stanie zaoferować poza jakimś zasiłkiem i pieniędzmi do zdobycia? Jakie wyzwania kulturowe, jakie aspiracje cywilizacyjne? Wszystko jest zbrukane. Zostały jakieś orgie na ruinach dawnej świetności – to nawet nie jest przenośnia. Nawet wojsko nie jest integratorem, o czym przekonują się Belgowie. Kiedy urządzili gry wojenne, wyszło im, że będzie wojna domowa. I nie ma pewności, po czyjej stronie stanie armia – owszem, oficerami są Belgowie, ale żołnierze to przybysze z Maghrebu i Konga.

Francuzi już w latach 70. XX w. zorientowali się, że narobili sobie wielkich problemów, więc zaproponowali każdemu imigrantowi 10 tys. franków za powrót do swojego kraju. To była wówczas poważna kwota. Z oferty skorzystała najlepsza kadra robotników – Hiszpanie i Portugalczycy. Arabowie zostali, a Francja już nigdy nie zdołała powstrzymać imigracji i islamizacji.

Imigracją nie rozwiązano również żadnych problemów demograficznych. Jeszcze Michel Debre, główny architekt Konstytucji V Republiki Francuskiej, premier za czasów de Gaulle'a, śnił o wielkiej Francji ze 100 mln mieszkańców. Ale z tego, że we Francji zjawiło się kilka milionów Arabów, nie wynika, że przybyło kilka milionów Francuzów. Podobnie w Polsce – to, że ściągniemy 3 mln imigrantów, nie oznacza, że będzie o 3 mln Polaków więcej. Nie chcemy tu roztrząsać problemów demograficznych, ale imigracja wydaje się jednym z lichszych moralnie i intelektualnie pomysłów na ich rozwiązanie. W istocie chodzi bowiem o zastąpienie jednej populacji inną – importowaną. I to z powodu nędznej motywacji – ze strachu ludzi młodego i średniego pokolenia o to, kto ich będzie doglądał, gdy będą starzy oraz kto będzie pracował i opłacał składki, by wystarczyło na emerytury.

Ten problem pokazuje też, że dyskusjom o imigracji towarzyszy skrajna obłuda. Dlaczego nikt nie mówi o ściągnięciu do Polski rodaków z Wielkiej Brytanii, Irlandii czy Skandynawii? Bo nie zależy na tym wielkim korporacjom, które lobbują nie za ludźmi, tylko za mięsem roboczym. Bo Polak po powrocie z Irlandii nie będzie kierowcą Ubera, robotnikiem na budowie STRABAGA, w magazynach Amazona. Jasne, gdy zabraknie imigrantów, to budowy staną, nie będzie komu robić na zmywaku i dostarczać jedzenie. Cóż, a może eksperci i jaśniepaństwo się tym zajmą?

IMIGRACJA SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Oto przez świat przetacza się wielka debata na temat zmian społecznych i gospodarczych, jakie niesie ze sobą sztuczna inteligencja. Elon Musk od lat powtarza, że AI i roboty zastąpią praktycznie wszystkie prace. Dario Amodei, szef firmy Anthropic, ostrzega, że sztuczna inteligencja może wyeliminować 50 proc. stanowisk białych kołnierzyków – m.in. w finansach, księgowości, prawie, doradztwie technicznym, inżynierii – i w ciągu pięciu lat podnieść bezrobocie w USA nawet o 20 proc. Przebranżowienie się będzie niemożliwe, bo AI zadziała jednocześnie w wielu branżach. Geoffrey Hinton, który uchodzi za ojca chrzestnego AI, uważa, że dojdzie do większej rewolucji społecznej i gospodarczej niż przy narodzinach epoki przemysłowej.

Amerykański bank Goldman Sachs szacuje z kolei, że w krótkim czasie na świecie zniknie 300 mln miejsc pracy. Załóżmy, że sprawdzi się tylko część prognoz i zniknie nie 300, a 100 mln, nie 50 proc. stanowisk białych kołnierzyków, a 30. Ci, którzy dziś opowiadają w Polsce, że potrzeba imigrantów, bo nie będzie komu pracować na budowach, wydają się żyć w innym świecie, do którego AI nie dotrze. Na granicy zostanie zatrzymana sztuczna inteligencja, a wpuści się imigrantów do roboty. To, że znikną stanowiska w biurach, a nie na budowach czy w firmach dostawczych, oznacza tylko tyle, że księgowi, analitycy i konsultanci będą konkurowali o robotę przy kładzeniu rur lub w firmach, które rozwożą pudełka z posiłkami. Każdy autonomiczny samochód będzie oznaczał, że potrzeba jednego kierowcę mniej.

DRZWI SZEROKO ZAMKNIĘTE

Możemy mieć nadzieję, że robotyzacja nie będzie postępować tak szybko jak AI i pewnie nie będziemy chcieli, by roboty nas strzygły, zajmowały się dziećmi, więc konsultant w salonie piękności, przy polerowaniu paznokci i w przedszkolu ma szanse. Ale niezależnie od tego, jakie scenariusze snujemy, projektując politykę imigracyjną, nie można abstrahować od tego, co dzieje się w świecie AI. Można wierzyć, że Musk, człowiek, który śle rakiety w kosmos, po prostu się myli, a jakiś ekspert od tego i owego z jakiejś tam katedry studiów nad imigracją w jakimś tam instytucie ma rację, więc sprowadzimy milion Bengalów, bo inaczej PKB będzie rosło wolniej o 1 proc.

Czy jesteśmy zatem mądrzejsi i wszystko z imigrantami zrobimy lepiej niż Hiszpanie, Francuzi, Brytyjczycy czy Holendrzy? A może zwyczajnie głupi i skoro robimy to, co oni, również my zafundujemy sobie te same katastrofy? Wiedząc to, co zrobił Zachód, znając efekt, musimy sobie odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: jaki wzrost bezrobocia, jaki wzrost przestępczości, poczucia zagrożenia, jaki poziom problemów społecznych w szkołach, miejscach pracy, na ulicach miast, jaki poziom obciążeń finansowych zaryzykujemy, by mieć trochę więcej ludzi do roboty, by miał kto kłaść glazurę, wozić nas w uberach, dostarczać jedzenie na skuterkach, by owo PKB przez kilka lat urosło o procenciki. W otoczeniu, w jakim się znajdujemy, wobec tego wszystkiego, co wyprawia Unia Europejska, powinniśmy się zamknąć na cztery spusty i mieć gdzieś opinie o ksenofobii i czym tam jeszcze.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl 7f496a23a7



Politycy, agenci, mafiosi i zamachowcy

Ranking 10 hoteli, w których doszło do ważnych wydarzeń w historii XX w.



GRZEGORZ GÓRNY

Miejscami chętnie odwiedzanymi przez turystów w czasie wakacji są nie tylko muzea, plaże czy restauracje. Dla wielu urlopowiczów niezbędne są także hotele – obiekty, na które zazwyczaj nie zwracamy większej uwagi.

A szkoda, bo w niektórych rozgrywały się akcje popularnych filmów, np. w InterContinentalu Paris Le Grand kręcono takie produkcje jak „Frantic", „Ronin", „Tożsamość Bourne'a" czy kilka części z serii przygód Jamesa Bonda. Polski widz, który zatrzyma się w Grand Hotelu w Łodzi, może z kolei przypomnieć sobie sceny z takich obrazów jak „Ucieczka z kina Wolność", „Kroll", „Kariera Nikosia Dyzmy" czy „Zimna wojna".

Hotele mogą być nie tylko miejscami, w których się nocuje czy filmowymi wnętrzami, lecz także neutralnymi strefami dla dyplomacji, przestrzenią spisków, zamachów i negocjacji oraz zapleczem nieformalnej polityki.

Oto subiektywny ranking 10 hoteli świata, w których miały miejsce ważne wydarzenia w XX w. Zaglądając do nich – niekoniecznie wynajmując pokój, lecz nawet zamawiając kawę w hotelowym lobby – możemy poczuć powiew historii.

1. *Bazar 1918 – powstanie wielkopolskie*

Hotel Bazar w Poznaniu, wybudowany w latach 1838–1842, został zaprojektowany nie tylko jako miejsce noclegowe, lecz przede wszystkim także jako centralny ośrodek różnych patriotycznych inicjatyw Polaków w Wielkopolsce pod zaborem pruskim. Znajdowały się tam siedziby instytucji, takich jak Centralne Towarzystwo Gospodarskie, Bank Włościański, Towarzystwo Naukowej Pomocy dla Młodzieży, Towarzystwo Wykładów Ludowych czy Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. W budynku powstawały tytuły prasowe, np. „Dziennik Poznański" czy „Kurier Poznański", układano również listy wyborcze polskich kandydatów do Sejmu Pruskiego i Parlamentu Rzeszy. Hipolit Cegielski utrzymywał tam swój sklep firmowy.

Fot. NAC, Michiel1972/CC BY-SA 4.0, Shutterstock

eprasa.pl 7f496a23a7

Najważniejszym wydarzeniem w dziejach obiektu z pewnością było przemówienie, które Ignacy Jan Paderewski wygłosił z okna hotelowego 26 grudnia 1918 r. Stało się ono sygnałem do wybuchu powstania wielkopolskiego.

2. FAIRMONT 1945
– utworzenie ONZ



Hotel Fairmont na wzgórzu Nob Hill w San Francisco został wybudowany w latach 1903–1906. Do czasów wielkiego kryzysu stanowił centrum życia towarzyskiego miasta. Potem nieco podupadł, ale odrodził się dzięki wydarzeniom z 1945 r. To właśnie tam przez trzy miesiące (od 25 kwietnia do 26 czerwca) mieszkali prezydenci, premierzy i dyplomaci z całego świata, którzy przybyli na Konferencję Narodów Zjednoczonych. Hotel stał się głównym centrum logistycznym całego wydarzenia. W jego wnętrzach, a przede wszystkim w luksusowym Garden Room, toczyły się negocjacje, które doprowadziły do utworzenia ONZ.

Później obiekt został zakupiony przez biznesmena Benjamina Swiga, który uczynił z niego ważne miejsce dla odwiedzających Kalifornię celebrytów, sportowców, a nawet prezydentów USA. Słynna stała się zwłaszcza Sala Wenecka, czyli prestiżowy klub kolacyjny, w którym występowały m.in. gwiazdy, takie jak Ella Fitzgerald, Nathan King Cole czy Marlena Dietrich.

3. NACIONAL DE CUBA 1946
– zjazd bossów mafii

Hotel Nacional de Cuba w Hawanie wzniesiono w latach 1928–1930 z inicjatywy rządu kubańskiego jako najbardziej luksusową budowlę w państwie, mającą przyciągać zwłaszcza wielkie osobistości ze Stanów Zjednoczonych. Cel został osiągnięty.



Wśród hotelowych gości znalazły się postaci, takie jak Buster Keaton, Ernest Hemingway, Walt Disney czy Rita Hayworth.

Najbardziej znanym wydarzeniem z udziałem przybyszów z USA była jednak tzw. konferencja hawańska, czyli zjazd bossów rodzin mafijnych. Do hotelu przybyło wówczas ponad 500 gangsterów z całych Stanów Zjednoczonych. Obrady rozpoczęły się 22 grudnia 1946 r., a przewodzili im szefowie klanów włoskich (m.in. Lucky Luciano, Frank Costello i Vito Genovese) oraz żydowskich (Meyer Lansky i Abner Zwillman). Uczestnicy konferencji dokonali podziału stref wpływów, ustalili zasady wzajemnego postępowania oraz podjęli decyzję o zastrzeleniu Bugsy'ego Siegela z mafii żydowskiej. Zjazd uświetnił koncert Franka Sinatry.

4. BILDERBERG 1954
– tajna konferencja światowej elity



Hotel Bilderberg w Oosterbeek niedaleko Arnhem w Holandii został otwarty w 1926 r. w budynku pochodzącym z 1918 r., który wcześniej był prywatnym dworem bankiera Joannesa Pietera van Tienhovena. Później gmach został znacznie powiększony, by móc przyjmować większą liczbę gości. Hotel zyskał międzynarodową sławę, ponieważ 29–31 maja 1954 r. odbyła się w nim zorganizowana z inicjatywy Józefa Retingera tajna konferencja, w której uczestniczyło ponad 80 wpływowych osób ze świata polityki, dyplomacji, biznesu, finansów, mediów i nauki z Europy Zachodniej i Ameryki Północnej. Wybór leżącego na uboczu kameralnego miejsca, otoczonego rozległymi lasami, nie był przypadkowy, gdyż gwarantował uczestnikom dyskrecję.

Od tamtego czasu odbyło się ponad 70 sekretnych spotkań, w których wzięło udział wiele prominentnych postaci ze wszystkich kontynentów. Kolejne konferencje miały miejsce m.in. we Francji, Niemczech, Danii, Włoszech czy USA. W samym Hotelu Bilderberg doszło tylko do jednego konwentyklu, mimo to właśnie od tego miejsca wzięła nazwę wpływowa grupa, którą wówczas utworzono.

5. WALDORF ASTORIA 1960
– spotkanie Ben Guriona z Adenauerem

Hotel Waldorf Astoria, otwarty w 1931 r. przy Park Avenue w Nowym Jorku, przez dekady był najbardziej prestiżowym hotelem świata. Zatrzymywali się w nim papieże, królowie, prezydenci USA oraz przywódcy państw, przybywający na sesje Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

W marcu 1960 r. na 35. piętrze budynku doszło do utrzymanej w najgłębszej tajemnicy rozmowy między kanclerzem

pl 7f496a23a7



RFN Konradem Adenauerem a premierem Izraela Davidem Ben Gurionem. Było to pierwsze osobiste spotkanie przywódców obu krajów, które w tamtym czasie nie utrzymywały wzajemnych stosunków dyplomatycznych. Rozmowa trwała około dwóch godzin. Niemcy zobowiązały się do wieloletniej pomocy gospodarczej, finansowej i wojskowej dla Izraela (według nieoficjalnych źródeł dzięki temu udało się sfinansować program budowy bomby atomowej dla państwa żydowskiego), a Tel Awiw porzucił politykę międzynarodowego ostracyzmu wobec Niemiec (odpowiedzialnością za Holokaust coraz częściej zaczęto obarczać nie Niemców, lecz nazistów).

6. RICE 1960
– *houstońska mowa Johna F. Kennedy'ego*



Hotel Rice w Houston otwarto w 1913 r. na miejscu dawnego Hotelu Capitol, w którym mieścił się niegdyś rząd Republiki Teksasu. Przez dziesięciolecia był to jeden z najbardziej reprezentacyjnych budynków w tym południowym stanie. 12 września 1960 r. John F. Kennedy, ówczesny senator i kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta, wygłosił tam słynne przemówienie do ok. 300 najbardziej wpływowych pastorów protestanckich w USA. W tamtym czasie Waszyngton i Watykan nie utrzymywały wzajemnych stosunków dyplomatycznych, a protestancka większość podejrzewała amerykańskich katolików o brak lojalności wobec własnej ojczyzny. Z tego powodu żaden wyznawca „religii papistowskiej" nie mógł zostać prezydentem USA. Kennedy, który był katolikiem, postanowił przekonać do siebie protestanckich liderów.

Przemawiając, zapewnił, iż żaden papież nie będzie wpływał na decyzje prezydenta USA, a żaden duchowny nie powinien dyktować polityki państwa. Dzięki temu wystąpieniu polityk zyskał poparcie wielu protestantów. Później w wyborach prezydenckich pokonał Richarda Nixona różnicą zaledwie 113 tys. głosów (czyli 0,17 proc.). Gdyby nie przemowa w Houston, wynik mógłby być inny.

7. CLIVEDEN HOUSE 1961
– *afera Profumo*



Hotel Cliveden House w hrabstwie Buckinghamshire (ok. 40 km na zachód od Londynu) promuje się dziś m.in. dzięki związanej z nim aferze Profumo. Mieści się on w pałacu, który powstał w 1851 r. według planów Charlesa Barry'ego – architekta, który zaprojektował m.in. Pałac Westminsterski. Była to rezydencja, w której przez dekady spotykała się brytyjska elita.

8 lipca 1961 r., podczas przyjęcia wydanego przez celebrytę Stephena Warda, ówczesny minister wojny John Profumo poznał 19-letnią modelkę Christinę Keeler (zobaczył ją, jak pływała nago w basenie). Nawiązali romans. Pech chciał, że atrakcyjna „showgirl" dzieliła łoże z agentem KGB Jewgienijem Iwanowem. Gdy sprawa wyszła na jaw, wybuchł skandal. Przyczynił się on do dymisji najpierw samego Profumo, potem premiera Harolda Macmillana, a w końcu do porażki Partii Konserwatywnej w wyborach w 1964 r.

Główną ofiarą afery padł Stephen Ward, który został oskarżony o czerpanie korzyści z prostytucji i nakłanianie kobiet do nierządu. W ostatnim dniu procesu zażył śmiertelną dawkę środków nasennych i zmarł przed ogłoszeniem wyroku.

Fot. NAC, Kenneth C. Zirkel/CC BY 4.0, Shutterstock

eprasa.pl 7f496a23a7

8. MOTEL LORRAINE 1968
– zabójstwo Martina Luthera Kinga



Motel Lorraine w Memphis powstał w czasach segregacji rasowej jako Hotel Marquette, przeznaczony wyłącznie dla białych gości. Po II wojnie światowej kupił go czarnoskóry przedsiębiorca Walter Bailey, który w 1945 r. zmienił jego nazwę i przekształcił w prestiżowy obiekt noclegowy dla Afroamerykanów. Wśród jego gości byli m.in. muzycy, tacy jak Louis Armstrong, Nat King Cole czy Aretha Franklin.

W 1968 r. zatrzymał się tam Martin Luther King, przywódca murzyńskiej społeczności w USA i laureat Pokojowej Nagrody Nobla. 4 kwietnia o godz. 18.01 wyszedł na balkon, by porozmawiać z muzykiem Benem Branchem. Wtedy z budynku po drugiej stronie ulicy padł śmiertelny strzał, który oddał zamachowiec James Earl Ray.

Dziś w budynku motelu funkcjonuje Narodowe Muzeum Praw Obywatelskich. Pokój 306, w którym zatrzymał się Martin Luther King, zachowano bez zmian – wygląda tak jak feralnego dnia. Zwiedzający mogą zobaczyć przez szybę niepościelone łóżko, walizki, filiżanki po kawie, rozłożone gazety oraz osobiste przedmioty zamordowanego bohatera Ameryki.

9. WATERGATE 1972
– dymisja prezydenta Nixona



Watergate to więcej niż luksusowy hotel. To wybudowany w latach 1963–1971 nad brzegiem Potomaku w Waszyngtonie kompleks, w którym mieszczą się również apartamentowce, budynki biurowe i pasaż handlowy.

W nocy z 17 na 18 czerwca 1972 r. pięciu włamywaczy dostało się do siedziby Partii Demokratycznej, znajdującej się w części biurowej kompleksu, by zainstalować tam podsłuch. Byli to funkcjonariusze CIA, którzy zatrzymali się w hotelu w ramach tajnej misji na rzecz urzędującego prezydenta Richarda Nixona, by wspomóc go w kampanii wyborczej. Sprawcy zostali przyłapani na gorącym uczynku przez policję. Ich rola została ujawniona dopiero po wyborach prezydenckich, które w listopadzie 1972 r. zdecydowanie wygrał Nixon.

Dwóch reporterów „Washington Post", Bob Woodward i Carl Bernstein, na podstawie wiadomości przekazywanych im przez anonimowego informatora o pseudonimie „Deep Throat" (w 2005 r. ujawniono, że był nim wicedyrektor FBI Mark Felt) opisało powiązania włamywaczy ze sztabem wyborczym prezydenta oraz istnienie tajnego funduszu finansującego operacje polityczne. Okazało się, że Nixon wiedział o włamaniu i uczestniczył w tuszowaniu afery oraz utrudnianiu śledztwa. Gdy sprawa wyszła na jaw, Nixon 9 sierpnia 1974 r. jako jedyny prezydent USA dobrowolnie ustąpił ze stanowiska. Do dziś Hotel Watergate wykorzystuje tamto wydarzenie do promocji swojej marki, eksponując materiały archiwalne z 1972 r.

10. GRAND BRIGHTON 1984
– zamach na Margaret Thatcher



Hotel Grand Brighton w nadmorskim Brighton (ok. 80 km na południe od Londynu) to symbol epoki wiktoriańskiej. Otwarty w 1864 r. w popularnej uzdrowiskowej miejscowości był przeznaczony głównie dla arystokracji i zamożnych gości. Od lat 60. XX w. organizowano w nim doroczne konferencje Partii Konserwatywnej.

Jedna z nich miała wyjątkowy przebieg za sprawą bojownika IRA Patricka Magee, który we wrześniu 1984 r. zameldował się w hotelu jako turysta i ukrył w łazience pokoju 629 bombę z długoterminowym zapalnikiem. Zamachowiec zdetonował ładunek 12 października o godz. 2.54 w nocy, gdy trwała przerwa w obradach konferencji. Eksplozja zniszczyła kilka pięter gmachu, zabijając 5 osób i raniąc 34. Premier Margaret Thatcher, która była głównym celem ataku, wyszła z zamachu bez obrażeń, choć zniszczona została łazienka obok jej apartamentu.

Następnego dnia Żelazna Dama odmówiła odstąpienia od programu, oświadczając: „Konferencja będzie kontynuowana". W odpowiedzi IRA wydała komunikat, w którym napisała: „Dzisiaj nie mieliśmy szczęścia. Pamiętajcie jednak: my musimy mieć szczęście tylko raz. Wy musicie mieć je zawsze".

eprasa.pl 7f496a23a7



Konie z Janowa.

Piękno zaklęte w arabskiej krwi



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Są smukłe, piękne i dumne. W ich sylwetkach spotykają się pustynne korzenie arabskiej rasy i setki lat polskiej tradycji hodowlanej. W Janowie Podlaskim od ponad dwóch stuleci kolejne pokolenia hodowców pracują nad tym, by piękno, wytrzymałość i szlachetność zapisane w arabskiej krwi przetrwały i były przekazywane dalej. Ale bez koni nie byłoby też polskiej tradycji rycerskiej

Wojny napoleońskie przyniosły gwałtowny spadek liczby koni na ziemiach polskich. Zwierzęta te były cenne zarówno dla armii, jak i gospodarki Imperium Rosyjskiego, dlatego władze carskie postanowiły przeciwdziałać kryzysowi. Na wniosek Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego oraz na mocy dekretu cesarza Aleksandra I w 1817 r. w Wygodzie pod Janowem powstała państwowa stadnina koni. O jej lokalizacji zdecydowało m.in. to, że istniał tam duży folwark oraz dawna stadnina poaustriacka.

Była to pierwsza państwowa stadnina tego typu na ziemiach polskich, a z czasem stała się jednym z najważniejszych w Europie ośrodków hodowli koni szlachetnych.

WOJNY NIE ZNISZCZYŁY TRADYCJI

Historia janowskiej stadniny od początku była naznaczona wielkimi wydarzeniami i dramatami. I wojna światowa niemal całkowicie zniszczyła jej dorobek. W 1915 r. konie ewakuowano w głąb Rosji, gdzie większość z nich przepadła w czasie rewolucji. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości grupa polskich hipologów i hodowców podjęła się odbudowy stadniny niemal od podstaw. W 1919 r. do zniszczonych stajni sprowadzono konie czystej krwi arabskiej. W kolejnych latach Janów zaczął odzyskiwać znaczenie, wzbudzając zainteresowanie również zagranicznych hodowców. Od 1924 r. stadnina zaczęła specjalizować się w hodowli koni czystej krwi arabskiej.

Koń arabski od wieków fascynuje ludzi smukłą sylwetką, dużymi oczami, charakterystycznym profilem i elegancją ruchu. Za niezwykłą urodą kryją się także wytrzymałość, odporność i inteligencja. Przez stulecia cechy te były kształtowane w trudnych warunkach pustyni. W Polsce arab znalazł wyjątkowe miejsce, a jego hodowla stała się sztuką wymagającą wiedzy, cierpliwości i konsekwencji.

Każde źrebię ma tu nie tylko własny rodowód, lecz także miejsce w historii kolejnych pokoleń. Hodowca musi rozważnie oceniać budowę, ruch, temperament, zdrowie i wartość hodowlaną, a następnie świadomie dobierać kolejne pary. Właśnie dlatego w świecie arabów rodowód ma ogromne znaczenie.

Okres rozkwitu przerwał wybuch II wojny światowej. Janowska stadnina została ograbiona zarówno przez Niemców, jak i Sowietów. We wrześniu 1939 r. część stada przejęła Armia Czerwona, a w ostatnich miesiącach wojny kolejne konie ewakuowano na zachód. W 1944 r. część janowskich ogierów trafiła do Łącka, inne zostały wywiezione do Saksonii. Część z nich padła podczas alianckich nalotów na Drezno.

Mimo wojennej katastrofy udało się ocalić najcenniejsze linie hodowlane. Po wojnie konie stopniowo wracały do kraju, a Janów ponownie zaczął odbudowywać swoją pozycję. Proces ten trwał długo, ale pod koniec lat 50. rozpoczął się kolejny okres rozkwitu stadniny. Dużą rolę odegrał w nim Andrzej Krzyształowicz, związany z Janowem od czasów wojny i późniejszy wieloletni dyrektor stadniny. To za jego kierownictwa w 1969 r. odbyła się pierwsza aukcja koni arabskich, która dała początek późniejszej, słynnej na świecie aukcji Pride of Poland.

Od tego czasu Janów ponownie zaczął przyciągać uwagę hodowców i miłośników koni arabskich z całego świata. Kolejne sukcesy pokazowe i hodowlane umacniały jego renomę, a polskie konie trafiały do stadnin w wielu krajach. Dziś historyczny zespół stadniny jest nie tylko miejscem pracy hodowców, lecz także świadectwem polskiej kultury

eprasa.pl 7f496a23a7



hodowlanej. Zabytkowe stajnie, rozległe pastwiska, aleje i charakterystyczny krajobraz Wygody tworzą przestrzeń, która budzi podziw i szacunek.

POLSKI ARAB RUSZA W ŚWIAT

Janów Podlaski to marka rozpoznawalna daleko poza granicami Polski. Jej najbardziej znanym symbolem jest aukcja, która od dziesięcioleci przyciąga hodowców, kolekcjonerów i miłośników koni arabskich z całego świata. Pierwsza edycja odbyła się w 1970 r., a od 2001 r. funkcjonuje pod nazwą Pride of Poland. Sukces polskich arabów za granicą ma jednak znacznie dłuższą historię. Już przed II wojną światową polskie konie trafiały do zagranicznych hodowców. W 1937 r. do Stanów Zjednoczonych sprzedano sześć klaczy, w tym cztery z Janowa Podlaskiego. Zainteresowanie amerykańskich hodowców szybko rosło, a polskie konie zaczęły zyskiwać renomę na światowym rynku. Późniejsze dekady przyniosły spektakularne wyniki aukcyjne. W 1981 r. janowski ogier El Paso został sprzedany za 1 mln dol., ustanawiając jeden z pamiętnych rekordów w historii polskiej hodowli. W 2008 r. klacz Kwestura ze stadniny w Michałowie za sprawą nabywcy z Bliskiego Wschodu osiągnęła cenę 1,125 mln euro. Siedem lat później rekord Pride of Poland ponownie został pobity. W 2015 r. janowska klacz Pepita została sprzedana za 1,4 mln euro.

Pride of Poland poprzedza Narodowy Pokaz Koni Arabskich Czystej Krwi, którego historia sięga 1979 r. To właśnie podczas tego wydarzenia najlepsze konie polskiej hodowli walczą o tytuły czempionów. Międzynarodowe jury ocenia m.in. typ arabski, głowę i szyję, budowę ciała, nogi oraz ruch. Najlepsze konie stają się wizytówką polskiej hodowli. To niezwykłe widowisko pozwala hodowcom porównywać zwierzęta, analizować ich mocne i słabsze strony oraz podejmować decyzje dotyczące przyszłości hodowli. Dopiero po pokazie przychodzi czas na aukcyjne emocje. To wtedy najlepsze konie trafiają przed licytujących z różnych stron świata.

ROZPOZNAWALNA MARKA

Z tej wieloletniej pracy narodziła się marka Pure Polish, czyli polski koń arabski. W świecie hodowców to określenie zaczęło oznaczać nie tylko polskie pochodzenie konia, lecz także określony typ, jakość i wielopokoleniową selekcję. Właśnie to jest największą wartością Janowa. Każde pokolenie hodowców otrzymuje dorobek poprzedników i ma za zadanie przekazać go dalej, w możliwie najlepszej formie.

Każdego roku w sierpniu Janów na kilka dni staje się jednym z najważniejszych miejsc na światowej mapie hodowli koni arabskich. Tegoroczne Dni Konia Arabskiego odbyły się w Janowie Podlaskim 7–11 sierpnia. W programie znalazły się 48. Narodowy Pokaz Koni Arabskich Czystej Krwi oraz 57. aukcja Pride of Poland. W br. wystawiono 16 koni: 15 klaczy i ogiera, pochodzących ze stadnin w Janowie Podlaskim, Michałowie i Białce. Wszystkie zostały sprzedane. Nabyli je kupcy z Belgii, Iraku, Czech, Kataru, Arabii Saudyjskiej, Francji, Łotwy, Szwecji, a także z Polski. Najwyższą cenę, 160 tys. euro, osiągnęła klacz Pila.

RYCERSKA TRADYCJA

Dlaczego koń zajmuje szczególne miejsce w polskiej kulturze? Trudno znaleźć zwierzę, które przez wieki byłoby tak blisko człowieka i tak mocno wpisało się w historię Polski. Hodowla koni ma na naszych ziemiach długą tradycję. Według przekazów już Bolesław Krzywousty posiadał liczne stada, a o rozwój książęcych i królewskich stadnin dbali kolejni władcy. Słynne były hodowle Kazimierza Wielkiego i Kazimierza Jagiellończyka, a Zygmunt I Stary utrzymywał stada m.in. na terenach przemyskiego, chełmskiego i hrubieszowskiego. Z kolei Zygmunt August posiadał podobno ok. 3 tys. wierzchowców. Koń był postrzegany nie tylko jako zwierzę użytkowe, lecz także oznaka zamożności, prestiżu i siły.

W polskiej pamięci najmocniej zapisał się jednak jako towarzysz żołnierza. Niósł rycerzy na pola bitew, uczestniczył w szarżach, towarzyszył ułanom, legionistom i powstańcom. W 1410 r. pod Grunwaldem to właśnie dzięki jeździe Władysław Jagiełło odniósł sukces w jednej z największych bitew średniowiecznej Europy. Kilka stuleci później polska kawaleria osiągnęła poziom, który do dziś budzi podziw. Husaria przez dziesięciolecia stanowiła skuteczną formację bojową, budzącą postrach na Starym Kontynencie. Zwyciężała pod Kircholmem w 1605 r. i Kłuszynem w 1610 r., walczyła z Turkami pod Chocimiem w 1621 i 1673 r., a w 1651 r. odegrała kluczową rolę pod Beresteczkiem, rozbijając przeważające siły kozacko-tatarskie. Jej szarża pod Wiedniem z 1683 r. trwale zapisała się w historii polskiego i światowego oręża.

Za widowiskowością kawaleryjskiego ataku kryła się ciężka praca. Sukces zależał nie tylko od uzbrojenia i wyszkolenia

Fot. Centralne Archiwum Wojskowe, Muzeum Narodowe w Krakowie

eprasa.pl 7f496a23a7





żołnierza, lecz także od konia. Zwierzę musiało być wytrzymałe, odpowiednio zbudowane, odporne na wysiłek i przygotowane do specyfiki jazdy oraz walki. Już wtedy doskonale zdawano sobie sprawę, że wartość armii konnej zaczyna się w stajni. Odpowiednia hodowla, dobór zwierząt i dbałość o ich kondycję miały ogromne znaczenie dla wyniku bitwy.

Koń był jednak obecny nie tylko na polu walki. Przez stulecia służył jako środek transportu i pomoc w codziennej pracy, zarówno w królewskich i magnackich stajniach, jak i drobnych gospodarstwach chłopskich oraz ziemiańskich. Towarzyszył człowiekowi w podróży, pracy i życiu gospodarczym. Jego obecność znalazła odbicie w polskim malarstwie, literaturze i tradycji. W polskiej wyobraźni koń jest symbolem siły, odwagi, wolności i niezależności.

O jego znaczeniu w dawnych społecznościach świadczą także odkrycia archeologiczne. Pochówki koni lub ich fragmentów razem z ludźmi pokazują, że już w czasach piastowskich te zwierzęta były traktowane jak członkowie rodziny.

PRZEŁOMOWY XX w.

Jeszcze w początkach XX w. koń pozostawał jednym z najważniejszych elementów mobilności polskiego wojska. Podczas wojny polsko-bolszewickiej kawaleria wykonywała zadania rozpoznawcze, osłonowe i manewrowe, a jej szybkość miała ogromne znaczenie w wojnie opartej na przemieszczaniu się dużych oddziałów. II Rzeczpospolita do dziś kojarzy się z ułanami i kawalerią. Umiejętność jazdy konnej należała do ważnych elementów wyszkolenia wojskowego, a koń był częścią etosu oficera. Szczególne miejsce w zbiorowej pamięci zajmuje Kasztanka, ukochana klacz marsz. Józefa Piłsudskiego. Towarzyszyła mu w czasach Legionów Polskich, a fotografie przyszłego Naczelnika Państwa na jej grzbiecie stały się jednym z najbardziej rozpoznawalnych obrazów walki o niepodległość. Z czasem Kasztanka stała się częścią narodowej legendy. Jej śmierć w 1927 r. wywołała ogromne emocje, a Piłsudski bardzo przeżył utratę zwierzęcia.

Rok 1939 symbolicznie zamknął pewną epokę. Polska kawaleria nadal była ważną częścią armii, w kampanii wrześniowej walczyła zarówno konno, jak i po zejściu z siodeł. Nie mogła jednak konkurować z szybko rozwijającą się techniką wojskową: czołgami, samochodami pancernymi, lotnictwem i bronią maszynową. Warto przy tym pamiętać, że obraz polskich ułanów szarżujących z szablami na niemieckie czołgi jest mitem. Kawaleria wykorzystywała konie przede wszystkim do szybkiego przemieszczania się i zwiadu, a w walce z nowoczesnym przeciwnikiem działała jako regularna piechota.

DZIEDZICTWO

Choć praktyczna rola konia w codziennym życiu człowieka wyraźnie się zmieniła, jego miejsce w naszej kulturze pozostało. Szczególnie wyraźnie widać to w Polsce, gdzie przez stulecia koń był nie tylko towarzyszem pracy i wojny, lecz także symbolem siły, wolności i pamięci narodowej. Koń arabski wniósł do tej tradycji jeszcze jeden wymiar: niemal doskonałe piękno, elegancję i szlachetność, które stały się znakiem rozpoznawczym polskiej hodowli. Przypominają o tym Janów Podlaski i organizowane tu Dni Konia Arabskiego. Na kilka dni uwaga hodowców, miłośników koni i publiczności z całego świata skupia się na dziedzictwie, które od stuleci rozwija się w naszym kraju.

W 2017 r. zespół Janów Podlaski – stadnina koni został uznany przez prezydenta RP za pomnik historii właśnie dlatego, że jego znaczenie wykracza poza hodowlę. Ochroną objęto nie tylko zabytkową architekturę, lecz także wyjątkowy układ krajobrazowy Wygody i materialne oraz niematerialne dziedzictwo najstarszej w Polsce stadniny państwowej, w której do dziś kontynuowane są tradycje hodowli koni szlachetnych ras.

Fot. NAC, Wojciech Olkusnik/East News

eprasa.pl 7f496a23a7



Piękne trafienia

Od kilku miesięcy – i kolejnych premier, podczas których coraz mocniej przykuwa uwagę – Anne Hathaway udowadnia, że to jej rok. Jako filmowej gwiazdy i kobiety. Teraz, olśniewająca w trzeciej ciąży, promuje „Koniec ulicy Dębowej”

Fot. Lev Radin/Shutterstock.com

eprasa.pl 7f496a23a7



Kadr z filmu „Koniec ulicy Dębowej”



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W plebiscycie magazynu „People” zdobyła tytuł najpiękniejszej aktorki świata 2026 r. Jak wyliczyli znawcy tematu, wystąpiła w tegorocznych kinowych hitach, które (tylko do grudnia) przyniosą ponad 2 mld dol. przychodu. Warto również podkreślić, że są to filmy bardzo różne gatunkowo.

W PIĘCIU ODSŁONACH

Poza megaprodukcjami wyczekiwanymi od lat – filmami „Diabeł ubiera się u Prady 2” oraz „Odyseja” – aktorka pojawiła się na ekranie również jako tytułowa, kultowa gwiazda popu „Mother Mary”.

We wchodzącym właśnie do kin filmie „Koniec ulicy Dębowej” zaprezentuje się w świecie akcji i grozy z elementami science fiction. Zagrała tu żonę i matkę (dwójki dzieci), która wraz z najbliższymi i całym podmiejskim osiedlem zostaje przeniesiona w przedpotopowe realia, w których musi stoczyć walkę o przetrwanie.

Z kolei na pierwszy weekend października zapowiadany jest thriller „Verity. Coraz większy mrok”, w którym znów zobaczymy ją w roli tytułowej – tym razem znanej pisarki doświadczającej objawów obsesji i manipulacji.

JESTEM SZCZĘŚCIARĄ

Nim jednak Hathaway odsłoni tajemnice swojej bohaterki-autorki, odpocznie po kolejnej w tym roku trasie promocyjnej. Podczas światowej prezentacji „Końca ulicy Dębowej” przyciągała uwagę zjawiskowym wyglądem oraz mocno zaawansowaną ciążą, odważnie eksponowaną przez strój. To, że po raz trzeci zostanie mamą, udawało jej się ukrywać bardzo długo – stąd dodatkowy efekt „wow” podczas lipcowej premiery „Odysei”. Najwięcej entuzjastycznych komentarzy dotyczyło jej spektakularnych kreacji, nawiązujących zarówno do charakteru postaci (wiernej żony Odyseusza, Penelopy), jak i eksponujących macierzyństwo.

Aktorka nie ukrywa, że pojawienie się trzeciego dziecka (rodzeństwa dla 10-letniego Jonathana i 7-letniego Jacka), choć przyjęte z otwartymi ramionami, nie do końca było zaplanowane. W programie „Late Night with Seth Meyers” przyznała nawet, że byli z mężem (przedsiębiorcą Adamem Shulmanem) w szoku, a potem nazwali „maleństwo” swoim „buzzer-beaterem” (z ang. strzał w ostatniej sekundzie).

Jednocześnie Hathaway podkreśla, że oczekuje kolejnego dziecka z dużą pokorą, bo jej droga do macierzyństwa nie zawsze była prosta. Kilka lat temu wspomniała o zmaganiu się z niepłodnością i stracie pierwszej ciąży. „Wiem, że nie każdy, kto marzy o byciu rodzicem, ma ten przywilej. Jestem oszołomiona, jak wielką jestem szczęściarą” – powiedziała ostatnio dla magazynu „People”. Ogromnie docenia też wsparcie męża. „Jest dla mnie partnerem marzeń” – zapewniała w wywiadzie.

KSIĘŻNICZKA I BATMAN

Mija właśnie ćwierć wieku od premiery „Pamiętnika księżniczki” (2001), który wprowadził Anne Hathaway do kina. Karierę zaczynała jako nastoletnia gwiazda komedii familijnych. Dziś ma na koncie Oscara i jedną z najbardziej zróżnicowanych filmografii w Hollywood. Tylko w 2012 r. zagrała zarówno w musicalu „Nędznicy” (i odebrała statuetkę Złotego Rycerza dla najlepszej aktorki drugoplanowej za rolę Fantyny), jak i w komiksowym blockbusterze „Mroczny Rycerz powstaje”, gdzie w roli Kobiety-Kota skonfrontowała się z Batmanem.

Pierwszą nominację do Oscara zdobyła w 2009 r. za główną kobiecą kreację w obrazie „Rachel wychodzi za mąż”. Podobno ma szansę na kolejną – dzięki „Odysei” i filmowej Penelopie.

POWRÓT DO GENOVII

Przeszła ciekawą drogę z nowojorskiego Brooklynu, gdzie urodziła się w 1982 r. jako córka aktorki Kate McCauley i prawnika Gerarda Hathawaya. Ma korzenie irlandzkie, angielskie, niemieckie i francuskie. Ma też dwóch braci – starszego Michaela i młodszego Toma.

Gdy zdecydowała się na studia aktorskie, równolegle kontynuowała szkolenie głosu (jako sopranistka wystąpiła ze swoim chórem w Carnegie Hall). Edukacja wokalna przydała się jej w musicalu „Nędznicy”, za którego odebrała Oscara. Wcześniej zbierała doświadczenia m.in. w telewizji – zadebiutowała w serialu „Luzik Guzik” (1999) i na planie przebojowej komedii familijnej „Pamiętnik księżniczki” (2001), który zaprowadził ją do ekranowej Genovii. Przez kolejne lata Hathaway była twarzą kina dla młodszej widowni.

Zmiany zaczęły się wraz z filmem „Tajemnica Brokeback Mountain” (2005) oraz komedią „Diabeł ubiera się u Prady” (2006). Przełomem okazała się rola w dramacie „Rachel wychodzi za mąż” z 2008 r., w którym zagrała bohaterkę powracającą z terapii odwykowej na ślub siostry. Potem były m.in. musicalowi „Nędznicy” oraz rola Kobiety-Kota w wieńczącym trylogię o Batmanie filmie Nolana. Z tytułów, do których widzowie chętnie wracają, warto przypomnieć „Praktykanta” z 2015 r., w którym stworzyła zgrany duet z Robertem De Niro.

Ostatnio Anne Hathaway zdradziła, że jest szansa na powrót do kolejnej kultowej roli sprzed lat. Scenariusz „Pamiętnika księżniczki 3” jest już ponoć gotowy.

Fot. Warner Bros

eprasa.pl 7f496a23a7

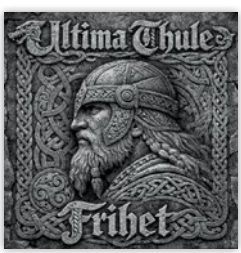


Maciej ***Walaszczyk***

Hymny z Północy

Z kilkumiesięcznym opóźnieniem odnotujmy triumfalny wręcz powrót weteranów viking rocka. Nowa płyta Szwedów to również powrót bombastycznych brzmień, hymnicznych pieśni i pięknych ballad, będących następcami takich przebojów jak „Ravens", „Mitt land" czy „Ragnarök" z niezapomnianej płyty „Svea hjältar", wydanej jeszcze w latach 80. Ale nie wracajmy do przeszłości, bo czwórka wikingów wciąż stawia kamienie milowe na szlaku europejskiej muzyki tożsamościowej.

Jan Thörnblom, bracia Hansen, Niklas Adolfsson i Thomas Krohn znów skomponowali znakomite piosenki, choć szkoda, że odwołano serię zapowiadanych koncertów. Zespół jest legendą. Powstał w 1984 r., przekształcony z punkowego składu Ugly Spots, tworząc oryginalny styl będący udaną fuzją melodyjnego nordyckiego folku, punkowej energii i różnych odcieni rocka. Wdając się już wówczas w walkę z wymazującym patriotyzm lewicowym kulturkampfem, poruszali tematy ze skandynawskiej mitologii, przywołując historycznych bohaterów i ducha patriotyzmu północnych ziem. Ich powrót to – jak tłumaczy zespół – „bezpośredni atak na przywództwo polityczne", które zamiast obiecywanego bezpieczeństwa i odpowiedzialności, sprowadziło na ich kraj „fatalne konsekwencje, które wciąż są bagatelizowane". Ten ezopowy język ze zrozumiałych powodów nie stawia sprawy wprost: chodzi o najazd muzułmanów, przestępczość, cenzurę i szwedzką inżynierię społeczną. Nie bez powodu fanem zespołu jest lider Szwedzkich Demokratów Jimmie Åkesson. Dziś wracają z przesłaniem: „Wolność to coś, co należy chronić, bronić i nigdy nie brać za pewnik". Ludzie milczą ze strachu, bezpieczeństwo jest wykorzystywane jako pretekst do kontroli, a konformizm zastępuje własne myślenie („Frihet"). Płyta jest dostępna w serwisach streamingowych, umożliwiając rejs po wzburzonych falach Bałtyku również nam. Otwierają mocne „Ge Fan Aldrig Upp" i tak jest do samego końca. Królują surowe i jednostajne rytmy bębnów, jazgotliwe gitary, akompaniujące pełnym chwytliwych melodii utworom. Potężne „Nog är Nog" i balladowa seria: „Parasiter", „Moder Svea Och Folket" i zamykające album „Roots Of Steel" nadają tym groźnym pieśniom liryki. Z kolei hymniczny i przebojowy „Sindre & Brokk" porwie serce każdego. Ten drakkar wciąż płynie!



Ultima Thule, „Frihet", Ultima Thule Records 2026

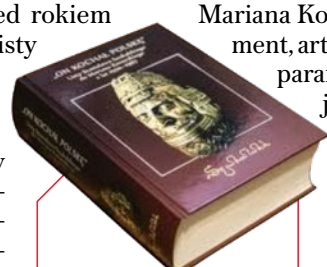
Artysta totalny

Gdy opuszczał Warszawę we wrześniu 1939 r., w jego pracowni, zniszczonej przez niemiecki atak lotniczy, pozostał nieukończony pomnik króla Bolesława Chrobrego. Kilka lat wcześniej zaprojektował monumentalny pomnik Adama Mickiewicza, który miał stanąć w Wilnie. Wygrał nawet konkurs, ale spektakularny styl, w jakim postanowił przedstawić narodowego wieszcza, zszokował opinię publiczną. Decyzję zmieniono, a jemu złamano serce.

Opublikowane staraniem otwartego przed rokiem w Gdyni Muzeum Stanisława Szukalskiego listy tego artysty do jego ucznia, również rzeźbiarza i malarza Mariana Konarskiego, zawierają echa tego wielkiego rozgoryczenia. Był przekonany, że „Polska to jednostki, co robią kulturę", duchy takie jak on, w kraju za życia jednak niedoceniane i „kamienowane", a należne hołdy odbierające dopiero nad trumną. Co może być szokujące, pomstuje na polską gnuśność, wywołującą kompleks zacofania, manię naśladownictwa, przypominając krytykę narodowego charakteru formułowaną przez m.in. Dmowskiego czy obelgi pod adresem rodaków miotane przez Piłsudskiego, którego artysta czcił jako jedną z najważniejszych postaci w historii. Projekt pomnika Marszałka także nie został zrealizowany, choć Szukalski znalazł pośród sanacyjnych notabli sprzyjających mu ludzi, m.in. ówczesnego wojewodę śląskiego Michała Grażyńskiego.

Stach z Warty, jak brzmiał jego artystyczny przydomek, przyjęty dla sformowanej przez siebie artystycznej grupy Szczep Rogate Serce, był zawziętym epistolografem. Kierowane do Polski listy – w tym przypadku do szczepowego Mariana Konarskiego – pozwalają bliżej poznać temperament, artystyczne wizje i poglądy historiozoficzne, w tym paranaukową koncepcję zermatyzmu, którą rozwijał, gdy mieszkał w osamotnieniu w Kalifornii. W pewnej chwili widzimy, że również one stały się w wyobraźni artysty plastycznym materiałem, kształtowanym dowolnie według jego koncepcji niczym projekt kolejnego pomnika. Bo – jak twierdził – to koncepcje, a nie forma były esencją sztuki. Szukalski to artysta totalny i przez całe życie wierny przekonaniu o konieczności przenicowania narodowej kultury, a nawet języka. Wyrwania się z wpływów zachodniej dekadencji. „Wystarczy chcieć, by BYĆ!"

Maciej Walaszczyk



„On kochał Polskę. Listy Stanisława Szukalskiego do Mariana Konarskiego z lat 1950–1987", Muzeum Stanisława Szukalskiego w Gdyni 2025

eprasa.pl 7f496a23a7





HITY i KITY ZAREMBY

„1670” – satyra, ale na co?

Trzeci sezon serialu Netfliksa „1670” nie wywołuje publicystycznego trzęsienia ziemi tak jak pierwszy. I nie jest to napaść na historię szlacheckiej Polski

Serial znów ma zręcznego scenarzystę, Jakuba Rużyłłę, oraz dwóch reżyserów: Macieja Buchwalda i Kordiana Kądzielę. Pierwszą serię opisywano jako produkt tzw. ludowej historii Polski. Konserwatyści oburzali się, że szkaluje się szlachecką Rzeczpospolitą. Istniał jakiś związek z tezami ludowego rewizjonizmu, Rużyłło dziękował przecież Mateuszowi Wyżdze, autorowi epokowej „Polski sarmackiej”, za to, że był dla niego inspiracją. Tyle że akurat ta książkowa panorama I Rzeczypospolitej jest sensownie umiarkowana w wojnie z dawniejszymi historycznymi ujęciami.

Zarazem... Na początku pierwszego sezonu kowal Maciej przybywał do wsi Adamczycha z Litwy w ramach programu Erasmus, a postępowa córka Jana Pawła Adamczewskiego Aniela organizowała tam „paradę równości”. W pierwszym odcinku drugiej serii szlachecka rodzina Adamczewskich jechała na wakacje do Turcji sułtanów w ramach usługi all inclusive. To nie jest portret dawnej Polski – bohaterowie mówią współczesnym językiem, niemal nic się tu nie zgadza z realiami. Owszem, pojawia się parę żartów z sarmatyzmu, ale serialowy obraz pańszczyzny to w porównaniu z rzeczywistością XVII-wiecznej Polski niemal idylla.

Stąd podejrzenia, że chodzi raczej o Polskę współczesną, o wieczne polskie przywary. Jan Paweł trochę nęka chłopów, ale głównie zwodzi ich retoryką w stylu współczesnych szefów korporacji, a jego córka zakochuje się w chłopie Macieju. Chwilami można było zresztą odnieść wrażenie, że to nie tyle satyra na szlachtę, ile kpiny ze stereotypów dotyczących tamtej epoki (co oznaczałoby delikatne podważanie logiki historii ludowej). No i dostawaliśmy sporo purnonsensu, który jednych śmieszył, innych nie. Ja częściej się uśmiechałem, ale kilka żartów musiałem docenić.

Przy okazji trzeciej serii doznałem wrażenia pewnego zmęczenia materiału, przypadkowości niektórych skeczy. Rodzina Adamczewskich idzie we współczesną, a nie XVII-wieczną rozsypkę. Jan Paweł walczy o przywrócenie utraconego przypadkiem szlachectwa. Jedno się nie zmienia: Bartłomiej Topa genialnie gra kompletnego debila, któremu zawsze udaje się spaść na cztery łapy.

Niektóre żarty wydały mi się przednie, zwłaszcza z Anieli, która lekcjami dla chłopów podburza ich do buntu, co daje asumpt do brawurowego ostatniego odcinka o dwuznacznej poincie. Albo z pomysłu Jana Pawła, aby wysłać chłopa katapultą na księżyc (chłopem jest Sebastian Stankiewicz). Albo z tracącego pamięć wuja Bohdana (Dobromir Dymecki), któremu krewni wmawiają, że jest wziętym flecistą.

Bezbarwny okazał się za to wątek złowieszczych Kozaków. Pomysł, że Jan Paweł chce się żenić z mężczyzną, nie był ani celną satyrą na dawny patriarchalizm, ani na współczesną obyczajowość, zawisł więc w powietrzu. Chyba w jednym momencie doznałem wrażenia ostrzejszego pamfletu na dawną Polskę, kiedy za sprawą groteskowego wieszcza pojawia się zapowiedź rozbiorów, którą dwór Michała Korybuta Wiśniowieckiego koncertowo lekceważy.

Tradycyjnie mamy do czynienia ze starannym budowaniem osobnego świata – za sprawą scenografii Mirosława Koncewicza i zdjęć Nilsa Cronego. Nadal niezrównani są odtwórcy głównych ról: Katarzyna Herman jako Zofia Adamczewska, Michał Wiśniewski jako ich syn, ksiądz Jakub, czy Andrzej Kłak jako sąsiad Andrzej. Za mało skorzystano z komediowego talentu Filipa Zaręby jako drugiego syna Stanisława, a Martyna Byczkowska jako Aniela i Kiryłł Pietruczuk jako Maciej to postaci wyjęte z lekko obśmianego melodramatu.

Piotr Zaremba

Fot. Netflix

Hiszpański antyklerykalizm w sojuszu z diabłem

Zadziwił mnie ten film. Canal+ pokazuje hiszpański horror „Spalę was wszystkich" z 2021 r. Szkoła filmów grozy z Hiszpanii była w swoim czasie modna, ale nie przypominam sobie obrazu z tak przewrotnym, pokręconym przesłaniem

Jego reżyser David Hebrero nakręcił tylko trzy niezauważone filmy. Tu dostajemy mocny początek. Pewna kobieta zabiera do samochodu ubłoconą dziewczynkę (a może karlicę), Lucię. Kiedy zatrzymują ją podejrzliwi policjanci, dziewczynka, korzystając ze swoich złowrogich mocy, wykańcza ich w straszny sposób.

Potem mimo wszystko kobieta wiezie małą do rodzinnego miasteczka, przedstawiając ją jako swoją siostrzenicę. Sama jest rozżalona na miejscową społeczność – uważa, że przed laty przyczyniła się do samobójstwa jej dziwacznego syna. I oto rzekome dziecko zaczyna po kolei likwidować jej domniemanych wrogów. Z kolei ludzie z miasteczka upatrują w Lucii spełnienia apokaliptycznego proroctwa, będącego zresztą dalszym ciągiem historii sprzed 40 lat.

Nie do końca wiadomo, kiedy to się dzieje. W miasteczku wiele do powiedzenia ma ksiądz, z pewnością nie jest to dzisiejsza Hiszpania. Porozumienie dorosłej kobiety z dziwną dziewczynką ewidentnie jest sojuszem z wysłanniczką diabła, choć to słowo nie pada ani razu. Wojna z miejscowymi, nazywanymi prostakami i obskurantami, nabiera jednoznacznie ideologicznego wymiaru.

Widziałem wiele filmów o udziale diabła w naszych sprawach, ale chyba nigdy nie był on postrzegany jako ktoś pozytywny, przynoszący sprawiedliwość. Produkcje typu „Dziecko Rosemary" Romana Polańskiego były opisywane jako satanistyczne, ale to nieprawda. Szatan chciał w nich czegoś złego, działał na niekorzyść człowieka. Nawet gdy w innym filmie Polańskiego, „Dziewiąte wrota", główny bohater zdawał się na końcu do niego przyłączyć, nie mieliśmy poczucia, że to happy end.



A tak jest tutaj, w skądinąd bełkotliwym finale. Mam wrażenie, że tak jak Agnieszka Holland wydawała wyrok na niecierpianą prowincję w filmie „Pokot" według Olgi Tokarczuk, tak Hebrero mści się na katolickim miasteczku. Niby kobieta jest skrzywdzona, ale ofiarą padają także osoby, które nic jej nie zrobiły. Bo nie chodzi tu o rytuał zwykłej ludzkiej zemsty. W kraju niegdyś fanatycznego, posępnego katolicyzmu, antyklerykalizm jest tak drapieżny, że gotów do kolaboracji ze złym.

Fot. Materiały prasowe

ADOLF HITLER W ROLI ZALOTNIKA

Wpadło mi w ręce solidne opracowanie „Niemiecka polityka zagraniczna 1933–1939". Autor, prof. Stanisław Żerko, jest wybitnym znawcą Niemiec i Niemców. Takie repetytorium, bez publicystycznych szaleństw, przydaje się. Najbardziej zaciekawił mnie wątek relacji niemiecko-brytyjskich

Podziwiam rzeczowy ton, w jakim autor analizuje niemiecką dyplomację, poddaje wiwisekcji fazy jej działania, podziały wewnątrz hitlerowskiej elity czy odtwarzane gierki, a czasem rozterki Adolfa Hitlera. Moje pokolenie przyzwyczaiło się do opowieści o genezie II wojny światowej na bardziej emocjonalnych nutach. Ale nie ma tu zarazem pokusy ocieplania tego reżimu, co również przytrafiało nam się w ostatnich latach.

Dlaczego intryguje mnie problem Wielkiej Brytanii? Prof. Żerko jest specem od relacji Hitlera z tym krajem. Przekonująco pokazuje wieloletnie nadzieje przywódcy III Rzeszy na sojusz z Albionem. Zarazem od 1938 r. Brytyjczycy stają się głównymi wrogami w umyśle Hitlera. To było jak relacje zakompleksionego faceta z panną, która tyleż przyciąga, co odpycha, i która jednak nie daje się uwieść.

Polacy mają rozliczne żale do Wielkiej Brytanii: o tzw. appeasement, czyli ustępliwość wobec kolejnych niemieckich ekspansji, a potem o karygodne zaniechanie podczas tzw. dziwnej wojny we wrześniu 1939 r. Rzadziej zadajemy sobie pytanie, co by było, gdyby szczerze kuszony dumny Albion naprawdę zostawił nazistom wolną rękę w Europie Wschodniej. Hitler uważał, że Anglicy nie zaryzykują wojny o Polskę. Zaryzykowali. Bo jakiś wpływ na relacje na kontynencie był dla nich wartością niezbywalną? A może dlatego, że najbardziej egoistyczna demokracja nie mogła stworzyć układu z histeryczną dyktaturą?

Rewizjoniści uważający, że trzeba było iść z Hitlerem przeciw Sowietom, oskarżają Londyn, że swoimi gwarancjami dla Polski z kwietnia 1939 r. usztywnił jej opór i podrażnił Hitlera. Miała to być prowokacja, kierująca uwagę Niemiec na wschód. Prof. Żerko pisze jednak, że karty były rozdane, już zanim podjęto tę decyzję. Hitler wierzył w to, że wojna jest nieunikniona, a polskie władze tak czy inaczej były zdecydowane na stawienie oporu.

W książce obserwujemy też kilkuletnie odprężenie w relacjach niemiecko-polskich. A co by było, gdyby sanacyjne władze poczyniły ustępstwa na Pomorzu i przystąpiły do paktu antykominternowskiego? Stałyby się wasalem, ale jaka byłaby polityka III Rzeszy wobec tego junior partnera – jak nazywał go Berlin? Przecież nienawiść niemieckich okupantów do Polaków nie wzięła się znikąd.





Czy nowe prawo wyleje polskie wino z legislacyjną kąpielą?

To może być ostatni artykuł, w którym przeczytacie o polskich winnicach, radości i trudach uprawy winorośli, a informacje o lokalnych festiwalach promujących rzemieślnicze wyroby będą przekazywane wyłącznie pocztą pantoflową, o ile ktokolwiek podejmie ryzyko ich organizacji



MACIEJ WOŚKO

Rozmawiając z prowadzącymi winnice entuzjastami, można się upewnić, że nikt nie neguje potrzeby ucywilizowania rynku alkoholowego w Polsce oraz poprawienia obowiązującej od 1982 r. ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Walka z patologiami, takimi jak „małpki", alkotubki czy agresywne promocje piwa, to argument zrozumiały dla wszystkich. W legislacyjnym zapale politycy przygotowali jednak regulacje, które rykoszetem mogą dobić najmłodszą i najszybciej rosnącą gałąź polskiego rolnictwa – winiarstwo. Jeśli nowe przepisy wejdą w życie, będziemy musieli milczeć na temat polskich winnic, a tysiące polskich plantatorów nie będzie miało jak promować i sprzedawać swoich wyrobów.

Proponowana przez polityków Lewicy i Polski 2050 nowelizacja ustawy idzie bardzo daleko w zakazach związanych z promocją alkoholu, bez względu na jego rodzaj, moc czy miejsce produkcji. Ale główny spór dotyczy pojęcia „promocji", którą autorzy chcą zdefiniować według bardzo rygorystycznych zasad. Narasta zatem chaos interpretacyjny, bo w branżowych mediach już można przeczytać o bezwzględnym zakazie wszelkiej informacji o produkcji alkoholu, w tym wina. Promocją tego trunku może się przecież stać nie tylko reklama wielkich koncernów, lecz także degustacja w winnicy, kurs łączenia wina z potrawami czy regionalny festiwal wina. Oznacza to, że popularne imprezy promujące lokalnych producentów, takie jak Winogranie, którego siódma edycja właśnie z sukcesem zakończyła się w Zamościu, po prostu nie będą mogły się odbyć. Co więcej, samo wystawienie butelek na ladach podczas jarmarków mogłoby zostać uznane za nielegalną reklamę, zagrożoną karami sięgającymi miliona złotych oraz odpowiedzialnością karną.

– Jeśli ustawodawca w swoim dążeniu do uporządkowania rynku zastosuje mechaniczne zakazy i nie wyodrębni specyfiki winiarstwa, zablokuje tę kiełkującą branżę, zanim na dobre zdąży się rozwinąć – mówi Robert Ogór, przewodniczący Rady Fundacji Winiarnie Zamojskie oraz prezes Ambra SA. – Przeciwdziałanie patologiom, nocnej sprzedaży czy ograniczenie konsumpcji taniego alkoholu (np. poprzez politykę akcyzową) jest ze wszech miar słuszne i logiczne. Jednak rzemieślnicze winiarstwo polskie, gdy ceny butelek zaczynają się od 60 zł, nie ma nic wspólnego z obszarami takiego taniego upijania się.

DEGUSTACJA NIEDOZWOLONA

Konsekwencje legislacyjnego zamieszania będą fatalne dla polskiego winiarstwa – to drugi element wyraźnie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7f496a23a7

pobrzmiewający w rozmowach z winiarzami. Jeśli przepisy wejdą w życie, o polskich winnicach nie przeczytamy w prasie ani w sieci, a enoturystyka, czyli turystyka winiarska polegająca na odwiedzaniu winnic, poznawaniu regionów uprawy winorośli oraz degustacji lokalnych wyrobów, straci rację bytu. Trasy enoturystyczne czy agroturystyka bazująca na lokalnym rolnictwie zostaną skutecznie zepchnięte do szarej strefy, nie mogąc liczyć choćby na uznanie za produkty turystyczne. Nikt nie podejmie ryzyka wspierania przedsięwzięć, które mogłyby zostać podciągnięte pod „promocję alkoholu".

Katarzyna Żelazna, prezes Izby Gospodarczej Lubuskich Winnic, celnie punktowała absurdalność sytuacji w czasie konferencji w Zielonej Górze poświęconej organizacji tamtejszego tradycyjnego Winobrania.

– O szkodliwości alkoholu powinno się w Polsce mówić więcej. Tyle że cukier też szkodzi, a nikt nie zabrania cukierniom reklamowania się – mówiła, wyjaśniając, że polscy winiarze odgrywają nie tylko rolę producentów, lecz przede wszystkim edukatorów. – Przyjmują gości w winnicach, opowiadają o uprawie, produkcji, wpływie pogody na krzewy, mówią o aromatach. To dużo więcej niż sam alkohol. Nie zabraniajmy im tego!

Także prezes Robert Ogór, na co dzień wspierający lokalnych lubelskich winiarzy, wysuwa argumenty za wyraźnym wydzieleniem w przepisach produkcji i sprzedaży wina, wskazując choćby na rozdrobnienie tej branży w Polsce, silne powiązanie produkcji z regionem i wyjątkowość walorów promocyjnych dla turystyki.

– Winiarstwo jest chronione na całym świecie, ponieważ w przeciwieństwie do innych alkoholi produkcja wina jest definicyjnie i ściśle związana geograficznie i kulturowo z uprawą winorośli – to sektor pochodzenia czysto rolnego. Na Roztoczu, gdzie ziemie są słabe, a rolnictwo tradycyjne zawsze borykało się z biedą, winorośl radzi sobie idealnie – uboga ziemia sprzyja tej uprawie. To szansa na mądre strategie rozwoju takich regionów – podkreśla szef Rady Fundacji Winiarnie Zamojskie. – Osadnictwo winiarskie chroni tkankę wiejską przed erozją społeczną i ubożeniem. Drobny winiarz, posiadający średnio zaledwie 2 ha upraw, tworzy u siebie pełny, lokalny mikropodmiot gospodarczy – kupuje maszyny, zatrudnia ludzi, korzysta z lokalnych usług księgowych i płaci podatki. Wartość dodana nie trafia do dwóch czy trzech globalnych koncernów, lecz rozchodzi się wśród tysięcy małych wytwórców.

Jak tłumaczy prezes Ogór, to właśnie winiarstwo tworzy niesamowitą ekologię ekonomiczno-kulturowo-turystyczną. Bo enoturystyka to przecież nie tylko wino – to kuchnia regionalna, sery, tradycyjne potrawy i lokalne usługi, tworzące miejsca pracy i napędzające gospodarkę.

RYNEK ROŚNIE

Tymczasem rodzimy rynek winiarski przeżywa bezprecedensowy rozkwit, będąc najszybciej rozwijającą się gałęzią rolnictwa. W oficjalnej ewidencji KOWR wpisanych jest już 724 plantatorów, którzy uprawiają winorośl na powierzchni niemal 1,1 tys. ha. A jeszcze 10 lat temu zarejestrowanych było zaledwie kilkunastu producentów, którzy uprawiali winorośl na 30 ha. Dziś mówimy o ponad 550 zarejestrowanych producentach. Liderem winiarskiego renesansu jest województwo lubuskie, dalej małopolskie, dolnośląskie i lubelskie. Winiarskie tradycje w Polsce sięgają X w. i odradzają się w tempie zaskakującym cały winiarski rynek. Polskie wina z segmentu chłodnego klimatu (cool climate), cechujące się świeżością, stają się coraz bardziej poszukiwanym produktem rzemieślniczym. Do tego można dodać polskie cydry i wina produkowane z owoców, choćby z porzeczek, gruszek czy agrestu. Tu prym wiedzie Roztocze, które jako region nieprzemysłowy daje spore możliwości rozwoju branży.

CZAS I CIERPLIWOŚĆ

Za statystykami stoi trudny i rozdrobniony biznes. Polskie winiarstwo to branża bazująca na małych, rodzinnych przedsięwzięciach o areale nie przekraczającym 2 ha. Obsadzenie winoroślą hektara gruntu to dziś koszt rzędu 100–200 tys. zł. Na pierwszy zbiór winny czeka się od 3 do 5 lat, a zwroty z inwestycji pojawiają się dopiero po 5–7 latach.

– Wina są drogie, ponieważ są horrendalnie kosztowne w wytwarzaniu. Jeżeli ktoś ma 2 ha i zbierze, dajmy na to, po 5 t z hektara, jak u nas, to ma 10 t owoców. 60 proc. z tego to będzie wino, litr z kilograma winogron to 6 tys. butelek w ciągu roku. Jeśli sprzeda je po 30 zł, to ma 180 tys. zł – tłumaczy ekspert.

Dla wielu rodzin prowadzących winnice jest to działalność uzupełniająca agroturystykę, co widać na imprezach rzemieślniczych, gdzie producenci sami sprzedają własne wyroby. Małe winnice nie mają bowiem szans ani aspiracji, by wejść do sieci handlowych zdominowanych przez dużych producentów. Z tego powodu warunkiem przetrwania jest bezpośredni kontakt z klientem w winnicy oraz sprzedaż internetowa. I tu pojawia się kolejne wyzwanie, bo projekt Lewicy uderza w winiarski e-commerce, nakazując osobisty odbiór zamówienia w sklepie. To kolejny absurd, blokujący rozwój polskich winnic.

IZBA, SAMORZĄDY I PROJEKT

Nadzieje branży obudził za to projekt nowelizacji złożony pod koniec stycznia przez PSL oraz głośny apel Izby Win Polskich. Chodzi o to, by chroniąc się przed nadmierną promocją alkoholu, nie wylać polskiego wina. Projekt ludowców precyzuje przepisy i wyłącza z pojęcia zakazanej promocji przekazy o charakterze informacyjno-kulturalnym, historycznym czy turystycznym.

„Nie chcemy stać się ofiarą grzechów całej branży alkoholowej" – apelują winiarze. Dziś wino to zaledwie 7,4 proc. całkowitej konsumpcji alkoholu w Polsce. Statystyczny Polak wypija rocznie ok. 3,5–6 l wina, w tym raptem 2–2,5 proc. to wyroby polskich winnic.

A to, jak jest być winiarzem, można sprawdzić podczas Winogrania w Zamościu czy Winobrania w Zielonej Górze, które odbędzie się na początku września, podczas Dni Otwartych Piwnic i świąt wina, które wciąż cieszą samorządy lokalne, chętnie angażujące się w promocję regionalnych wyrobów i wspieranie turystyki – także tej winnej.

eprasa.pl 7f496a23a7

Jak Infantino chciał sprzedać mundial



Przewodniczący FIFA Gianni Infantino od dawna budzi kontrowersje, ale jego nieudany plan sprzedaży organizacji mistrzostw świata prywatnym inwestorom może doprowadzić do tego, że straci miejsce pierwszego człowieka w światowej piłce nożnej



GORAN ANDRIJANIĆ

Szef Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej w niespełna miesiąc przeszedł dziwną drogę od twórcy finansowego sukcesu mistrzostw świata w 2026 r. (turniej w Kanadzie, Meksyku i USA zarobił rekordowe 15 mld dol.) do człowieka, którego obecnie niemal wszyscy opisują jako działacza chcącego zniszczyć duszę najpopularniejszego sportu na świecie.

Infantino jest przewodniczącym organizacji kierującej światowym futbolem drugą kadencję. Nowe wybory odbędą się w przyszłym roku i do niedawna wydawało się, że urodzony w Szwajcarii Włoch znowu wygra je bez problemów. Tymczasem w ostatnich dniach wiele krajowych organizacji piłkarskich wycofało swoje wcześniejsze poparcie dla jego reelekcji. Powodem jest – jak czytamy w wyjaśnieniach – „szalony" pomysł Infantino o dopuszczeniu prywatnych inwestorów do organizacji mistrzostw świata.

Infantino chciał powołać spółkę FIFA Forward Enterprise (FFE), która miała przejąć zarządzanie komercyjną stroną wszystkich turniejów organizowanych przez FIFA. Tym, co najbardziej szokowało, był pomysł, aby do firmy weszli prywatni inwestorzy. Krytycy przedstawili to jako całkowitą komercjalizację piłki nożnej i poddanie się duchowi zysku za wszelką cenę (duchowi, który był obecny również na niedawno zakończonych mistrzostwach świata).

Jak wynika z relacji zachodnich mediów, szef FIFA podjął decyzję o założeniu spółki praktycznie bez konsultacji z otoczeniem. Dodatkowym problematycznym elementem całej tej historii jest jej zaplecze polityczne. Głównym inwestorem w FFE miał być Joshua Kushner, brat Jareda Kushnera, zięcia prezydenta USA Donalda Trumpa. Infantino i Trump są sobie bliscy od dłuższego czasu i nie stanowi to żadnej tajemnicy. Wszystko to było zbyt trudne do strawienia dla świata piłki nożnej.

Według „The New York Times" Infantino chciał ogłosić swoją ważną decyzję przed finałem mistrzostw świata. Z oczywistych powodów odłożył to na jakiś czas, ale nadal prowadził rozmowy z ludźmi ze świata biznesu. Jeden z nich stał się źródłem informacji dla brytyjskich mediów, a historia wielkiej sprzedaży piłki nożnej wyciekła do opinii publicznej szybciej, niż Infantino planował.

Media napisały, że korporacja Thrive Capital, będąca własnością Kushnera, powinna stać się częścią struktury własnościowej spółki FFE i przejąć 20 proc. jej udziałów. W całą transakcję miał być zaangażowany bank JP Morgan.

Według planu Infantino, opublikowanego przez media, każda z 211 federacji członkowskich FIFA otrzymałaby udziały w spółce, warte ok. 20 mln dol.,

Fot. White House

eprasa.pl 7f496a23a7

i mogłaby je zatrzymać lub sprzedać, aby uzyskać dochód dla siebie.

Media donosiły również, że mimo iż Thrive Capital miała posiadać mniejszościowy pakiet akcji, jasne jest, że z czasem wywierałaby coraz większy wpływ na politykę spółki.

W ramach całego planu rozważano także dalsze zwiększanie liczby reprezentacji narodowych w mistrzostwach świata mężczyzn i kobiet oraz możliwość rozgrywania turniejów częściej niż co cztery lata. Źródła podawały, że Infantino miałby zostać wybrany na stanowisko komisarza firmy po wygaśnięciu jego ostatniej, trzeciej kadencji jako przewodniczącego FIFA i zarobić dziesiątki milionów dolarów.

ZDECYDOWANY SPRZECIW

Reakcja na publikację planu Infantino, w realizację którego ewidentnie zaangażował się Donald Trump, była błyskawiczna. Natychmiast sprzeciwiła się europejska organizacja piłkarska UEFA, a także CONCACAF, zrzeszająca federacje Ameryki Północnej i Środkowej, oraz Azjatycka Konfederacja Piłkarska (AFC).

Następnie Carlos Cordeiro, doradca Infantino i były szef Federacji Piłki Nożnej Stanów Zjednoczonych, zrezygnował ze swojego stanowiska. Cordeiro, który porzucił udaną karierę w bankowości, aby zająć się piłką nożną, był jednym z głównych organizatorów niedawno zakończonych mistrzostw świata w Ameryce Północnej.

„Nie brałem udziału w tej propozycji i jestem jej jednoznacznie przeciwny. Piłka nożna była w centrum mojego życia i po ponad 35 latach pracy w bankowości rozumiem też jej wartość. Dlatego ta propozycja powinna zostać odrzucona" – napisał w oświadczeniu.

Do grona krytyków dołączył jeszcze jeden ważny i wysoko postawiony urzędnik FIFA – dyrektor operacyjny Kevin Lamour, który również przeciwstawił się przewodniczącemu.

„Pracownicy zostali oszukani przez brak otwartości Infantino w planowaniu sprzedaży. Zasługujemy na coś więcej niż pogardę i zastraszanie. To projekt jednej osoby" – powiedział Lamour, dodając, że jest świadomy kłopotów z powodu swojego wystąpienia.

Presja miała sens. Po kilku dniach Infantino opublikował oświadczenie, w którym ogłosił, że FIFA rezygnuje z ambitnego planu. „Po uważnym wysłuchaniu wszystkich opinii stało się jasne, że projekt doprowadził do podziałów, które – niezależnie od poziomu poparcia – nie służą już realizacji pierwotnie wyznaczonego celu. Naszym celem zawsze było i zawsze będzie jednoczenie i doskonalenie. W związku z tym projekt nie zostanie przyjęty" – czytamy w oświadczeniu, które zostało opublikowane, gdy nawet główny inwestor Thrive Capital zaczął się wahać z powodu fali negatywnych reakcji na „wielki plan".

W CIENIU KORUPCJI I WIELKIEJ POLITYKI

Infantino budził kontrowersje od samego początku swojej kadencji, co jest paradoksem, zważywszy na to, że przejął organizację po wielkim skandalu korupcyjnym z udziałem swojego poprzednika, Seppa Blattera. Szwajcarsko-włoski prawnik obiecał wówczas, że w czasie jego kadencji FIFA będzie wolna od wszelkich nieprawidłowości.

Zaczynał karierę jako prawnik sportowy, później wkroczył do świata piłki nożnej jako asystent prezydenta UEFA Michela Platiniego. To właśnie Platini miał być następcą Blattera, ale uniemożliwiło mu to śledztwo antykorupcyjne, toczące się przeciw niemu. Niedawno Platini złożył pozew przeciwko Infantino, oskarżając go o „zniesławienie" i „kupowanie wpływów". „To stanowi jego odpowiedź w sprawie, która w 2015 r. zniweczyła jego awans na szczyt światowej piłki nożnej" – wynika z oświadczenia przesłanego agencji AFP.

Lista zarzutów wobec Infantino jest długa. Oskarża się go o to, że popiera reżim Władimira Putina, któremu pozwolił na organizację mistrzostw świata w piłce nożnej w 2018 r., cztery lata po tym, jak Moskwa rozpoczęła inwazję na wschodnią Ukrainę. Podobne zarzuty pojawiły się po tym, jak przekazał organizację mistrzostw świata w piłce nożnej w 2022 r. Katarowi. Tym, którzy twierdzili, że tym kraju systematycznie represjonuje się kobiety, migrantów i osoby LGBT+, odpowiadał, że są „hipokrytami".

Skrytykowano go również za przyznanie organizacji mistrzostw świata w piłce nożnej w 2034 r. Arabii Saudyjskiej – nie tylko ze względu na charakter systemu politycznego w tym kraju, lecz także dlatego, że zignorował on zwyczajowe procedury wyboru kraju, w którym odbędą się zawody (ogłosił tę decyzję na swoich portalach społecznościowych).

Najpoważniejszym zarzutem opinii publicznej – zwłaszcza tej lewicowo-liberalnej – przeciwko Infantino jest jego przyjaźń z Trumpem. Z końcem 2025 r. prezydent USA stał się pierwszym laureatem Pokojowej Nagrody FIFA, którą otrzymał od swojego przyjaciela Gianniego. Infantino okazał także dowód swojej przyjaźni, gdy na mundialu – po interwencji Trumpa – amerykański piłkarz Folarin Balogun mógł zagrać przeciwko Belgii, mimo iż otrzymał czerwoną kartkę w poprzednim meczu. Zostało to opisane jako bulwersująca interwencja polityki w sport.

Głównym problemem jest jednak to, że Infantino zachowuje się jak szef komercyjnej organizacji, a nie organu koordynującego działania związane z najważniejszą dyscypliną sportową. Było to widoczne również podczas mistrzostw świata w piłce nożnej w 2026 r. – wysokie ceny biletów, a także wprowadzenie w połowie meczu hydration break, czyli przerwy na nawodnienie dla zawodników, wynikało raczej nie z troski o graczy, lecz pozwalało wyemitować reklamy. Wszystko to wywołało oburzenie kibiców.

* * *

Chociaż zwycięstwo Infantino w przyszłorocznych wyborach na przewodniczącego FIFA nie wydaje się już tak oczywiste, bardziej racjonalni analitycy wskazują, że zmiana na tym stanowisku nie będzie aż tak łatwa mimo fali krytyki. Przewodniczącego FIFA wybiera 211 państw członkowskich, zgodnie z zasadą „jeden członek – jeden głos". Mimo niezadowolenia w Europie i niektórych innych regionach świata Infantino nadal cieszy się poparciem większości.

Kluczowe pytanie brzmi jednak, czy Infantino będzie w stanie sprostać rosnącej presji w obliczu niezadowolenia z jego pracy, które, narastając latami, teraz eksplodowało.

eprasa.pl 7f496a23a7

Anatomia ognistego lata

Mimo że to ekosystemy leśne padły główną ofiarą tegorocznych pożarów w Europie, to właśnie w lasach jest nasza nadzieja





PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Lipiec tego roku zapisał się na kartach historii jako jeden z najgorętszych miesięcy w historii pomiarów w Europie Zachodniej, stając się bezpośrednią przyczyną katastrofalnych pożarów, które ogarnęły południe i zachód kontynentu. Wysuszone na wiór lasy Francji, Hiszpanii, Grecji i Włoch stanęły w ogniu, zmuszając do ewakuacji dziesiątki tysięcy ludzi. Choć mogłoby się wydawać, że to po prostu skutek wyjątkowo pechowego, upalnego lata, naukowcy nie pozostawiają złudzeń. Te niszczycielskie pożary to bezpośredni efekt głębszych, systemowych zmian w ziemskim klimacie. Aby zrozumieć ich genezę, musimy się przyjrzeć temu, jak na naszych oczach przesuwają się tzw. normy klimatyczne, czyli meteorologiczne punkty odniesienia.

NOWA GORĄCA RZECZYWISTOŚĆ

Naukowcy przez dekady oceniali pogodę, porównując ją do średniej z lat 1961–1990. Dzisiejszy świat jest już jednak zupełnie innym miejscem. Obecna norma klimatyczna (obejmująca lata 1991–2020) wysoko podniosła poprzeczkę średnich temperatur – we Francji, która chyba najbardziej ucierpiała z powodu tegorocznych pożarów, aż o 1,15 st. Celsjusza w skali roku. To, co starsze pokolenia pamiętają jako anomalie i rzadkie fale upałów, dla nas stało się nową codziennością. Klimat wielu europejskich miast upodobnił się do tego, który dawniej panował setki kilometrów dalej na południe.

Kiedy w lipcu 2026 r. termometry we Francji pokazały średnią miesięczną na poziomie 24,9 st. Celsjusza, według danych Météo-France pobiła ona wszelkie historyczne rekordy. Wynik był aż o 3,8 st. Celsjusza wyższy od i tak podwyższonej nowej normy. W praktyce oznacza to, że przez cały miesiąc Francja ani na chwilę nie odetchnęła chłodem, a średnie maksymalne temperatury dobowe przekraczały wieloletnią normę o ponad 5 st. Celsjusza!

PARADOKS OPADOWY: DLACZEGO LASY ZAMIENIAJĄ SIĘ W CHRUST?

Drugim kluczowym elementem tej układanki jest drastyczna zmiana w strukturze opadów atmosferycznych. Jeśli porównamy współczesność z latami 60. czy 70. XX w., wyraźnie zobaczymy, że Europa podzieliła się na deszczową północ i skrajnie wysuszone południe. W strefie przejściowej, w której leżą Francja czy Polska, mamy do czynienia z niebezpiecznym paradoksem. Choć ogólna roczna ilość wody spadającej z nieba nie zmniejszyła się drastycznie, zmienił się charakter opadów. Zamiast dawnych, spokojnych i padających przez kilka dni deszczów, które głęboko nawadniały glebę, dziś jesteśmy zalewani falami ekstremalnych uderzeń. Najpierw mamy do czynienia z długimi tygodniami absolutnej suszy i morderczych upałów, które zamieniają ściółkę leśną w materiał łatwopalny. Następnie dochodzi do gwałtownych, kilkugodzinnych ulew i burz, które zamiast wsiąkać w ziemię, natychmiast spływają po stwardniałej jak beton glebie, powodując powodzie błyskawiczne i nie dając żadnej możliwości nawodnienia ani glebie, ani roślinom. Generowane przez rozgrzane powietrze fronty burzowe z masowymi wyładowaniami atmosferycznymi stają się naturalnym zapalnikiem dla wysuszonej biomasy.

SUSZA HYDROLOGICZNA: REKORDOWE NIŻÓWKI RENU I DUNAJU

Na przełomie lipca i sierpnia 2026 r. nastąpił paraliż głównych arterii wodnych

Fot. Angelos Tzortzinis/AFP/East News

eprasa.pl 7f496a23a7

kontynentu. Kluczowym czynnikiem tej sytuacji był drastyczny niedosyt wilgotności powietrza. Rozgrzana atmosfera z ogromną siłą pobierała wilgoć z podłoża, przyspieszając parowanie i wywołując suszę glebową. Nastąpił także krytyczny spadek zasilania śnieżno-lodowcowego w rejonach alpejskich. Na Renie w miejscowości Lobith w Holandii, tuż przy granicy z Niemcami, stacja wodowskazowa zanotowała, że przepływ rzeki spadł do zaledwie 600 m^2 na sekundę. Jest to wartość o ok. 20 proc. niższa niż podczas dotkliwej suszy z 2022 r. W dolnym brzegu Dunaju natomiast wolumen wody spadł do 1,4 tys. m^2 na sekundę, co stanowi zaledwie jedną trzecią normy wieloletniej i absolutne minimum stanu wody w historii pomiarów.

Pod koniec lipca aż 43 proc. małych rzek i potoków we Francji wyschło całkowicie, co doprowadziło do przerwania ciągłości hydrologicznej. Podobna sytuacja zaczyna się w Polsce. Znika zalew Klimkówka – przyczyną jest m.in. wysychanie zasilającej go rzeki Ropy. Mała masa wody w korytach ulegała dodatkowo ekspresowemu nagrzewaniu z powodu silnego promieniowania słonecznego. Np. w Renie temperatura wody w rejonie Karlsruhe, osiągnęła ekstremalne 27,6 st. Celsjusza, co drastycznie obniżyło rozpuszczalność tlenu i doprowadziło do krytycznego niedotlenienia ekosystemów rzecznych.

Brak wody i zbyt wysoka temperatura uderzyły też w infrastrukturę energetyczną – elektrownie jądrowe, w tym węgierska Paks oraz rumuńska Cernavodă, zostały zmuszone do ostrego zredukowania mocy operacyjnej z powodu braku możliwości bezpiecznego chłodzenia reaktorów.

MECHANIZM ESKALACJI MEGAPOŻARÓW

Pożary, które ogarnęły Europę, stanowiły bezpośrednią lądową kontynuację tego kryzysu hydrologicznego. Gwałtowne wysychanie koryt rzecznych oraz rekordowy niedosyt wilgotności powietrza stworzyły zamkniętą pętlę sprzężeń zwrotnych. Z analiz ekologicznych i modeli pożarowych programu Copernicus Atmosphere Monitoring Service (CAMS) wyłania się obraz zagrożenia. Ma ono dwie fazy. Wilgotna i stosunkowo deszczowa wiosna stymulowała gwałtowny wzrost gęstej roślinności zielnej, traw oraz poszycia leśnego. Następnie letnie fale upałów błyskawicznie odessały wilgoć z podłoża, co doprowadziło do masowego obumierania roślin i ekspresowego wysuszenia wierzchniej warstwy ściółki leśnej. Suchy drobny materiał palny stawał się podatny na zapłon od najmniejszej iskry. Gdy biomasa osiągnęła krytyczny stopień wysuszenia, gigantyczne pożary zaczęły generować własny mikroklimat. Nad największymi pogorzeliskami powstały chmury burzowe typu *Pyrocumulonimbus* (chmury wywołane przez pożar). Wywoływały one silne, chaotyczne porywy wiatru oraz „suche pioruny", które inicjowały kolejne ogniska pożarów kilkanaście kilometrów dalej, całkowicie paraliżując tradycyjne linie obrony strażaków.

GEOGRAFIA ZNISZCZEŃ

Latem tego roku ogień ze szczególną siłą uderzył w trzy główne regiony Europy. We Francji były to regiony Żyrondy i Nowej Akwitanii. Prawdziwym epicentrum stały się lasy w okolicach Bordeaux. Pojedynczy potężny front ogniowy, który wybuchł 22 lipca, strawił ponad 42 tys. ha lasu w niecałe cztery dni. W Hiszpanii pożary pustoszyły prowincje wokół Madrytu, Ávili oraz Toledo, zmieniając w popiół 140 tys. ha terenów leśnych i uprawnych. W Grecji ucierpiała Attyka. Wybuchające pożary w rejonach otaczających Ateny zniszczyły ponad 10 tys. ha lokalnych ekosystemów.

Nastąpiła eskalacja zjawiska pożarów na tle poprzednich dekad. Do 9 sierpnia 2026 r. w Unii Europejskiej spłonęło 529 192 ha. Liczba ta jest ponad 2,5-krotnie wyższa od średniej wieloletniej z lat 2006–2025, która dla tego punktu w roku wynosi niespełna 197 347 ha. W UE zarejestrowano 1586 dużych pożarów (powyżej 30 ha) – średnia historyczna dla tego samego okresu wynosi zaledwie 686. Mamy więc do czynienia z ponad 2-krotnym wzrostem częstotliwości występowania zjawisk o charakterze katastrofalnym.

Pozornie odległe miejsca opisywane w tym artykule, jak dolina Renu czy Madryt, znalazły się pod wpływem tego samego zjawiska meteorologicznego – tzw. blokady wyżowej. Nad Europą zatrzymał się gigantyczny, stabilny układ wysokiego ciśnienia, który działał jak niewidzialna kopuła: tłoczył rozgrzane powietrze z Afryki i bezwzględnie odpychał wszelkie deszczowe chmury z Atlantyku daleko na północ.

CAŁA NADZIEJA W LASACH

Tegoroczne pożary oraz głęboka susza hydrologiczna wskazują na przekroczenie progów stabilności ekosystemowej. Zjawiska te przestały być odizolowanymi anomaliami pogodowymi i stały się manifestacją nowej rzeczywistości klimatyczno-przyrodniczej. Z punktu widzenia nauk o Ziemi współczesna zmiana struktury opadów – polegająca na zaniku deszczów ciągłych na rzecz gwałtownych, punktowych ulew – bardzo utrudnia efektywne retencjonowanie wody w profilu glebowym. Wysuszona, stwardniała gleba traci zdolność infiltracji, co przy jednoczesnym zaniku zasilania górskiego stało się przyczyną rekordowo niskiego poziomu wód rzek i wyschnięcia mniejszych cieków. W ujęciu przyrodniczym lato 2026 r. redefiniuje pojęcie stabilności klimatycznej kontynentu.

Ponad 2,5-krotny wzrost powierzchni pogorzelisk wskazuje, że lasy na naszym kontynencie weszły w nowy reżim pożarowy. Systemy rzeczne i leśne Europy tracą swoją naturalną zdolność buforowania ekstremów pogodowych. Czy wszystko stracone? Nic bardziej mylnego. Troska o powiększanie powierzchni leśnych i gromadzenie – mimo wszystko – w nich wody to podstawowy kierunek działań na rzecz przywrócenia buforowej roli lasów. Nie odtworzymy grubej pokrywy lodowcowej w Alpach, która powoli zasilała rzeki w wodę, ale możemy próbować zatrzymać wodę z gwałtownych opadów właśnie w lasach. Mała i wielka retencja mogą być naszą odpowiedzią na opisywane tu zjawiska. Europa płonie, a my wciąż utrzymujemy w lasach rowy odwadniające, które mają na celu przyspieszenie odpływu z lasu! Mimo że to ekosystemy leśne padły główną ofiarą tegorocznych pożarów, to właśnie w lasach jest nasza nadzieja.



ARKADIUSZ TADYCH*



Rysy są w sam raz

Między pnącym się wysoko usypisko-złomowiskiem a powolnie pokazywaną w finale majestatyczną panoramą Tatr rozciąga się opowieść o Arku Pasożycie. Artyście, performerze, głównej postaci pełnometrażowego dokumentu „Arek. Mama. Panorama".

Film, który miał premierę na największym festiwalu kina dokumentalnego w Polsce – Millennium Docs Against Gravity i zdobył tam Wyróżnienie Stowarzyszenia Kin Studyjnych – właśnie trafia na duże ekrany.

Gdy poznajemy bohatera, ten poszukujący siebie, swojego wyrazu i celu „artworker" oraz aktywista z przytłaczającej masy przedmiotów niepotrzebnych i porzuconych (także wystawianych w okolicznych śmietnikach) odzyskuje elementy, którym daje drugie życie. Kiczowate malunki przerabia na prace ze współczesnym kontekstem, odkrywa plastyczną i użyteczną formę metalowych części. Swoje znaleziska gromadzi w piwnicy u rodziców. Tych samych, których – mimo że zbliża się do czterdziestki – nie opuszcza. Nadaje tej decyzji (oraz relacji) dodatkowy sens.

Nie bez powodu 16 lat temu z Arkadiusza Tadycha postanowił stać się Arkiem Pasożytem – „ironiczną i krytyczną odpowiedzią na postrzeganie osób twórczych w społeczeństwie".

Teraz bohater – dzięki Mikołajowi Janikowi (debiutującemu w pełnometrażowym dokumencie reżyserowi, a także autorowi scenariusza i zdjęć) – nie tylko konfrontuje się z dotychczasowymi dokonaniami oraz pomysłami na życie, lecz także rusza w drogę, która ma szansę odsłonić przed nim nową perspektywę. Być może konfrontacja z majestatem, która niejednemu przed nim i niejednemu po nim otworzyła oczy, umysł i serce, uświadomi mu skalę wcześniejszych (a także nadchodzących) działań oraz oczekiwań.

Na tatrzańskich szlakach, zarówno wśród ludzi, jak i w rozbitym gdzieś na uboczu namiocie, Arek wraca myślami (oraz poszukiwaniami) m.in. do „Panoramy Tatr". Monumentalnego (115 m × 16 m) obrazu z 1896 r., pociętego na części pod koniec XIX w. (pojedyncze fragmenty lub szkice znajdują się m.in. w Muzeum Narodowym w Krakowie). Wspinając się na najwyższy wierzchołek polskich Tatr z przyczepionym do plecaka napisem „Rysy są w sam raz", kontestuje akcję „podniesienia" szczytu za sprawą wnoszonych na górę kamieni.

W filmie dzieje się dużo, ale niezależnie od mnogości kontaktów i doświadczeń, jedno pozostaje niezmienne – relacja z mamą. Jak się wydaje, nie naruszy jej nawet najszerszy nowy ogląd, najbardziej majestatyczna, dystansująca do wszystkiego panorama, w finale filmu – jak w olejnym pierwowzorze – rejestrowana ze szczytu Miedziane.



Fot. Materiały prasowe

Jolanta Gajda-Zadworna

** Znany jako Arek Pasożyt, artysta, performer, bohater filmu „Arek. Mama. Panorama"*

eprasa.pl 7f496a23a7



SŁODKO-SŁONY

Kalafior z posypką

ANNA MONICKA

Znajoma podróżuje w czasie wakacji przyczepą, która przypomina świetnie wyposażony domek kempingowy. W środku jest łoże, na którym mieszczą się cztery osoby, łazienka, kuchnia z wyciągiem, lodówka i zamrażarka. Pełen wypas. Jest nawet biblioteczka i wielka półka z planszówkami. Na początku lata urządza inaugurację wakacji i wiezie swoją minichałupkę nad morze, gdzie co roku spotyka się cała ekipa miłośników takiego spędzania wolnego czasu, a potem co dwa tygodnie zmieniają się „turnusy". Kolejni goście dowożą zaopatrzenie i swoje ulubione gadżety, dzięki którym nikt nie musi spędzać długich godzin na gotowaniu, bo przyrządzanie posiłków jest raczej miłą rozrywką. Jedni wożą elektrycznego grilla, inni Thermomixa, a my zabieramy naszego air fryera, który jest tak prosty w obsłudze, że poradzi sobie z nim nawet dziecko.

Odżywiamy się więc raczej zdrowo i nie narzekamy na paragony grozy, bo nie musimy się stołować w restauracjach i smażalniach – mamy zapiekanki, pizzerinki, frytki, pieczone cukinie z parmezanem, papryki z fetą, opiekaną kukurydzę, steki, kurczaki. Jak dzieciaki upolują jakąś rybkę, mogą ją upiec albo w ognisku, albo w szklanym garnku przypominającym nieco prodiż (tyle że wyposażonym w kilkanaście różnych programów, żeby jeszcze bardziej ułatwić życie). Ostatnio grillowaliśmy nawet plastry arbuza i wyszły przepyszne, trzeba tylko pamiętać, żeby spryskać je oliwą, a potem oprószyć solą, pieprzem i skropić sokiem z limonki.

Ostatnio furorę zrobił jednak pieczony kalafior. Okazało się, że nasz „frajer", jak go pieszczotliwie nazywamy, przyrządza go świetnie. To szybkie danie wielozadaniowe – znakomicie sprawdza się jako przekąska, podawane z sosem tzatziki albo jako dodatek do dania głównego, np. ryżu z kurzym udkiem. Wybieramy dorodny kalafior, dokładnie myjemy, suszymy i dzielimy na różyczki. W dużej misce skrapiamy go oliwą wymieszaną z ulubionymi przyprawami, np. gruzińską solą swańską – to bardzo pachnąca i wyrazista mieszanka różnych ziół – albo przepyszną posypką bajglową. Różyczki muszą być dokładnie obtoczone, inaczej wyschną. Pieczemy w 140 st. Celsjusza przez 12 min, żeby kalafior był chrupki i delikatnie zabrązowiony.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Raróg

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kilka dni temu w podkarpackim powiecie brzozowskim zaobserwowano raroga. Ten ptak (*Falco cherrug*) jest wyjątkowo dużym, silnym sokołem. Rozpiętość jego skrzydeł osiąga aż 130 cm. Z rdzawobrunatnym upierzeniem wierzchu ciała kontrastuje jasna głowa z ciemnym okiem i ciemniejszym sokolim wąsem. Łapy są żółte, z ciemnymi szponami, a ich masywność zwiastuje siłę, którą ten ptak istotnie posiada. Najchętniej poluje na susły, wypatrując ich z wysokiego lotu lub z wyniesionych punktów obserwacyjnych. Jego ojczyzną są stepy, a z czasem stały się nią również rozległe obszary rolnicze, z rzadka urozmaicone zadrzewieniami.

Raróg, od dawna wyjątkowo ceniony przez sokolników, był i jest ptakiem rzadkim, a jego rzadkość i wyjątkowość utrwaliły się w języku: w powiedzeniu „patrzeć jak na raroga", a więc postrzegać kogoś jako osobliwość, czy określeniu *rara avis*, w którym uwagę zwraca wspólny źródłosłów słów „raróg" i „rzadkość", obecny zresztą nie tylko w łacinie, lecz także choćby w języku angielskim. Wyjątkowość sokoła bywa zagrożeniem, bo choć z jednej strony dokłada się starań, by chronić rarogi, z drugiej wciąż nielegalnie pozyskuje się jaja i pisklęta z gniazd, by trenować je na wysoko cenione ptaki łowcze.

Wspomniany raróg nieprzypadkowo został zaobserwowany w województwie podkarpackim, w dodatku w jego wschodniej części. W Polsce ptaki te trafiają się jedynie sporadycznie, jako osobniki zalatujące lub takie, które uciekły lub zagubiły się z hodowli. Rarogi nigdy nie były w naszym kraju ptakami lęgowymi, a przynajmniej brak informacji o potwierdzonym i udanym lęgu. Ogólnie gatunek ten zamieszkuje tereny położone na południowy wschód (np. Węgry) i na wschód od Polski. Ok. 300 par lęgowych lub nieco więcej, a więc znaczna część światowej populacji tego unikalnego sokoła, gniazduje na Ukrainie.

Pojawienie się raroga na Podkarpaciu jest nie tylko ciekawostką. Pokazuje, że być może – jeżeli ochrona rzadkiego sokoła doprowadzi do wzrostu liczebności populacji – w końcu zostanie wpisany na listę krajowej awifauny lęgowej. Pokazuje także, że granice dzielące nas z Ukrainą są pozorne, niewidoczne z perspektywy sokoła, który patrzy dalej i widzi więcej – w rzeczywistości zaś stanowimy jeden wspólny ekosystem.

eprasa.pl 7f496a23a7

3 MIŁOŚCI

Embrion w wisiorku



ROBERT TEKIELI

Opis usługi: „Udawany Ślub, bez kościoła, bez urzędu, bez konsekwencji. Lokalizacja: cała Polska. Cena X 000 zł / Kontakt / Krzysztof Pobixxxxxki / Wyślij e-mail.

Jesteście ze sobą od dawna? Wasze Rodziny coraz częściej wspominają o Ślubie, wręcz naciskają na niego? Jednak Wy nie jesteście przekonani do instytucji ślubu lub deklaracji do końca życia. Jak w tej sytuacji zadowolić wszystkich? Mamy dla Was rozwiązanie, które usatysfakcjonuje Was i Wasze Rodziny! Zajmujemy się organizacją przedstawień ślubnych. Aktorami jesteście Wy i nasza firma, a widownią goście weselni, którzy nigdy nie dowiedzą się o waszej mistyfikacji!

Profesjonalny aktor odgrywa rolę księdza bądź urzędnika. Dysponujemy też doskonałymi kopiami dokumentów, by nikt niczego w trakcie przedstawienia nie mógł się domyślić".

Rodzina to wspólnota, w której przekazuje się i wychowuje do miłości. Jeśli spoiwem każdej wspólnoty są więzi miłości, rozbijanie rodziny jest działalnością uderzającą w podstawy naszej cywilizacji.

Pani Stafford na co dzień ma wszystkie dzieci przy sobie. W tym siedem embrionów w wisiorku w kształcie serca. Trudna decyzja, co zrobić z niewykorzystanymi zarodkami po in vitro została rozwiązana. Innowacyjna australijska firma Baby Bee Hummingbird wytwarza biżuterię z nadliczbowych embrionów ludzkich pozostałych po in vitro. Do 2014 r. zarodki albo wyrzucano, albo przekazywano innej rodzinie, albo wykorzystywano do badań lub w przemyśle medycznym. Od 2017 r. robi się z nich biżuterię.

Amy McGlade, założycielka Baby Bee Hummingbird, powiedziała, że w ciągu trzech lat działalności firmy wykonano ponad 4 tys. sztuk biżuterii, używając piersi, łożysk, włosów, popiołów lub kikutów – w tym 50 zawierających ludzkie zarodki. „Jaki jest najlepszy sposób, aby świętować najdroższy dar, twoje dziecko, jeśli nie za pomocą biżuterii? Chodzi o wieczną materialną pamiątkę ukochanej osoby, którą możesz mieć na zawsze". Pani Stafford nosi swoje nienarodzone dzieci blisko serca. Każdego dnia.

Stara Europa wydaje się nie do uratowania. Proces trwa od ponad 300 lat, a pół wieku temu bardzo mocno przyspieszył. Kapitał cywilizacyjny jest jednak wartością skończoną. Nie można go trwonić bez końca.

Europejskie elity zwróciły się przeciwko Europie. Błędy polityczne zachodnich elit, nakładające się na proces destrukcji infrastruktury cywilizacyjnej, czynią Europę coraz mniej odporną na trwającą od kilkunastu wieków inwazję islamu. Do tego dochodzi histeryczna strategia kremlowskich elit wywodzących się ze służb specjalnych, wynikająca z nieumiejętności odpowiedzi na chińską presję. Rosja w swej geostrategicznej bezradności kieruje się ku Europie. Jednym z podstawowych czynników decydujących o losach naszego kontynentu jest wyścig pomiędzy powolnym rozkładem społeczeństwa i państwa rosyjskiego a taktyką nakręcania kolejnych lokalnych wojen, przy stałej hybrydowej agresji w obszarze tzw. bliskiej zagranicy. Los Polski zależy od stopnia amerykańskiej obecności w Europie, nie da się więc wykluczyć, że sami będziemy musieli zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Gdy w rodzinie, społeczeństwie, wspólnocie Kościoła panuje jedność, jest też ład. Przeciwieństwem ładu jest zamęt. W zamęcie rodzi się coraz więcej nadopiekuńczych matek, ojców uciekających od dzieci. W zamęcie jest coraz mniej miłości. Jeśli prawda nic nie kosztuje, jest kłamstwem. Suma prawd buduje ład. Nowożytność to czas walki z ładem

Walka o Europę w znanym dotąd kształcie toczy się w sferze duchowości, filozofii i stosunku do klasycznych wartości. We Francji można wziąć rozwód bez sędziego – rozwód za porozumieniem stron wystarczy zarejestrować u notariusza. Zakazano tam również publikacji uśmiechniętych buzi dzieci z zespołem Downa. Budzą dyskomfort: takie wyrażanie szczęścia „narusza spokój sumienia kobiet, które legalnie dokonały innych osobistych wyborów". Mordercy pragną komfortu zabijania.

W czasach nowożytnych eutanazja została instytucjonalnie wprowadzona w nazistowskiej III Rzeszy. Pokazuje to jej barbarzyński, antycywilizacyjny charakter. Wprowadzanie eutanazji w kolejnych krajach i rozszerzanie jej

eprasa.pl 7f496a23a7



zakresu uzasadnia nazywanie współczesnej formy organizowania życia zbiorowego w krajach Zachodu cywilizacją śmierci. Barbarzyńskie elity dążą do legalizacji mordowania ludzi chorych głównie ze względów ekonomicznych, konsekwencje tego procesu dotykają jednak duchowych i etycznych fundamentów naszej cywilizacji. Niszczenie kapitału cywilizacyjnego osłabia zachodnią wspólnotę, atak zaś wewnętrznego barbarzyńcy czyni ją nieodporną na zewnętrzną agresję.

Legalizacja aborcji w kolejnych krajach, próby legalizacji narkotyków, nawet próby zdjęcia odpowiedzialności karnej z pedofilów – każde z tych działań ma zwolenników wśród wykształconej części zachodnich społeczeństw. Powtarzające się od stuleci ataki na Kościół katolicki jako instytucję opowiadającą się za istnieniem obiektywnej prawdy pokazują, że istotą rewolucyjnego barbarzyństwa nie jest bezmyślna destrukcja. Chodzi o zniszczenie cywilizacji wywiedzionej z objawienia. Kolejne wizje nowego wspaniałego świata okazują się ułudą. Europejskie elity walczą z prawdą i miłością, intelektualiści uznali bowiem, że odpowiedzialność za skandal jest przeszkodą na drodze samorealizacji jednostki. Każda próba wprowadzenia w życie „nieznośnej lekkości bytu" kończy się jednak klęską wspólnoty.

Jeśli prawda nic nie kosztuje, jest kłamstwem. Suma prawd buduje ład. Nowożytność to czas walki z ładem. Dziś najsilniejszy atak został skierowany przeciwko łączności młodych ze starszymi, jedność jest rozbijana poprzez kulturę, modę i szkołę. Rozbijanie jedności pokoleń odbywa się m.in. poprzez kontrkulturowe podważenie wartości autorytetu i zakwestionowanie użyteczności mądrości płynącej z doświadczenia: a co wy, starzy, wiecie o świecie.

Od lat 60. XX w. dzieci są nakłaniane do buntu, do wypowiedzenia posłuszeństwa rodzicom, autorytetom, prawdziwym przewodnikom duchowym oraz kulturze, co wywołuje nieustający zamęt. Narzędziem rozbijania jedności pokoleń jest popkultura, z idolami młodzieży dumnymi z łamania przykazań i nagłaśnianymi z powodu swojej rozwiązłości lub jawnego kultu zła.

Młodzież wypowiedziała posłuszeństwo dorosłym, wśród których jest coraz mniej ludzi dojrzałych.

Gdy w rodzinie, społeczeństwie, wspólnocie Kościoła panuje jedność, jest też ład. Przeciwieństwem ładu jest zamęt. W zamęcie rodzi się coraz więcej nadopiekuńczych matek, ojców uciekających od dzieci. W zamęcie jest coraz mniej miłości.

Czy budzisz się bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem? Czy masz tendencję do niekończenia czynności? Czy w twoim życiu wszystko się raczej rozkłada niż składa, czy nieszczęścia albo tragedie wydarzają się seriami? Czy nie możesz znaleźć radości w życiu, mimo że masz wszystko: pieniądze, sukces, szczęście, ludzi kochających i takich, których można kochać? Czy nie masz z czego żyć? Czy trudy życia sprawiają, że rano boisz się wstawać? Czy spowiadasz się ciągle z tych samych grzechów? Czy czujesz oschłość, mimo że według wszystkich jesteś blisko Boga, codziennie się modlisz i chodzisz na Eucharystię, pościsz dwa razy w tygodniu za bliźnich i zachowujesz wszystkie przykazania? Jesteś niewolnikiem czasu czy nieba? Zagubiłeś się w sukcesie? Zwyczajnie nie wiesz, co masz robić z życiem? Czy jesteś szczęśliwy?

Katolicyzm to forma życia, która udziela odpowiedzi na wszystkie współczesne deficyty – emocjonalne, psychiczne i duchowe. Na depresje, brak celu i sensu, wypalenie. I patrząc na kondycję współczesnej kultury, można powiedzieć, że z każdym dniem jest coraz bardziej potrzebny światu. Również tobie może dać wszystko, czego potrzebujesz, jeśli tylko zbijesz krzywe lustro, które pomiędzy tobą a rzeczywistością ustawiły pokolenia gości mocnych intelektualnie, za to upośledzonych emocjonalnie i duchowo.

Katolicka koncepcja losu, wybrania, powołania ma to, czego nie mają inne ostateczne hipotezy: łączy wolność człowieka z Bożą wszechmocą. Są bowiem niesprzeczne. Wypowiadając Credo, omijamy pułapki predestynacji, fatum, przeklętego koła karmy. Prawda jest jedna. Każda prawda jest katolicka. Ze szczytu jest tylko droga w dół. Albo w górę, ale wtedy już nie stopami po ziemi. Cieszmy się zatem. W każdej sytuacji możemy mieć nadzieję.

eprasa.pl 7f496a23a7

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Pocztówka z wakacji



www.wojciechreszczynski.pl

Niemiecka firma autobusowa organizuje przejazdy z niemieckiego miasta Oldenburg do Giżycka, Rucianego-Nidy, Mikołajek, Rynu przez Myszyniec, Ostrołękę, Pułtusk i Warszawę. Na początku drogi zatrzymuje się w Berlinie, Hanowerze i Bremie, skąd zabiera wszystkich chętnych, by następnie wyjechać na polskie Mazury. Oldenburg leży w kraju związkowym Dolna Saksonia w północno-zachodnich Niemczech i liczy 175 tys. mieszkańców. Czy to zaradność tamtejszych Fryzyjczyków, czy może inne powody zadecydowały o tym, że dziś nawiązano stałą codzienną łączność autobusową z Niemiec na Mazury? Może owe inne powody to fakt, że w 1946 r. do Oldenburga przesiedlono ponad 600 Niemców, mieszkańców wsi Kalno w obecnej gminie Żarów, albo tęsknota za krajem przodków, którą Niemcy nazywają Heimatem? To za sprawą tej tęsknoty nie zapominają o dawnych Prusach Zachodnich, Wschodnich czy Północnych.

Na przesmyku o nazwie Przeczka, na styku jezior Mikołajewskiego i Śniardwy, młody Polak wychowany w Niemczech zgromadził w dwóch kontenerach setki zdjęć i pocztówek dawnych Prus Wschodnich. Nie chciał się przyznać, od kogo dostał tę olbrzymią kolekcję i kto sfinansował przygotowanie tego „nowego muzeum" w plenerze. Na zdjęciach jest też miasto Ryn. Najstarsze informacje o nim pochodzą z 1377 r. z kroniki Wiganda z Marburga. Wówczas w miejscu dawnego pruskiego grodu plemienia Galindów powstawał olbrzymi zamek. Legenda głosi, że niemieccy osadnicy nadali miastu nazwę Ryn, gdyż przyległe Jezioro Ryńskie przypominało im rzekę Rhein (Ren).

Wszędzie jednak, na bardzo nielicznych już małych wiejskich cmentarzach, zachowały się ślady dawnego polskiego osadnictwa. Świadczą o tym nieco zniemczone, ale w swoim rdzeniu polskie nazwiska. To polska ludność z Mazowsza, Kurpiów i Podlasia zasiedlała te tereny i dominowała liczebnie w Prusach Wschodnich, ale własność ziemi i rządzenie były wyłącznie niemiecką domeną. Nazwa Mazury pochodzi od Mazowsza, gdyż osadników z południa ogólnie nazywano Mazurami. Współcześni Polacy nie potrafią już odróżnić historycznej Warmii od Mazur, a szkoda, gdyż Warmia to dawne państwo kościelne zarządzane przez biskupów zatwierdzanych przez Watykan i istniejące ponad 500 lat, a w latach 1466–1772 będące częścią Polski jako Księstwo Warmińskie. Podróżując samochodem, Warmię od Mazur można łatwo odróżnić dzięki licznym przydrożnym kapliczkom, gdyż Warmia w dużej części zachowała wiarę katolicką – w odróżnieniu od Mazur, gdzie dominował protestantyzm. Nie mylmy Warmii z Mazurami, choć mają teraz wspólną nazwę „Warmia i Mazury".

Na szczęście są wśród nas pasjonaci dawnej historii Mazur, gdzie nadal istnieją ślady polskości. Jednym z takich pasjonatów jest Krzysztof A. Worobiec, właściciel Oberży Pod Psem w Kadzidłowie, przy drodze z Ukty do Mikołajek, autor dwóch unikatowych tomów pod wspólnym tytułem „Zagubione wioski w Puszczy Piskiej". To wciąż mało znana historia mazurskiego pogranicza i dziejów osadnictwa w Puszczy Piskiej. II wojna światowa była brzemienna w skutki. Polityka III Rzeszy doprowadziła do wyludnienia albo fizycznego zniknięcia z krajobrazu Puszczy Piskiej setek wsi. Po wojnie dzieła kompletnego zniszczenia dopełniło powszechne szabrownictwo. Mazurskie wioski – jak te na Wołyniu w 1943 r. w wyniku zbrodni OUN-UPA – przestały istnieć. Pozostały jedynie resztki fundamentów i małe cmentarzyki, szybko pochłaniane przez bujną przyrodę. Książki Krzysztofa Worobca przywołują historię tych zapomnianych wsi, przywracają pamięć o tych miejscach. Najtrafniej ujął to prof. Andrzej Strumiłło: „Istnieje czas mierzony miarą jednostki ludzkiej i czas mierzony miarą społeczną, czas tych, którzy szli przed nami, czas nam współczesnych i czas tych, co przyjdą po nas. Uznając wagę jednostkowej, osobistej, zamkniętej ramami życia ludzkiego miary czasu i niepowtarzalnych dla człowieka wartości w nim stających się, nie możemy pozostać obojętni wobec czasów przeszłych i przyszłych, wzbogacających nas o tożsamość historyczną i cel".

Piękne świadectwo naszej troski o pamięć można zobaczyć na cmentarzu w Niedźwiedzim Rogu, maleńkiej wsi w Puszczy Piskiej z widokiem na wyspy jeziora Śniardwy – Czarcią i Pajęczą. Wśród innych starych grobów wyróżnia się nagrobek Niemca Maxa Klingego, leśniczego z Lipnik, który po wojnie nie wyjechał do Niemiec, gdyż postanowił nadal służyć ludziom i swojej puszczy. Nadleśnictwo w Piszu postanowiło skorzystać z wiedzy, fachowości i zaangażowania Klingego i zatrudniło nawet tłumacza, by przekładał na język polski raporty leśniczego. Zmarł w 1951 r. i został pochowany na wiejskim cmentarzu. W 1998 r., pamiętając zasługi Klingego dla przyrody i lokalnych mieszkańców, jego grób odnowiono, postawiono dębowy krzyż, wkrótce zastąpiony granitową zieloną płytą z wizerunkiem św. Huberta, patrona leśników i myśliwych.

Kiedy podróżni niemieckiej firmy transportowej z Oldenburga trafią do Niedźwiedziego Rogu, mogą się przekonać, że Polacy potrafią szanować przeszłość i ludzi, którzy dobrze zapisali się w ich pamięci. Tymczasem Niemcy wciąż nie potrafią albo nie chcą uszanować pamięci polskich ofiar swoich zbrodni. Postawiony w Berlinie głaz z epoki lodowcowej jest kpiną z polskich ofiar II wojny światowej.

eprasa.pl 7f496a23a7

W sieci Pająka



Andrzej Rafał Potocki

„Ślimak poruszał się szybciej niż rosyjskie siły zbrojne i dzieje się to za ogromną cenę” – stwierdził ambasador Wielkiej Brytanii w Ukrainie Neil Crompton. Jego zdaniem moskiewskie straty na wschodzie Ukrainy są „nadzwyczajne”. Dyplomata wskazał informacje o dziesiątkach tysięcy zabitych i ciężko rannych miesięcznie. Crompton przekazał, że z danych szefów sztabów, z którymi się zapoznał, wynika, że w kwietniu i maju dynamika strat Kremla wynosiła ok. 35 tys. osób miesięcznie. Dodał, że w lipcu ta liczba miała wzrosnąć do 42,7 tys. „Myślę, że w czerwcu była nieco niższa. Gdy rozwijają się liście, żołnierzom jest trochę bezpieczniej się poruszać”. Padają jak muchy, ale lezą dalej. Mamy do czynienia z robactwem na dwóch nogach.

Ukraińcy zbudowali nowy dron. Nazywa się Spider (Pająk) i służy do walki z innymi bezzałogowcami. Normalnie dron w walce z dronem przeciwnika działa jak pocisk. Uderza w cel, detonuje ładunek i ulega całkowitemu zniszczeniu. Kamikadze. Spider działa zupełnie inaczej. Pająk, jak to pająk – podlatuje i zarzuca na przeciwnika sieć, a ten głupieje i traci kontrolę nad sobą, spadając na ziemię. Pająk zaś wraca do bazy, podczepiają mu nową sieć i z wypuszczają powrotem na łowy. Najlepsze jest to, że jedna akcja Pająka kosztuje tylko 100 zł. Proste jak budowa cepa, a piękno tkwi w prostocie.

W polskich mediach podniosła się wrzawa. Na telegramowych kanałach 3. Korpusu Azow pojawiła się relacja fotograficzna z wizyty nowego szefa Sztabu Generalnego Ukrainy Jewhenija Chmary. Tym, co wywołało kontrowersje, była mapa, na tle której odbyła się ceremonia. Przedstawiała ona Ukrainę w granicach koncepcji tzw. Wielkiej Ukrainy. Roszczenia dotyczą terytoriów Rosji, Białorusi, Polski, Słowacji, Mołdawii oraz Rumunii. Co to jest Azow? W pierwszych fazach konfliktu w latach 2014–2016 bataliony ochotnicze tego typu były bardziej skuteczne niż regularna armia ukraińska. Żołnierze batalionu odegrali dużą rolę w odbiciu Mariupola, który odtąd jest ich główną siedzibą. To oni bronili go do upadłego podczas pełnoskalowej inwazji w trakcie walk o zakłady Azowstal. Zresztą o wyczynach korpusu na froncie można nakręcić pięć hollywoodzkich filmów. Stosunkowo duży ideologiczny wpływ na Azow miał Prawy Sektor, czyli Ukraina Zachodnia i narodowe, ba, nacjonalistyczne ideały. Jednak nacjonalizm w wydaniu Azowa jest wolny od nawiązań do banderyzmu i OUN. Jego zwolennicy nie używają czerwono-czarnych nacjonalistycznych flag, lecz niebiesko-żółtych, czyli państwowych. Niegdyś mój redakcyjny kolega, który spędził z nimi kilka „przyjemnych” chwil w okopach, stwierdził, że oni lubią Polaków. Ale ta mapa? Okazuje się, że jest pewien niuans. Portal Defence24 zadał sobie trud i nałożył mapy Azowa na mapy serwisu Google Maps. Okazało się, że o ile mapa przedstawia roszczenia wobec Rosji i Białorusi, o tyle kontury zachodniej granicy Ukrainy pokrywają się z obecną linią demarkacyjną. Czy to celowy zabieg? Raczej tak i wybrnęli z tego, powiedzmy, dyplomatycznie. Z jakiegoś powodu nacjonaliści z Azowa, tworząc swoją mapę, najwyraźniej nie chcieli zaostrzać konfliktu terytorialnego z państwami, z którymi nie prowadzą wojny. Jak słusznie napisał Defence24: „Mapa Azowa jest jednak dowodem, że o ile do Rosjan czują uzasadnioną nienawiść, o tyle do swoich zachodnich sąsiadów, w tym Polaków, nie żywią ostentacyjnej chęci rewizji granic”. Ostre chłopaki, idzie się dogadać. Front to nie krawaciarze z Kijowa.

Apropos Azowa. Odporny na miny i zasadzki pojazd Protolab PMPV MiSu 6×6 z Finlandii w służbie ukraińskiej armii najwyraźniej po raz pierwszy zasmakował w działaniach na froncie. 12. Brygada Specjalnego Przeznaczenia Azow (Korpus Azow) zaprezentowała kolekcję swoich zmodyfikowanych pojazdów opancerzonych w klatkach pancernych w stylu Mad Maxa i na gumowych matach. Ta kolekcja pojazdów zawiera również pierwsze udokumentowane powiązanie Brygady Azow z wykorzystaniem przez nią samochodu pancernego UAT Tisa i MRAP UAT Gyurza. Pojazdy wyglądają jeszcze lepiej niż na filmie „Mad Max”. Wspomniany na początku fiński Protolab mógłby bez charakteryzacji występować w filmowych produkcjach science fiction.

Współpraca: „Skipper”

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f496a23a7

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Miękka lojalność



Aleksander Nalaskowski

Lojalność. Słowo piękne, niemal szlachetne. Kojarzy się z honorem, zaufaniem, odpowiedzialnością i dotrzymywaniem słowa. W polityce to samo słowo ulega jednak zadziwiającej metamorfozie. Zamiast cnoty staje się walutą, którą płaci się za stanowiska, wpływy i święty spokój. A kurs tej waluty zmienia się szybciej niż sondaże.

Politycy uwielbiają mówić o lojalności. Gdy ktoś głosuje zgodnie z linią partii – jest lojalny. Gdy zada niewygodne pytanie – staje się zdrajcą. Gdy odejdzie do konkurencji – nagle okazuje się, że od dawna był człowiekiem bez zasad. Co ciekawe, jeśli za kilka miesięcy wróci, cudownie odzyskuje wszystkie utracone cnoty. W polityce pamięć jest wyjątkowo wybiórcza, a moralność często ma termin ważności krótszy niż kampania wyborcza.

Najbardziej fascynujące jest jednak to, że lojalność bywa wymagana wyłącznie od szeregowych działaczy. Lider może zmieniać poglądy, koalicjantów, obietnice i narrację niczym krawaty przed konferencją prasową. Szeregowy poseł ma natomiast obowiązek wierzyć, że wszystko odbywa się dla dobra kraju. Nawet jeśli jeszcze tydzień wcześniej to samo rozwiązanie było określane jako katastrofa, dziś należy je oklaskiwać z pełnym przekonaniem. Polityczna gimnastyka osiągnęła poziom olimpijski.

Demokracja nie potrzebuje wiernych dworzan. Potrzebuje ludzi wiernych przede wszystkim obywatelom i zasadom, nawet jeśli oznacza to powiedzenie „nie” własnej partii

Nie brakuje również mistrzów politycznego survivalu. To ludzie, którzy potrafią być lojalni wobec każdej partii, pod warunkiem, że akurat znajduje się u władzy. Ich poglądy są niezwykle elastyczne – wyginają się pod ciężarem ministerialnych foteli z gracją doświadczonego akrobaty. Jeszcze wczoraj przekonywali, że pewna reforma zniszczy państwo, dziś z równym zapałem tłumaczą, że jest historycznym sukcesem. Trudno nie podziwiać takiej odporności na dysonans poznawczy.

Lojalność w polityce często przypomina abonament. Płaci się składki w postaci posłuszeństwa, a w zamian można liczyć na miejsce na liście wyborczej, stanowisko w spółce lub przynajmniej zaproszenie do telewizji. Kto przestaje płacić, szybko przekonuje się, jak wygląda życie poza partyjnym parasolem. Telefony nagle milkną, dawni koledzy nie poznają na korytarzu, a media sprzyjające partii odkrywają jego liczne wady charakteru. Cóż za niezwykły zbieg okoliczności.

Paradoks polega na tym, że prawdziwa lojalność wobec obywateli często wymaga nielojalności wobec własnego środowiska politycznego. Jeśli poseł widzi, że proponowane rozwiązanie jest szkodliwe, powinien mieć odwagę powiedzieć „nie”. Problem w tym, że odwaga jest dziś towarem znacznie rzadszym niż konferencje prasowe. Łatwiej nacisnąć właściwy przycisk podczas głosowania i później przekonywać wyborców, że „sprawa była bardziej skomplikowana”.

Wyborcy również nie są bez winy. Często oczekują od swoich ulubionych polityków bezwarunkowej walki z przeciwnikami, a każdą próbę kompromisu traktują jak zdradę. W efekcie politycy uczą się, że bardziej opłaca się być wiernym partyjnemu plemieniu niż zdrowemu rozsądkowi. Debata publiczna zamienia się w mecz kibiców, w którym liczy się nie jakość argumentów, lecz głośność okrzyków.

Największą ofiarą tak rozumianej lojalności staje się państwo. Gdy kompetencje przegrywają z wiernością liderowi, urzędy są obsadzane nie przez najlepszych, lecz przez najwierniejszych. Powstaje system, w którym pytanie „czy potrafisz?” przegrywa z pytaniem „czy jesteś nasz?”. Efekty takiej filozofii prędzej czy później odczuwają wszyscy – od przedsiębiorców po pacjentów czekających w kolejkach.

Można odnieść wrażenie, że współczesna polityka cierpi na chroniczny deficyt lojalności wobec wartości. Lojalność zbyt często dotyczy ludzi, a nie zasad i ma miękką konsystencję. A przecież role powinny być odwrócone. Partie powstają po to, by realizować określone idee, a nie po to, by dostosowywać te idee do aktualnych interesów partyjnych.

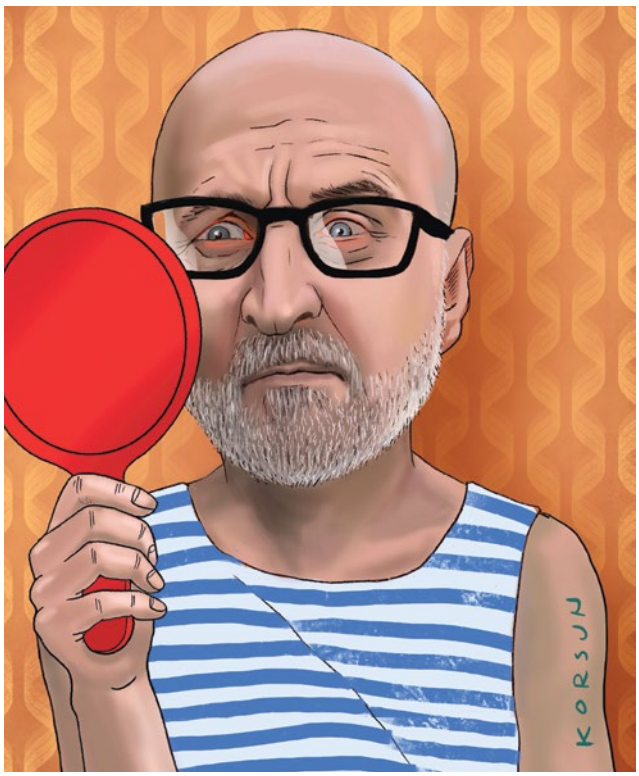
Być może największą ironią jest to, że politycy, którzy najgłośniej mówią o lojalności, zwykle mają na myśli lojalność wobec siebie. Nie wobec konstytucji, obywateli czy programu, lecz wobec własnego przywództwa. W takim świecie niezależne myślenie staje się wadą, krytyczne pytania – aktem buntu, a sumienie – niewygodnym dodatkiem do mandatu.

Lojalność sama w sobie nie jest problemem. Wręcz przeciwnie, bez niej trudno budować zaufanie i odpowiedzialność. Problem zaczyna się wtedy, gdy staje się ona wymówką dla konformizmu, milczenia i bezrefleksyjnego posłuszeństwa. Demokracja nie potrzebuje wiernych dworzan. Potrzebuje ludzi wiernych przede wszystkim obywatelom i zasadom, nawet jeśli oznacza to powiedzenie „nie” własnej partii.

I to tyle „w temacie” ostatnich ruchów, wydarzeń w PiS i Morawieckiego.

eprasa.pl 7f496a23a7

***Michał Korsun** prezentuje:*
Kazimierz Marcinkiewicz „wie, jak wygląda człowiek po przedawkowaniu”



Wycinki z przeszłości

„Proces o łysą żonę” – taką osobliwą sprawę opisywało „Słowo” w 1922 r. Po ślubie mąż odkrył, iż żona „jest zupełnie bez włosów”, a łysinę ukrywała pod peruką. Później zauważył także, że „palce u nóg żony są zrośnięte”. Sąd uznał jednak, że nie są to powody do rozwodu, a przyszły mąż powinien „wszelkie wady fizycznej budowy przyszłych żon [...] stwierdzić przed ślubem”.

(sp)


SŁOWO

Proces o łysą żonę. W jednem z większych miast francuskich, odbył się ciekawy proces rozwodowy.

Pewien obywatel oskarżył swoją żonę o ukrywanie przed nim sztucznych wdzięków, które dopiero w kilka miesięcy po ślubie, wystąpiły w całej okazałości.

I tak stwierdził on, że żona jego jest zupełnie bez włosów — a przez sprytne okrywanie łysiny sztucznymi włosami, które on uważał za bogactwo natury, potrafiła go przez czas dłuższy oszukiwać. Po kilku tygodniach zauważył „odkrywca”, że palce u nóg żony są zrośnięte, przez co budzą w nim ogromny wstręt.

Przewodniczący rozprawy uznał za niesłuszne przytoczone powody do uzyskania rozwodu — wychodząc z założenia, że wszelkie wady fizycznej budowy przyszłych żon powinno się stwierdzić przed ślubem.

Niech ten przykład będzie przestrogą dla chcących wstąpić w związki małżeńskie łatwowiernych mężczyzn.

Wiadomości polityc

Z WOLEJA

O włos. Io16miliardów dolarów



Ryszard Czarnecki

Pia Skrzyszowska przegrała tytuł mistrzyni Europy w biegu na 100 m przez płotki o jedną tysięczną sekundy! Mój sędziwy, bo 92-letni ojciec (finał płotek oglądały trzy pokolenia rodziny Czarneckich) powiedział dowcipnie, że są to chyba mistrzostwa dla aptekarzy. Wielokrotnie oglądałem powtórki i wydawało się, że Polka przybiegła pierwsza (kiedyś już zresztą była mistrzynią Starego Kontynentu). Myślę, że byłoby sprawiedliwe, aby w sytuacjach, gdy różnice dotyczą tysięcznych sekundy, przyznawać medale *ex aequo*. Jako historyk sportu mogę jednak powiedzieć, że karma wraca, bo reprezentantka Biało-Czerwonych przegrała z Holenderką o włos czy bark tak jak Polak Zbigniew Bródka, sensacyjny mistrz olimpijski w łyżwiarstwie szybkim z igrzysk w Soczi w 2014 r. (obecnie strażak), wygrał z panczenistą z Królestwa Niderlandów o trzy tysięczne sekundy (sic!). Cóż, nasza Pia wie, że srebro czasem też boli, nawet jeśli jednocześnie cieszy.

Gdy piszę te słowa, skądinąd w Pabianicach, które sportowej Polsce są znane głównie z klubu Włókniarz (IV liga w piłce nożnej), lekkoatletyczne ME w Anglii na razie mają dla reprezentacji Polski właśnie srebrny kolor: w biegu na 100 m, ale już bez płotków, medal z tego kruszcu wywalczyła Ewa Swoboda. Wygląda na to, że królowa sportu znowu damami stoi, bo huzary na razie zawodzą.

Od królowej sportu przejdę do królowej szmalu w sporcie, czyli do futbolu. Ostatni mundial w Ameryce Północnej może być gwoździem do trumny prezesa FIFA Gianniego Infantino. O jego odwołaniu mówią już nie tylko żurnaliści i eksperci, lecz także prezesi futbolowych federacji krajowych i kontynentalnych. Czy chodzi tylko o lizusostwo działacza numer jeden światowej piłki nożnej wobec polityków i poczucie, że – trawestując francuskiego króla Ludwika XIV – „FIFA to ja”? Nie tylko. Idzie o gigantyczne pieniądze i kontrolę nad nimi. Budżet FIFA wynosi 16 mld dol. i będzie rósł. O to głównie toczy się walka na futbolowej górze, która do złudzenia przypomina walki polityków. Co powinien zrobić, za kim się opowiedzieć szef PZPN Cezary Kulesza? Zachować się tak jak jeden z jego poprzedników Michał Listkiewicz, który przed wyborami na szefa UEFA w 2007 r. za żadne skarby świata nie chciał ujawnić, czy zagłosuje na Szweda Lennarta Johanssona, czy Francuza Michela Platiniego. W cwany sposób chciał doprowadzić do tego, by polska piłka znalazła się w obozie zwycięzców i tak to sprzedał (w rzeczywistości głosował na Skandynawa, a wygrał były mistrz świata i Europy). Jak widać, spryt potrzebny jest nie tylko na boisku, lecz także poza nim.

eprasa.pl 7f496a23a7

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Transhumanistyczne lalki, czyli kapitulacja

Kiedyś człowiek szedł na spacer, by przemyśleć trudną sprawę. Dziś otwiera chat i czeka, aż algorytm zrobi to za niego. Nie chodzi już o to, by sprawdzić informacje lub wskazać drogę na mapie, lecz by sztuczna inteligencja ułożyła komuś pogląd na świat, wyjaśniła motywy innych ludzi, doradziła w sprawach sercowych.

POZNAWCZE ODCIĄŻENIE

Rosnąca liczba badaczy mówi o *cognitive offloading* – zjawisku odciążenia poznawczego. Ale okazuje się, że to za słabe określenie. Dlatego inni badacze mówią o *cognitive surrender* – o kapitulacji poznawczej. O poddaniu się w obliczu tego, co kiedyś było naturalnymi trudami życia. O bezrefleksyjnym akceptowaniu wyników pokazywanych przez AI, z wyłączeniem zarówno intuicji, jak i analitycznego namysłu.

Słowem, w wielu (większości?) przypadkach sztuczna inteligencja nie jest dodawana do naszej naturalnej – AI coraz częściej zastępuje naszą inteligencję.

SPONTANICZNA HYBRYDYZACJA?

Transhumanista i technoentuzjasta zarazem właśnie tak nazwałby tę nową sytuację. Swego czasu Andy Clark i David Chalmers w swej koncepcji rozszerzonego umysłu (*extended mind*) przekonywali, że ludzie od zawsze byli „naturalnie urodzonymi cyborgami". Notatnik, liczydło czy smartfon stanowiły naturalne przedłużenie biologicznej tkanki myślowej. A skoro otaczamy się sztuczną inteligencją, która bezszmerowo wyręcza nas w myśleniu, czyż nie realizujemy kolejnego etapu tej samej ścieżki ewolucyjnej?

Różnica jest jednak fundamentalna: w skali społecznej AI nie wspiera pracy umysłowej, ale ją wypiera. Prawdziwa hybrydyzacja wzmacniałaby komponent biologiczny – sprawiałaby, że sięgamy dalej i rozumiemy głębiej.



Dziś za pośrednictwem AI nie odciążamy już tylko pamięci – oddajemy w jej ręce podejmowanie decyzji. Czyli swój los

Zamiast jednak trenować mięsień suwerenności intelektualnej, pozwalamy mu zanikać w słodkim poczuciu wygody. Badania empiryczne wskazują na obniżoną aktywność neuronalną przy pisaniu z asystentami AI oraz niższą odporność na manipulację u osób intensywnie używających cyfrowych protez.

Klasyczny transhumanizm był intencjonalnym i normatywnym projektem ulepszenia gatunku. To, co dzieje się teraz, jest adaptacją do komfortu – spontanicznym procesem, w którym kroczymy po linii najmniejszego oporu. Nie kupiliśmy biletu na potężny lot w głąb postludzkiej świadomości – daliśmy się po prostu zapakować do wózka dla dzieci, bo nie chciało się nam iść o własnych siłach.

NOWY WSPANIAŁY CZŁOWIEK

Wizjonerzy transhumanizmu obiecywali nam absolutną wielkość. Malowali przyszłość, w której człowiek w iście heroicznym geście autoewolucji zrzuca biologiczne pęta, instaluje neuroimplanty i staje się cyfrowym tytanem. Wszystko wie, rozumie i jest pełen rosnących ambicji. Istne wcielenie ideałów epoki oświecenia.

Tymczasem widzimy coś zupełnie innego: nie nadczłowieka z tytanowym kośćcem i superkomputerem pod czaszką, lecz zwiotczałą marionetkę, którą za pomocą sznurków porusza niewidzialny algorytm.

To nie jest transhumanizm z doniosłych manifestów filozoficznych. To spontanicznie wyłaniający się transhumanizm, przyjęty bez refleksji i skonsumowany w kapciach – dla czystej wygody i świętego spokoju.

Do tej pory oddawaliśmy maszynom sprawy czysto techniczne: kalkulator liczył podatki, GPS pamiętał trasę, a wyszukiwarka zastępowała encyklopedię. Było to odciążenie pamięciowe i obliczeniowe, które pozostawiało nasz rdzeń umysłowy w stanie nienaruszonym. Dziś zachodzi zmiana jakościowa. Nie odciążamy już tylko pamięci – oddajemy w ręce AI podejmowanie decyzji. Czyli swój los.

DOBROWOLNIE!

Stajemy się transhumanistycznymi lalkami. Prawdziwe niebezpieczeństwo nie musi tkwić w tym, że systemy AI zyskają samoświadomość i nas podbiją. Raczej w tym, że my sami dobrowolnie oddamy własną sprawczość poznawczą w zamian za idealnie podsumowany raport, napisany bez wysiłku e-mail i szybką diagnozę rzeczywistości.

Może czas wreszcie przyznać przed samym sobą: technologia wcale nie uczyniła z nas bogów. Uczyniła z nas po prostu wyjątkowo wygodnickie, bezwolne marionetki, które nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że wiszą na sznurkach.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 7f496a23a7

wPolsce 24

POLITYKA NA DESER

Poniedziałek - sobota o 21:45



Zapraszamy na wieczorny przegląd dnia
i publicystykę z nutą ironii

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	YouTube
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 7f496a23a7

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 7f496a23a7